

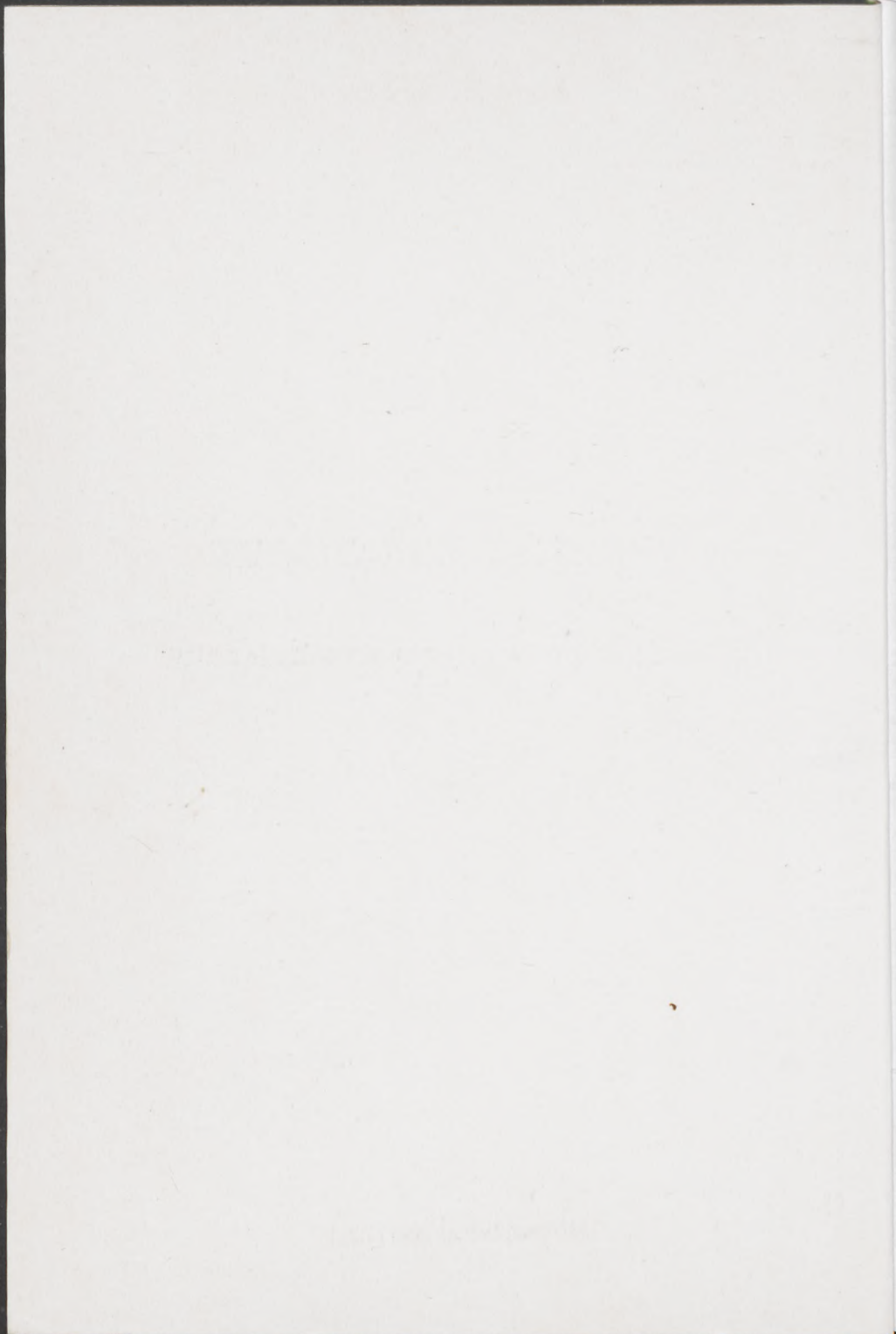
Alicja Szafrńska

W pamięci zapisane

Grodzisk Mazowiecki - wspomnienia różne



Grodzisk Maz. 2011



Alicja Szafrńska

W pamięci zapisane

Grodzisk Mazowiecki – wspomnienia różne

Grodzisk Mazowiecki 2011

Książka powstała z inspiracji Burmistrza miasta Grodzisk Mazowiecki
Pana Grzegorza Benedykciońskiego.

Napisana została na podstawie pamiętników, opowiadań i wspomnień własnych.

Autor, redakcja, projekt okładki: Alicja Szafrńska

Teksty autorskie: Eugenia Deminet, Halina Woźnicka-Jędrzejewska, Jolanta Warneńska

Współpraca autorska: Jadwiga Łacińska, Małgorzata Maczkowska

Grafika okładki: Marcin Maczkowski

Zdjęcia z rodzinnych zbiorów autorek

Zdjęcie: 1959 r. – Rozdanie matur w LO Nr 10 – udostępniła Teresa Kucharska-Górska

Przygotowanie zdjęć: Jarosław Deminet

Cytat Leonida Teligi – z kartki pocztowej do Jerzego Jachimskiego
Za zgodą Fundacji Źródła Życia i Grodziski Klub Żeglarski „CZYSTY WIATR”
wydawcy książki Wiesławy Śleszyńskiej –
*„Oczy pełne morza – Leonid Teliga i jego miasto – Grodzisk Mazowiecki”,
Grodzisk Maz., 2010 r.*

Copyright © Urząd Miasta Grodzisk Mazowiecki

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-62103-12-6

Wydanie książki sfinansował Urząd Miasta Grodzisk Mazowiecki

Skład i druk:

Alternat, tel. 46 857 13 54, alternat@fzz.pl

Spis treści

I. Życie w mieście w latach 1935–1945	7
1. Z pamiętnika panny Ady	8
2. „Octówka” i jej pracownicy – mieszkańcy fabrycznych domów przy ul. Traugutta	17
II. Czasy nauki i zabawy	32
1. Lata 1938–1945	32
2. Lata 1948–1965	35
2.1. Przedszkole w Łakach	35
2.2. Szkoła Podstawowa Nr 4 przy ul. Poniatowskiego	37
2.3. Szkoła Podstawowa Nr 2 przy ul. 3-go Maja	43
2.4. Liceum Ogólnokształcące Nr 10	50
2.5. Nauka religii – obrzędy i tradycja	60
2.6. Związek Harcerstwa Polskiego – nauki i odpoczynek	63
2.7. Ogniska – czyli tak wiele kultury pozaszkolnej	67
III. Ulice, domy, sklepiki – smaki i zapachy	73
IV. Czasy odległe – wspomnienia opowiadań, wspomnienia wspomnień	91
1. Bardzo dawno temu	91
2. Dawno, ale jeszcze trochę w pamięci	94
V. Kończą się wspomnienia – pamięć niech trwa	98

.....Znajdując się w sytuacji nie do opisania
a kłopot się nie skończył
Odpowiedzi nie było znaczenia
Gdyby tylko było to.

Tam, gdzie jest tylko jedno i „Ogólne”

Życie w mieście w latach 1935–1945

Opracowano na podstawie zachowanych pamiętników Jadwigi z Krechowickich Woźnickiej; wspomnień spisanych przez Franciszka Rutkowskiego; wspomnień dawnych opowiadań Marii z Rutkowskich Barańskiej; współczesnej autorskiej relacji Eugenii z Rutkowskich Deminetowej. Pamiętniki Jadwigi Woźnickiej udostępniła Jej córka – Halina z Woźnickich Jędrzejewska. Opowiadania Marii Barańskiej wspomina Jej córka – Alicja z Barańskich Szafrńska.

Jadwiga Woźnicka – (1921–2002) – wieloletni pracownik PKS Oddział Grodzisk Maz.; miłośniczka historii Grodziska aktywnie działająca w Towarzystwie Przyjaciół Grodziska; wieloletnia aktywna działaczka grodziskiego Oddziału PTTK i wieloletnia oddana wolontariuszka BORT (Biuro Obsługi Ruchu Turystycznego) przy Oddziale PTTK w latach 60 i 70-tych mających swą siedzibę w Pałacyku Skarbków. Szkoda, że pisana przez nią piękna poezja nie była wydana i budzi wzruszenie tylko nielicznych, którzy ją mogli przeczytać.

Franciszek Rutkowski – (1895–1971) – od 1917 r. członek P.O.W.; od 1921 r. zatrudniony w „Octówce” jako majster ślusarski i kierownik warsztatu mechanicznego; działacz Klasowego Związku Zawodowego Przemysłu Chemicznego; Dowódca Oddziału Przemysłowej Straży Pożarnej; członek Komitetu Budowy Szkoły Nr 4 w Łąkach; w 1939 r. wybrany radnym Rady Miejskiej – członek Komisji Gospodarczej.

Maria (właściwie Marianna) Barańska – (1921–1979) – córka Franciszka Rutkowskiego. W latach okupacji hitlerowskiej – „Mimi”, ZWZ/AK, WSK - łączniczka 33 plutonu Obwodu „Bazant” Armii Krajowej. W 1968 r. odznaczona Krzyżem Armii Krajowej ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 r. przez dowódcę A.K. Gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku żołnierza Polski Podziemnej w latach 1939–1945 (legitymację podpisał K. Ziemiński – „Wachnowski” Z-ca D-cy W-wskiego Korpusu A.K.) W 1969 r. odznaczona Medalem Wojska po raz 1,2,3,4 – legitymacja Nr 15430 podpisana przez Tadeusza Pelczyńskiego, Generała Brygady, Zastępcę Dowódcy A. K. Odznaczenia wydało Koło Byłych Kombatanów Armii Krajowej w Londynie.

Eugenia Deminet – córka Franciszka Rutkowskiego. Mimo zamieszkania od 1963 r. w Warszawie nadal uważa się za Grodziszczańkę.

1. Z pamiętnika Panny Ady

Pani Jadwiga Woźnicka zaczęła pisać swoje pamiętniki w 1935 r. będąc wówczas 14-letnią panną Jadzią – Adą Krechowicką.

Niedziela, dnia 7 lipca 1935 roku.

Dopiero wróciłam z teatru z wystawionej tam sztuki p.t. „Figue ułańskie”, które napisał i reżyserował p. H. Niwiński, sekretarz policji w Grodzisku. Wujcio Miecio powiedział, że to zupełnie ładna sztuka i że ten p. Niwiński ma duże zdolności.

13 lipca 1935 r.

Największą stratą, jaką Polska poniosła w tym roku, jest śmierć ukochanego Wodza Marszałka Józefa Piłsudskiego. Marszałek zmarł 12 maja 1935 roku. Byłam w Warszawie z Ciocią, gdy Jego zwłoki były wystawione w Katedrze Św. Jana. (...) Katedra w kir przybrana, poważna, smutna, potężna. Mrok ... a pośrodku głównej nawy stojący katafalk, a na nim wysoko, w trumnie okrytej flagami spoczywał Ten, który w sercach naszych i historii na wieki pozostanie. (...) Nie pisałam o tym, gdy zaczęłam pisać pamiętnik – nie mogłam, ale dzisiaj muszę, bo byłam na uroczystości z Jego śmiercią związanej. (...)

I dziś, gdy byłam na cmentarzu (w Grodzisku – przypis) przy grobie poległych walczących z Nim ramię przy ramieniu, mimo woli przyszła mi na myśl ta chwila, w której żegnałam Go na wieki. (...) Dziś przybyły poczty sztandarowe, organizacje, wojsko, rezerwiści, strażacy. Pan Chrzanowski miał przemowę. Po mowie podchodzili przedstawiciele organizacji, szkół, związków i wysypywali trochę ziemi do woreczka na kopiec Marszałka na Słowińcu. Wsypałam i ja.”

(„Kopiec Józefa Piłsudskiego, na wzgórzu SOWINIEC w Krakowie. Początkowo nazwany Kopcem Niepodległości, gdyż jego budowę rozpoczęto 6-go sierpnia 1934 r. tj. w 20-tą rocznicę wymarszu z Krakowa I Kompanii Kadrowej Legionów Piłsudskiego. Po Jego śmierci w 1935 r. kopiec postanowiono nazwać imieniem Marszałka. Mieszkańcy Krakowa usypywali go aż 3 lata i choć jest najmłodszym kopcem Krakowa, to jednocześnie jest największym, bo ma 36 m. wysokości. (...) Podobnie, jak w Kopcu Kościuszki, w nim także znajduje się ziemia ze wszystkich pól bitewnych żołnierzy polskich z I-wszej Wojny Światowej” – wg Wikipedia. Jak wynika z pamiętnika Ady Krechowickiej w Kopcu tym jest także ziemia z Grodziska Maz.)

Wtorek, 15 październik 1935 r.

Już dawno nie pisałam pamiętnika, a zaszło wiele ważnych wypadków.

Po pierwsze to wojna Włoch z Abisynią, a po drugie to poświęcenie i otwarcie Sali gimnastycznej przy naszej szkole. W tej uroczystości brałam udział grając w zespole muzycznym z gitarą, śpiewałam w chórze i mówiłam wiersz.

Niedziela, 1 grudzień 1935 r.

Nasza szkoła bierze pod opiekę jedną ze szkół na Kresach. Ciocia urządza przedstawienie na rzecz tej szkoły. Jutro próba. Będą brać udział: Krysia Saternus, Marian Reinhardt, Edek Kuliński i Józef Majewski. Ja nie.

Poniedziałek, 2 grudzień 1935 r.

Poniedziałek, więc Ciocia urządza „Jasełka”. Jak ja się cieszę z tego. Będę aniołem. W skład Jasełek wchodzi: Aniołowie – Janka Kowalczyk, miła dziewczynka, Hanka Kukielfówna i ja. Będzie trzech diabłów: Kuliński Edek, Jakubowski Jurek i Skórski Miecio. Będzie też Adam

Pagórka, robotnik i kapitalista. Robotnikiem będzie Kasta, nie pamiętam imienia, a kapitalistą będzie Kazimierz Jędrzejczak – to chyba najlepszy chłopiec w naszej klasie. Oprócz kapitalisty i robotnika jest jeszcze scena „Przed Pasterką” a w niej grają: Marian Reinhardt (Wacek), Edek Kuliński (Antek), Józiek Majewski (Bartek) i Wacka Śleszyńska (Zocha).

Czwartek, 16 styczeń 1936 r.

Ponieważ zbliża się 1 luty, a z nim imieniny p. Prezydenta, więc p. Żegilewicz zwraca się do klasy, żeby wystąpili ci, którzy podejmą się deklamacji. Oczywiście wystąpiłam.

Niedziela, 26 styczeń 1936 r.

Zaraz 28 styczeń, a więc we wtorek, zespół szkolny jedzie do radia, ja też. Ciekawam, jak mi pójdzie.

Poniedziałek, 27 styczeń 1936 r.

Dziś była lekcja gitar. Jutro cały zespół jedzie do radia.

Wtorek, 28 styczeń 1936 r.

Do Warszawy mieliśmy jechać na 9. Okazało się, że pierwszy pociąg jest o 9,38.

Czwartek, 30 styczeń 1936 r.

Jestem zaziębiona i boli mnie głowa. Pewnie się rozchoruję, a tu w sobotę mamy obchód Imienin p. Prezydenta i wieczorem zabawę. Żeby tylko do soboty wytrzymać.

Niedziela, 22 marca 1936 r.

19 marca były Imieniny Marszałka Józefa Piłsudskiego. Miałam mówić wiersz, ale zaledwie powiedziałam kilka słów i rozplakałam się. Trudno, nie mogłam mówić. Pani Żegilewicz nie była zadowolona i rugała mnie za to, że kartki z wierszem z sobą nie wzięłam. Myślała, że nie umiałam, a przecież nie mogła wiedzieć tego, co się w mojej duszy działo. Po Wielkiej Nocy pojedziemy do radia grać z całym zespołem.

1 maja 1936 r.

Dziś było święto robotników. Był pochód z czerwonymi sztandarami.

3 maja 1936 r.

Dziś nasza orkiestra grała na akademii święta 3 maja.

Niedziela, 30 sierpień, 1936 r.

Dziś byłam na Wystawie Przemysłu Meblowego i Elektrotechnicznego. (Pewnie w Warszawie – przypis) Widziałam moc ciekawych rzeczy. Ach, czego tam nie było!? Był pociąg dawny i elektryczny, były urządzenia i samoloty, różne maszyny, nawet z Wujcia fabryki (*Zakładów Mechanicznych w Pruszkowie – przypis*) Żebym miała tu opisywać wszystko to, co widziałam, zajęłoby to ze cztery strony, więc piszę w skrócie. Strasznie dużo chodziłam z Wujciem po wystawie. Bolały mnie nogi, a Ciocia siedziała w wagoniku 1 klasy starodawnej kolei i odpoczywała. Potem obserwowaliśmy wzlot balonów na zawody o puchar Gordon – Benneta. Ciekawam, który zwycięży, mamy poważnego przeciwnika, belgijczyka, no trudno. Co Bóg da.

1 wrzesień 1939 r.

Dziś o godzinie 5 rano rozpoczęła się wojna z Niemcami.

Podły Hitler napadł na Polskę, pogwałcił pakt (już zresztą dawno), a w dniu dzisiejszym wysłał swe samoloty w głąb kraju. Nalot był na Warszawę (3 samoloty), na Gdynię, Katowice i inne miasta. U nas w Grodzisku samoloty niemieckie zrzuciły 12 bomb. Do tej pory jest 6 zabitych i około 20 osób rannych. Samoloty niemieckie widać niezbyt celnie celują, bo zamiast w wielki budynek szkolny wcelowały w... śmietnik, jakąś starą żydowską rudę.

Pani Szczepańska, była legionistka 2 p. Legii Ochotniczej Kobiet i sanitariuszka, brała czynny udział w ratowaniu i niesieniu pomocy rannym. Mam dla niej wielkie uznanie.

Według gazet i radiowych sprawozdań, polska artyleria przeciwlotnicza strąciła ogółem 16 nieprzyjacielskich samolotów bombowych. Pomagaj im Boże! Straciliśmy sami 2 samoloty – Wieczny odpoczynek racz im dać Panie.

Ludność cywilna bierze czynny udział w służbie ratowniczo – sanitarnej, tzw. Rat-san. Miasto jest podzielone na bloki, a na czele każdego bloku jest komendant (u nas p. Stacho Zaleski, ten sam, co grywał ze mną na korcie). Komendantowi podlega kierownicza służby rat-san. (u nas – moja Ciocia). Kierownicze podlegały 2 posterunki służby rat-san, oraz 2 patrole rat-san. Bezpośrednie zwierzchnictwo obejmuje komendant nad służbą pożarową, oraz służbą bezpieczeństwa. Oprócz tego są jeszcze gońcy.

Mnie, na moje gorące prośby, przydzielono do patrolu nr 1. Pełnię tam służbę z przemiłą p. Gienią Murzynową, którą bardzo lubię.

Najwięcej się martwię, że nie ma masek i musimy zjeżdżać do schronu, ale już pewnie w poniedziałek będą...

Czwartek, 7 września 1939 r.

Dziś siódmy dzień wojny. Ludność uchodzi z Grodziska. Spokój. Naloty jakoś się przerwały. I w dzień i noc bardzo spokojnie.

Poniedziałek, 2 października 1939 r.

Warszawa wzięta. Dzielnie broniła się Stolica przez trzy tygodnie, ale cóż?... Nędza, głód, zaraza, a nade wszystko bomby złamały opór Polaków. (...) Wczoraj byłam w kościele i po drodze widziałam polskie wojsko w niewoli. Siedzieli na wozach, lub na koniach, zarośnięci, brudni, zrezygnowani i smutni śmiertelnie. Nie doszłam jeszcze do kościoła, a już sam ich widok tak mnie załamał, że łkanie szarpało mnie, a łzy płynęły jak groch. (...) Dziś jeszcze nie koniec wojny! Pomimo tego, że Polska do połowy przez Niemców, a od połowy przez Rosjan zajęta. Nie ma już naszej Ojczyzny. Niemcy i Bolszewicy po 20 latach pokoju wyciągnęli swe bezbożne ręce i rozdrapali JĄ między siebie. Tak, bo i Rosja wyciągnęła swe szpony po cudze. Zdrajcy, złodzieje. Mają tak olbrzymie tereny, a po przeludniony skrawek ziemi sięgają. Wstyd, hańba!

Piątek, 8 marca 1940 r.

Kracz z tym opałem, to po prostu dramat. Zimno okropnie, a tu ani kawałeczka węgla. Wszyscy narzekają i o niczym innym nie mówi się w Grodzisku – gdzie można dostać węgiel? Kiedy będzie chleb na kartki? Czy w tym miesiącu będą dawać cukier? Kto ma mięso z Chełma? Kogo wywieźli do Prus? – Tak, nawet to. Przez te przymusowe roboty w Prusach to ja już ze trzy niedziele opuściłam, bo nie wszyscy wezwani się stawiają i wtedy łapią kto im wpadnie pod rękę, aby tylko liczba wezwanych robotników się zgadzała...

Sobota, 15 czerwiec 1940 r.

Dwa miesiące nie zaglądałam do pamiętnika. To kupa czasu. Dwa miesiące! Co się przez ten czas działo na świecie?

Ano - Niemcy wczoraj zajęli Paryż... ale nie martwię się... Człowiek musi sobie znaleźć coś na pociechę - ja mam to, że zajęcie Stolicy Francji było planowo przewidziane przez dowództwo francuskie. A mianowicie wkraczająca do Paryża armia niemiecka zastała w nim tylko urzędników, straż pożarną, straż bezpieczeństwa i konsulat amerykański dla ochrony obywateli francuskich pełniących te urzędowe funkcje, poza tym, ani żywej duszy... No i gdzie tu sukces? Ha, ha, ha! Zająć opuszczone miasto, gołe mury? Od polityki to aż w uszach dzwięczy, wszędzie tylko na takie tematy się mówi: „Jak długo potrwa wojna?, Kto zwycięży?, Kto przystąpi do wojny? I horoskopy na przyszłość.” Nawiasem mówiąc, do wojny przystąpiły Włochy, ale wspierając Niemców.

Przewidywania są takie:

Ponieważ Niemcy są silni, więc mogą zwyciężyć, o ile Ameryka im nie przeszkodzi i zachowa neutralność, co jest jednak wątpliwe, bo wspomaga koalicję materiałem wojennym.

Zwycięstwo ich jednak nie ograniczy się do zajęcia Francji i Anglii, przecież to są dwa duże i jak Niemcy przeludnione kraje. Niemcom potrzeba przestrzeni, więc nie o Francję i Anglię im chodzi, im chodzi o „Lebensraum”, a gdzie go znaleźć? Pewnie, że pobicie Francji i Anglii daje im możliwość posiadania kolonii w Ameryce, Afryce, Australii itd..., ale po co? Przecież jest to za daleko, lepiej jest mieć bliżej i w całości ów upragniony „Lebensraum” i szukać daleko nie potrzeba. Trzeba zrobić pokój na Zachodzie i ... Drang nach Osten, tak na Wschód. Rosja, kraj bogaty w surowce, których Niemcom brak, posiadająca wielkie nie zaludnione obszary stanie się łupem zwycięskich Niemiec. No i co? Ładna perspektywa?

A co będzie z nami po wojnie? Żydzi mówią, że ich Niemcy wyślą do Palestyny, a Polaków na Syberię, zaś na miejsce wysiedlonych osiedlą kolonistów niemieckich. Brrr!...

Inne przypuszczenia tak wyglądają:

Do wojny po stronie Koalicji przystąpi Ameryka i ... Rosja. Rosja przepuści wojska francusko-polskie i razem uderzy na tyły niemieckie. Jugosławia zacznie szarpać Włochów i w kotle bałkańskim zagotuje się. Rumunia przystąpi do Koalicji, a także Bułgaria, Grecja, a może także Węgry... I zacznie się taka zawierucha i kotłowanie, że nie będzie wiadomo, kto, z kim i przeciwko komu się bije. Gdy już nastąpi upragniony koniec owej mieszaniny, takie się wygotują substancje: zupełny pogrom Niemiec i Włoch. Wolna i Wielka Polska, Rewolucja w Rosji i zmiana ustroju. Rozdział Włoch między Francję, Jugosławię i Węgry, wolna Czechosłowacja i PAX, PAX, PAX!

Czwartek, 15 sierpień 1940 r.

I znowu dwa miesiące próżnowałam. Już tyle razy zbierałam się do pisania, raz to już nawet otworzyłam pamiętnik i ... zaczęłam czytać wspomnienia, oczywiście o pisaniu nie mogło być mowy. Te dwa miesiące przyniosły wiele zmian w polityce i trochę poznały moje życie.

A więc Niemcy zajęli Francję i zawarto haniebną pokój i to dokładnie w tym samym miejscu, gdzie po skończeniu poprzedniej wojny podpisano Traktat Wersalski. Anglia i wierni Polacy walcą dalej. Włochy działają w Afryce, ostatnio toczą się walki o Somali Angielskie. Rosja zajęła Besarabię. Bułgaria też zabiera jakąś część rumuńskiej ziemi (tylko teraz nie pamiętam jak się ona nazywa.) Ameryka - nie i inne państwa - nic. Na razie cisza. Obie strony częstują się bombami, jak do tej pory bez wyniku, a co będzie dalej? Nie wiadomo...

Niedziela, 1 wrzesień 1940 r.

Dziś upływa rok od chwili rozpoczęcia tej fatalnej wojny. Dziś rok. Ach, jaka smutna, jaka bolesna to dla nas rocznica... i końca jakoś nie widać. Mam tę pociechę, że Niemcy nie poruszają się dalej, że nareszcie utknęli, tak! Polska była za słaba - uległa przemocy, Norwegia, Belgia

– również, a Francja – przesiąknięta komunizmem, osłabiona walkami partyjnymi, na haniebnie przyznany pokój. Tam był fatalny bałagan, rządy tam niemal każdego dnia się zmieniały – przed wojną jeszcze. A później, ach, szkoda na to słów. Dziś walczy Anglia i to porządnie, a u jej boku kołacze się gromadka wiernych Polaków, którzy nie zapomnieli tradycji swych przodków, którzy postanowili wywalczyć Polskę za wszelką cenę – albo zginąć!... A Niemcy tymczasem u nas się rządzą i co najboleśniej – dla mnie przynajmniej – to, że Plac Marszałka Piłsudskiego (w Warszawie – *przypis*) przemianowali na plac Hitlera, O ZGROZO!...

Poniedziałek, 3 lutego 1941 r.

W Grodzisku – wielki ruch. Żydzi wynoszą swe mienie, dają na przechowanie różne przedmioty, sprzedają, wydzierżawiają, odnajmują, wymieniają – jednym słowem, kij w mrowisku. Dzieje się tak dlatego, że mają być stąd wysiedlani, więc oni zawczasu przygotowują się do wędrówki. W takie zimno, w taką pogodę o tej porze roku – nieludsko!

To samo działo się z Polakami. Przecież pana Witolda wysiedlono też nie w lepszych warunkach...

Teraz coś z polityki: Włosi dostają w Afryce lanie. Do tej pory państwu „osi” powodziło się, ale już od pewnego czasu – karta się odwróciła. Niemcy ograniczają się do pojedynczych lotów nad Anglię, a Włosi biorą kije na wszystkich frontach od chwili zdobycia najsilniejszej twierdzy włoskiej w Afryce ... przez Anglików – powodzenie opuściło ich, jak do tej pory bezpowrotnie. Kanclerz Hitler przemawiał w zeszłym tygodniu i powiedział, że wojna skończy się w tym roku, i to zwycięstwem Niemiec!!! Od trzech dni ten nieznoszny „Kurier” rozwadnia mowę i komentuje i przetwarza ustępy z niej.

Piątek, 4 lipiec 1941 r.

Zajęta własnymi sprawami zapominałam o sprawach publicznych, przecież od miesiąca o niczym innym się nie mówi jak o toczącej się w obecnej chwili wojnie między Niemcami a ZSRR. To sensacja niebywała. Nareszcie ktoś kogoś oszukał. Niemcy po długich zaprzeczeniach jakoby koncentrowały wojska na wschodzie oświadczyły, że zmuszeni byli wypowiedzieć wojnę Rosji na skutek jej dwulicowej polityki, która polegała na zмовie z Anglią z jednoczesnym zachowywaniem uprzejmych stosunków z Niemcami. Więc pękła bomba - i to nie jedna! Walki toczą się zażarte. Niemcy są silni, ale i Sowiety też nie spały przez ten czas, gdy ci się zbroili. Do tej pory panami sytuacji są Niemcy, to jednak wcale nie znaczy, że nie należy tracić nadziei – ostateczne zwycięstwo będzie decydujące w tej wojnie, a wszystko w ręku Boga.

Sobota, 2 sierpień 1941 r.

Niemcy walą się z Moskalami i nic z tego na razie nie wychodzi, jedni i drudzy są dość przygotowani i pewnie prędko to się nie skończy, choć różne chodzą wieści. Nasi „opiekunowie” raczyli łaskawie przyłączyć Lwów do Guberni Generalnej i przy tej okazji „łaskawca” Gubernator Frank wygłosił okolicznościową mowę, prosząc o lojalność i współpracę z rządem rzeszy niemieckiej.

Piątek, 30 październik 1941 r.

W Niemczech podobno wybuchła rewolucja, za 3 miesiące ma być koniec wojny. Boże, czy to możliwe? Ta wojna tak gnębi, tak przygniata serca, ludzie chodzą tacy smutni i przygnębieni. Taka wiadomość różnie wywołuje uczucia i komentarze. Jedni wierzą, drudzy nie, inni znów obojętni apatycznie wzruszają ramionami... Cóż stąd? Co będzie dalej? A bo to prawda? Ja sama w tak rychły koniec wojny nie wierzę, niech będzie choćby za rok, to już, bo mówią jeszcze o dwóch latach...

11 listopad 1941 r.

A życie ciągle idzie swym trybem... Dziś jedenasty listopad. Święto niepodległości... Z tej racji nie było lekcji.

Poniedziałek, 10 sierpień 1942 r.

Cierpimy wszyscy, znęcanie nad Żydami już Szwabom się naprzykrzyło i teraz o wszystko mają pretensje do Polaków. Zabijają Polaków jak psy, za szmugiel, za późne chodzenie po godzinie policyjnej, za co im się podoba – bez sądu, bez pardonu! Zwierzęta!

I oni chcą kulturę rozprzestrzeniać, oni chcą być władcami? Jakże tak niski ustrój można proponować światu? To niemożliwe!

18 styczeń 1943 r.

No i mamy 1943 rok – czwarty rok wojny! Przez te cztery lata stoi wszystko w punkcie, w którym się zatrzymało 1 września 1939 roku. Ani na milimetr nie poszło życie naprzód, ani na jeden krok. I mnie się zdaje, że śnię, że to nieprawda. Że ta okropna wojna, te łapanki, te śledztwa, te wszystkie „przyjemności” związane z pobytem Niemców na naszej ziemi, to jakiś zły, koszmarny sen, że przyjdzie wreszcie dzień, w którym dobra wróżka obudzi mnie i zobaczę, że znów jaśniej na jutrenka swobody. Ach, ale to rzeczywistość twarda, nieubłagana, potworna rzeczywistość, bo im większe niepowodzenia spotykają naszych ciemniźcicieli, tym gorzej obchodzą się z nami, tym więcej gnębią naród.

Sytuacja polityczna jest bardzo pomyślna dla aliantów, ale wiosną ma być ofensywa rozpoczęta przez Niemców. Atak bolszewicki trwa i to skutecznie, wzięto Wielkie Łuki i zlikwidowano kocioł pod Stalingradem. O miasto to toczyły się tak długo walki, a jednak nie zostało zdobyte i pociągnięto to wiele ofiar.

Wtorek, 9 lutego 1943 r.

A więc, jak wspomniałam – Niemcom źle się powodzi. Każdy dzień przynosi nowe wydarzenia i dalsze kilometry na szlaku niemieckiej rejerady. Ach, pyszną zabawę mają Rosjanie. Stalin zachęca swych żołnierzy do wypędzania Niemców z granic Rosji – „tak, żeby ani jeden prócz martwych i plennych nie został!”

Ze Stalingradem to była rzecz tego rodzaju. Najpierw zdobywali to miasto Niemcy i zostali osaczeni, gdy Rosja wycofała swe siły z miasta. Po miesięcznych walkach zostali rozbici zupełnie. Gen. Paulus i Strecker poddali się do niewoli (śmiejemy się, że temu pierwszemu nie pomogła nawet buława marszałkowska). Była tam przeszło 200 tys. armia, z której ocalało zaledwie 16 tys.. Bardzo ładnie! Jeśli tak każde miasto będzie Fuhrer zdobywał, to maluczko, a Niemców mu zabraknie! Zresztą o to nie martwimy się byleby Polaków do wojska nie pragnął, a chodzą właśnie o tym tajne wieści... Na razie pełno jest w kraju desperatów i dywersantów, którzy wymierzają sprawiedliwość „zasłużonym panom niemieckim”. O, niejednemu się dostało i to ciężko...

Wtorek, 16 lutego 1943 r.

Najciekawsze wiadomości z frontu wschodniego oznajmiły nam oddanie Rostowa i Woroszyłowgradu bolszewikom, a następnie o zaciętych walkach toczących się pod Charkowem, gdzie Rosjanie znów okrażają Niemców. We Włoszech odbywa się w najlepsze zmiana gabinetu, a co najważniejsze dotychczasowy min. Spraw Zagranicznych Ciano dostał dymisję i został ambasadorem w Watykanie! Mussolini objął sam osobiście stanowisko swego zięcia. Podobne zmiany zaszły w Albanii. Coś się psuje w państwie Włoskim, powiedziałabym. Lotnictwo angielskie upodobało sobie ten kraj za cel dla ciężkich bomb, których, bynajmniej, nie żałują dla słonecznej

Italii. Jest tam teraz „ciepło” nad miarę i potrzeby mieszkańców, którzy często płacą swym życiem za grzechy swych naczelników. Tak. Taka jest kolej losu tych, co ślepo wierzą, a nie badają i dociekają prawdy. Wojska anglo – amerykańskie posiadają jednolite dowództwo i sprawnie rozbijają włosko – niemieckie formacje w Afryce, co ma stać się punktem wyjścia dla przyszłej rozgrywki na kontynencie Europy. Należy tu nadmienić, że są już w Trypolis. Górą nasi! A co do naszych Wojaków, to podajemy sobie z ust do ust wiadomości o rychłym Ich przybyciu z Persji przez Turcję i Bałkany do Ojczyzny, gdzie zagrodzą drogę zarówno uchodzącym Niemcom, jak i nadchodzącym bolszewikom... W tym roku, na jesieni, będziemy wolni!!!

Tym wpisem Ada – Jadzia Krechowicka kończy swój pamiętnik.

Jednak powyższe fragmenty są tylko jego małą częścią. Całość pełna jest nazwisk mieszkańców Grodziska, codziennych wydarzeń radosnych i smutnych, wesel i pogrzebów. Ważną rolę w życiu mieszkańców pełni uczestnictwo w życiu kościelnym, w kościelnej duchowości i obrzędowości. Oczywiście najwięcej jest opisów życia w szkołach – podstawowej (prawdopodobnie Nr 1 Dyrektora **Piotra Krupińskiego**) i w gimnazjum – opisów zdarzeń, nazwisk koleżanek i kolegów, dziecięcych przeżyć oraz młodzieńczych umizgów i zalotów.

Znajdujemy nazwiska nauczycieli, o których Ada zawsze pisze w pełen szacunku sposób. Panie: **Okraszewska, Gierłowska, Halina Kroll** (gimnastyka), **Żegilewicz Ludwika, Durys-„Duryśówna”** – nauczycielka polskiego, która uważana jest przez Adę za „światłodawczynię”. Niewątpliwie takie skojarzenie jest wynikiem młodzieńczej egzaltacji, ale też niewątpliwie Nauczycielka Durysówna na nie zasłużyła. Wiele jest o Niej ciepłych wzmianek. Wnosząc tak ze stylu, w jakim Ada pisze swe przeżycia, jak i z rozbudzonej w dziewczynce wielkiej ciekawości wydarzeń lokalnych i światowych, co wynika z ich treści, wpływ Tej nauczycielki na intelektualny rozwój dziecka musiał być wielki. Z nauczycieli – mężczyzn wymieniony jest **Prof. Zemke** od łaciny i **Pan Żegilewicz**. Nie wiadomo kim była Osoba o nazwisku **Gralak**, która w 1941 r. „...w tajemnicy przed Szkopami...” uczyła dzieci w ramach tajnych kompletów. Oprócz przedmiotów podstawowych była nauka języka niemieckiego, łaciny, a nawet jest też wzmiankowana nauka greki. W szkołach były szkolne chóry i szkolna orkiestra, której poziom musiał być dość wysoki skoro zapraszana była na występy do Polskiego Radia w Warszawie. Życie szkolne animowali tak nauczyciele jak i Rada Rodziców – liczne są opisy szkolnych zabaw, Bożonarodzeniowych jasełek, różnych występów i przedstawień. Były to okolicznościowe uroczystości i patriotyczne rocznicowe apele np.: poświęcone rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja w 1791 r., czy odzyskaniu Niepodległości w 1918 r. Liczne także były apele związane z osobami historii współczesnej – Marszałka Józefa Piłsudskiego, Prezydenta Ignacego Mościckiego. Deklamowano na takich apelach wiersze żyjących, ale wielce już uznanych twórców: Jana Lechonia – „Piłsudski”, Kazimiery Iłakowiczówny – „Częstochowska”. W dniach 30 października obchodzony był w szkole Dzień Oszczędności.

Amatorskie występy i pokazy nie tylko w szkole miały miejsce. Rolę ówczesnego grodziskiego teatru pełniła sala w budynku Komunalnej Kasy Oszczędności, kilkakrotnie wspomniana w pamiętniku Ady.

Pośród mnóstwa książek czytanych przez Adę, w szkolnych lekturach powojennych lat pozostało zaledwie kilka tytułów: Pan Tadeusz, Potop, Chłopi, Emancypantki i Opowieść wigilijna. Zupełnie natomiast „wypadły” z dziecięcych lektur takie książki jak: Złota Elżunia, Kapitan Łamigłówka, Aloza, Miasto zwierząt, Igraszki lwowskie, Po walce-pokój, Z dała od szalejącego tłumy, Kryształowe źródło – Anny Szołt, Jedynaczka – Bronisławy Porawskiej, Ofiara dziecka – Fryderyka Fonna, Panna Irka – Zarzyckiej. Nie wiadomo, jakich historycznych wydarzeń dotyczyła książka „Jadwisia”, o której Ada pisze: „... piękna książka historyczna”. Natomiast z pewnością także taką była książka „Kryjuki”, gdyż do informacji o jej przeczytaniu Ada dodała

komentarz: „...jaki ten ksiądz Brzózka mądry i waleczny...” Wymienione tytuły periodyków to Płomyczek i Bluszcz. Tytuły obejrzanych filmów: Dzień wielkiej przygody, Sekwoja, Rapsodia Bałtyku z piękną pieśnią – Śpiewają fale, oraz Pasteur – „o wielkim francuskim uczonym, odkrywcy szczepionek na ospę i wściekliznę”. Aby obejrzeć ten film cała klasa pojechała do kina do Warszawy – film był ciekawy, a powrót kolejką bardzo figlarny.

Obok spotkań i spacerów, wizyt i rewizyt, czyli bardzo ożywionego życia towarzyskiego, ulubionymi pozalekcyjnymi zajęciami dzieci były gry i zabawy. W domach grano w Pchełki, Czarnego Piotrusia, Wojnę. Na powietrzu grano w piłkę, a w letnich miesiącach lat 1937 i 1938 wielką atrakcją była gra w tenisa. Korty znajdowały się w okolicach ulicy Lutniańskiej, a ich właścicielem był Pan **Kalikst Zalewski**. W jednym z wpisów w miesiącu zimowym znajdujemy też wzmiankę o miejskim lodowisku i jazdach na łyżwach.

Z lekarzy opiekujących się zdrowiem mieszkańców miasta wymienieni są: Pan **Rożnowski** i Pan **Frejdlich**, którego pewnie żona – Pani **Frejdlichowa** – była dentystką.

Wymieniani w pamiętniku Ady „Ciocia i Wujcio” to Jej Opiekunowie – Państwo **Felicja i Mieczysław Redlowie**. Rodzinne pamiątki z pietyzmem przechowywane są w domach Jej dzieci – Haliny Woźnickiej-Jędrzejewskiej, Elżbiety Adamskiej, Mirosława Woźnickiego.

Alicja Szafrńska



2-ga połowa lat 30-tych
Ada – Jadwiga Krechowicka z opiekunami



Koniec lat 40-tych
Jadwiga Woźnicka

2. „Octówka” i jej pracownicy – mieszkańcy fabrycznych domów przy ul. Traugutta

Opracowano na podstawie wspomnień napisanych w 1970 r. przez Franciszka Rutkowskiego; zapamiętanych opowiadań Marii Barańskiej; wspomnień napisanych w 2010 roku przez Eugenię Deminet.

„Octówka” to wieloletnia (wywiedziona od podstawowego produktu - esencji octowej) potoczna nazwa Fabryki Chemicznej „Georg Krell i Spółka”, późniejszych Grodzkich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa”, obecnie Gedeon Richter Polska.

Mieszkańcy dwóch domów stojących przy Fabryce byli zatrudnieni na stanowiskach fabrycznego średniego i niższego dozoru. W każdym domu, na parterze lub piętrze, mieszkało 8 rodzin. Mieszkania składały się z dwóch pokoi, dużej kuchni i przedpokoju. To samo miejsce pracy i zamieszkania spowodowało, że powstały tam silne więzy sąsiedzkie. Jednocześnie w przypadku wielu mieszkańców były to także stosunki pokrewieństwa lub powinowactwa, więc to osiedle w dawnym Grodzisku szczególną rodzinno-pracowniczą enklawą. Wszyscy się znali, byli sobie bliscy, a ich życie – radości i troski były prawie wspólne. Zdarzało się, że niektórzy z mieszkańców byli już drugim pokoleniem zatrudnionych w „Octówce”. Ojciec **Franciszka, Stefana i Władysława Rutkowskich – Tomasz Rutkowski** (1857–1928) pracował w Fabryce pewnie od początku jej istnienia, tj. od 1885 r., mieszkając z rodziną w fabrycznym domku w ogrodzie przy ul. Koronkowej. Synowie z rodzinami zamieszkali w domach przy ul. Traugutta. W mieszkaniu Nr 4 na piętrze pierwszego domu w latach 1919–1936 mieszkał z matką i bratem **Leonid Teliga** – żeglarz samotnego rejsu dookoła świata, który rozślawił Grodzisk na Polskę i świat.

Regułą było, że mężczyźni pracowali w Fabryce, a kobiety zajmowały się dziećmi i prowadzeniem domu. Rytm życia odmierzał sygnał fabrycznej syreny. O godz. 13-tej w Fabryce była przerwa na posiłek, a ponieważ miejsce pracy i dom były w bliskiej odległości, panowie przychodzili do domów na obiad. Był to obiad rodzinny, bo dzieci też w tym czasie wracały ze szkoły. Kilka godzin później, po zakończeniu pracy, zarówno kobiety jak i mężczyźni mieli już wolny czas. Spędzano go wspólnie w prowadzonej przez Fabrykę świetlicy wyposażonej w bilardy i stoliki do innych gier. Była nawet mała scena, na której występował amatorski zespół teatralny z aktorami – pracownikami lub członkami rodzin pracowników Fabryki. Sztuka „Romans pani majstrowej” wystawiana była kilka razy, zarówno z powodu wesołej treści, jak i z powodu znakomitej gry aktorskiej panny **Dubieleckiej**, która grała główną rolę.



8.VI.1939 r., *Boże Ciało*, Łowicz
(po lewej Panna Dubielecka, po prawej
Maria Rutkowska)



*2-ga połowa lat 30-tych - Przemysłowa Straż Pożarna
(w cywilnym ubraniu Dyrektor Edmund Szumiłowski;
z Jego prawej strony Dowódca Straży Franciszek Rutkowski)*

Wielu członków przemysłowej straży pożarnej było także muzykami fabrycznej dętej orkiestry. Bardzo prężnie działała drużyna piłki nożnej UNIA, a rozgrywane przez nią mecze mobilizowały całą fabryczną społeczność do kibicowania. Chodzono na nie całymi rodzinami, nawet z dziećmi w wózkach. Wielu piłkarzy UNII było zawodnikami miejskiej drużyny piłkarskiej POGON, która jako K.S., „Grodzisk” reprezentowała miasto na rozgrywkach w ramach Piłkarskiej Ligi Krajo-wej, niestety nie wiadomo, którego poziomu. Na pewno POGON rozgrywała mecze w Warszawie, a dumni rodzice zawodników jechali pociągiem do Warszawy i dorożką „na gumach” na stadion.



(2-gi z prawej Mieczysław Barański; 4-ty z prawej Jerzy Zientala)

Fabryka stwarzała możliwości rekreacyjne i pracownicy wraz z rodzinami chętnie z nich korzystali. O wysokim poziomie opieki socjalnej i dbałości o zdrowie pracowników świadczy sposób, w jaki rozwiązano problem wody. Ponieważ fabryczne służby sanitarne uznały wodę z najbliższych studni za nie nadającą się do spożywania, zorganizowano regularne zaopatrzenie – dowóz w 40 l. balonach wody pitnej ze studni głębinowej znajdującej się na miejskim rynku. W wyniku procesu technologicznego produkowanych wyrobów pozostawały duże ilości zbędnej gorącej destylowanej wody, więc mieszkańcy fabrycznych domów mogli używać jej do mycia i prania czerpiąc z wyprowadzonych na zewnątrz Fabryki ujęć.

Znaczny wpływ na życie fabrycznego osiedla miały pory roku.

Latem większość czasu spędzano na powietrzu. Przed domami były trawniki z rabatami kwiatowymi i klombami, o które dbali fabryczni ogrodnicy. Kwiaty były sezonowo wymieniane – pierwsze sadzono bratki, później szalwie, aksamitki i begonie. Alejka – dojście i dojazd do fabrycznej portierni wysadzone były kasztanowcami, w których w czerwcu buszowały stada chrabąszczy. Z boku domów rosły gęste bzy, pod frontowymi oknami biegły żwirowe alejki, a przy każdym wejściu stały ogrodowe ławki. Najprzyjemniejsze jednak było miejsce na ławce pod bzami. Ławki te fabryczne służby zabierały na zimę do magazynów. Odświeżone i pomalowane wiosną znów wystawiano je przed domy, aby zwiastowały lato i służyły mieszkańcom. Kwitło na nich życie towarzyskie, były oblegane od rana do wieczora, bo zawsze ktoś miał wolny czas na pogawędkę.



1941 r. – na ławkach pod bzami

(od prawej: Stefan Rutkowski, Wojciech Brzeziński, Jerzy Zientala, Wanda Tumiłowska, Jadwiga Zientalówna, bracia Kazimierz i Mieczysław Barańscy, Franciszek Rutkowski – młodszy, Maria Barańska z córką Jolantą)

Prawie wszyscy chętnie korzystali też z organizowanych przez Fabrykę wycieczek do lasu. Do kilku ciężarówek wstawiano drewniane ławki, w każdej rodzinie zadbano o naszykowanie „wałówki” i koców do rozłożenia na trawie, jechano... i było bardzo wesoło. Dla dzieci urządzano konkursy sprawnościowe i wiedzy z dziecięcych książeczek. Dla dorosłych były wyścigi w workach, z jajkiem na łyżce, czy wdrapywanie się po nagrodę na wysmarowany mydłem pal. Na „majówki”

(niedzielne wyjazdy nawet w lipcu i sierpniu nazywano „majówkami”) wyjeżdżano także prywatnie i też całymi rodzinami – kolejką EKD do Podkowy Leśnej lub koleją PKP do Jaktorowa.



2-ga połowa lat 30-tych – Cykliści z „Octówki”

Były również organizowane wycieczki dalsze, jak ta ze zdjęcia z 1935 r. do Wieliczki i na pewno do Krakowa.



Zimą dużo czasu spędzano w fabrycznej świetlicy, ale też prawie każdego wieczoru odwiedzano się prywatnie w mieszkaniach, oczywiście z dziećmi i maluchami, które przynoszono opatulone kocami. Kolacyjki, raczej skromne, były „składkowe”. Wspominano, omawiano aktualne wydarzenia, grano towarzysko w karty i bardzo dużo wspólnie śpiewano – głównie pieśni legionowych, gdyż wszyscy podzielali kult Legionów i Marszałka Józefa Piłsudskiego. Rozwijał się w tych pieśniach rozmaryn, rozkwitały pąki białych róż, a Pierwsza Brygada była dumna ze swojego zwycięstwa. Długo trwały namawiania, ale w końcu Wujek **Franciszek Studziński** – zesłaniec syberyjski z carskich czasów – „dawał uprosić się” i głębokim barytonem śpiewał „Bradanie” – „Włóczęgę”. „Pa dikim stiepiam Zabajkala” – pieśń o skazańcach i ludziach zagubionych w syberyjskich tajgach, o tragicznie powikłanych losach rosyjskiego życia – była przejmująco odczuwana przez wszystkich a szczególnie tych, którzy wciąż pamiętali czasy rosyjskiego zaboru. Dwoje jeszcze było solistów – Ciozia **Mania Rutkowska** (sopran) i Wujek **Wojtek Brzeziński** (tenor) o prawdziwie dobrych, acz nie szkolonych głosach. Wszyscy chętnie śpiewali popularne piosenki z polskich filmów przebogate w prawdziwe słowno-muzyczne arcydzieła, lecz popisowymi występami solistów były arie operetkowe, w tym z ulubionej – „Ptasznik z Tyrolu” Carla Zellerera.



1942 r. – w mieszkaniu Marii i Stefana Rutkowskich

(od prawej siedzą: Maria i Mieczysław Barańscy z córką Jolantą, Jadwiga Studzińska, Marta Nowakowa, Jadzia Rutkowska, Franciszek Rutkowski-młodszy, Michał Nowak, Maria „Mania” Rutkowska; od prawej stoją: Eugenia „Dzidzia”, Rutkowska, Zdzisław Rutkowski, Janina Studzińska, Halina „Niusia” Rutkowska; niemowlę na zdjęciach to obecnie Jolanta Warneńska)

Było to życie niezbyt zasobne, ale spokojne. Mając w Fabryce oparcie zawodowe i socjalne mieszkańcy fabrycznych domów mieli poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Spełniali swoje obowiązki – był czas pracy i czas odpoczynku. Otoczone miłością i opieką dzieci bawiły się

na obszernych zabudowanych piwnicami i komórkami podwórkach, a z chwilą zakończenia godzin pracy miejscem zabaw stawał się cały fabryczny teren, na co było niepisane przyzwolenie. Bezpieczeństwa obiektów fabrycznych, a przy okazji dzieci, strzegły służby wartownicze. Chłopcy grali w piłkę nożną i w „zośkę”. Poza wspólną zabawą „w chowanego” bawiono się grą „w klasy”, w „komórki do wynajęcia”, w „berka”, skakano na skakankach. Dziewczynki oczywiście bawiły się w „dom” chociaż potrzebnych do tego, w roli „dzieci”, lalek było bardzo mało. Tylko córka dyrektora Fabryki miała dziecięcy rowerek. Jeżdżono jednak na męskich – „tatusiowych i wujkowych” – ale „pod ramą”. Było to bardzo niewygodne.

Właściwie fabryczne domy mieszkalne były trzy. Oprócz dwu „robotniczych” przy ul. Traugutta, w ogrodzie za nimi – w „Dużym Ogrodzie” przy ul. Poniatowskiego – stoi do dziś okazała willa, obecnie siedziba Zarządu Zakładów. Wszystkie te domy, jako jedne z pierwszych w Grodzisku, miały doprowadzony prąd elektryczny, a willa posiadała instalację wodociągową i w każdym z mieszkań była łazienka, co w ówczesnych czasach było czymś wyjątkowym i luksusowym. W willi, nazwanej „Bajka”, mieszkali wraz z rodzinami pracownicy zarządu i kierownictwa fabryki – Państwo **Szumiłowscy, Konarzewscy, Krasuccy, Hauptmanowie**. Ogólny podziw budziły krzaki pięknych róż pracownice pielęgnowanych w ogrodzie przez Panią Hauptmanową. Państwo Hauptmanowie byli rodziną niemiecką, gdyż w tamtym okresie Fabryka była spółką akcyjną o znaczącym udziale kapitału polskiego i niemieckiego. Niemieckimi pracownikami Fabryki i sąsiadami polskich mieszkańców było jeszcze kilka innych rodzin niemieckich. Nie było żadnych waśni narodowościowych. Wszyscy żyli zgodnie, nieraz przyjaźnie, niektóre niemieckie dzieci uczęszczały do polskiej szkoły przy ul. Poniatowskiego.

Głównym miejscem zaopatrywania się w artykuły żywnościowe było miejskie targowisko – targi odbywały się w każdą środę. Podstawowe artykuły spożywcze kupowano najczęściej w sklepie **Państwa Libnerów** przy ul. 1-go Maja. Moje samodzielne zakupy ograniczały się do kupna słodyczy na tzw. „zeszyt”, a należność za nie była regulowana przez tatę, zapewne w ramach rozliczenia za czynsz, gdyż sklep i mieszkanie Państwa Libnerów znajdowało się w kamienicy, do własności której mój tata miał tytuł prawny. Sklep był blisko, po drugiej stronie torów kolejowych, czyli trzeba było przejść przez przejazd. Nie stanowiło to problemu, gdyż przejazd był strzeżony przez dróżnika, który spuszczał zaporę kiedy miał nadejść pociąg. Bardzo lubiłam, gdy za ladą zastawałam Panią Libnerową – osobę dużą, tęgą i zawsze życzliwie uśmiechniętą. Czulałam trochę strachu, gdy za ladą stał Pan Libner o szacownym wyglądzie – starszy, duży i tęgi, z sumiastymi siwymi włosami, jak mi się wówczas wydawało, o zawsze surowym wyrazie twarzy. Nie był to pewnie strach znaczący, skoro potrafiła go przełamać pokusa posiadania słodyczy. Pewnego dnia tata oznajmił, że od jutra główne zakupy będą robione w nowo-otwartym sklepie nazwanym „Koopratywa”, który był przedsięwzięciem spółdzielczym, zawiązanym (jak to obecnie oceniam i domniemywam) przez członków byłej grodziskiej Powszechnej Organizacji Wojskowej. Tata – były Peowiak – był wśród założycieli tego ruchu i chodziło o czynne poparcie idei spółdzielczości. Sklep mieścił się w narożnym budynku przy ulicach Poniatowskiego i Granicznej. Był dość duży, z ładnie poukładanym towarem, a sprzedawczynią była (chyba dobrze pamiętam) **Pani Łobaszewska** – żona jednego z działaczy. Sklep był trochę daleko od naszego domu, tak więc chodziłam tam z gosinią lub tatą, ale niezbyt często i dużo razy, bo wkrótce wybuchła wojna. Zmienił się świat, zmieniły sklepy, zrobiło się głodno. Na artykuły żywnościowe wprowadzono kartki i nawet niedobry chleb i obrzydliwa buraczana marmolada były dobrem pożądanym, bo kartkowe porcje były niewystarczające.

Takie są wspomnienia lat przedwojennych, a chociaż niektóre z powyższych zdjęć zrobiono na początku lat 40-tych, to znakomicie oddają one klimat życia w fabrycznych domach.

Niestety nadszedł czas wojny, a potem hitlerowskiej okupacji. Zaskoczenie i strach. Pierwszym sygnałem nadciągającej burzy było uruchomienie w Fabryce produkcji masek przeciwgazowych. Dotychczas niepracujące żony zaczęły pracować przy montażu masek i szyciu na nie pokrowców. Kopano rowy przeciwczołgowe. Słuchano komunikatów radiowych o napaści Niemiec. Już 1-go września na miasto i Fabrykę spadły pierwsze bomby. Za symboliczną i złowróżbną przepowiednię uznano zbombardowanie stojącego w rynku Pomnika Wolności. Kobiety i dzieci przeżywały wyjazdy mężczyzn (najczęściej na rowerach) na wschód, gdyż takie były wezwania dowódców obrony kraju upatrujących w tym manewrze możliwości przegrupowania wojsk i zmobilizowanych sił, celem podjęcia bardziej skutecznej walki. Rodziny mające krewnych na wsiach opuszczały miasto. Prerażeni ludzie ze strachem patrzyli na wkraczające do miasta hitlerowskie wojska. Szczególną grozę stworzył przejazd jednostek zmotoryzowanych – warkot motocykli, hełmy, mundury, grawerowane blachy na piersiach żołnierzy. Dotąd nie widzieliśmy takiego zmasowania pojazdów, takiego natężenia warkotu silników. Z każdą chwilą narastało poczucie zagrożenia gdyż nie dość, że była świadomość najazdu wrogich wojsk, to grozę powiększał huk i demonstracja sił człowieka i techniki.

Eugenia Deminet

Cytat ze wspomnień spisanych w 1970 r. przez **Franciszka Rutkowskiego**:

(...) „We wrześniu 1939 r. zakład został zdemolowany i ograbiony. Magazyny fabryczne Niemcy zajęli na kwatery a pozostałe jeszcze urządzenia zamierzali wywieźć do Niemiec. Robotnikom też groziło wywiezienie. Dyrektor (Inż. **Edmund Szumiłowski** – *Dyrektor Zakładu w latach 1935–1945 – przypis*) oraz aktywny fabryczny zajęli się naprawianiem pozostałych urządzeń i aparatów produkcyjnych celem uruchomienia chociaż jednego działu produkcji, ażeby zapobiec ich wywiezieniu oraz zatrudnić pracowników. To się udało. Zorganizowano fabryczną straż pożarną szkoląc ludzi w prowadzeniu samochodów oraz przeprowadzając ćwiczenia nie tylko w zakresie strażackim ale także ucząc musztry, służb oraz podstawowych wiadomości z nauki o broni. Na terenie fabryki powstał oddział Armii Krajowej pod dowództwem Technicznego Inżyniera Konarzewskiego i Bronowskiego Tadeusza.

(**Konarzewski Wacław** – „Stanisław”, kapitan, ZWZ/AK, współorganizator ZWZ, pierwszy Komendant Ośrodka „Gąbka” - „Osa”).

(**Bronowski Tadeusz** – „Konrad”, ZWZ/AK, d-ca 34 plutonu, aresztowany i zamordowany przez Niemców w sierpniu 1944 r.

Wg źródła: „Ośrodek Armii Krajowej „Gąbka” - „Osa” – R. J. Chmielewski, J. Kowalczyk, J. Sobieraj – Wyd. AULA, 1994 r.)

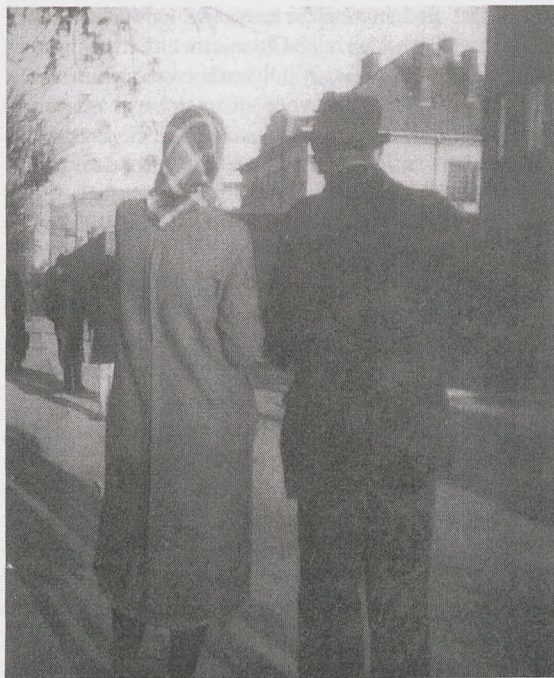
Prawie wszyscy pracownicy fabryki wstąpili do tego oddziału. Zajmowaliśmy się naprawą i konserwacją przysyłanej nam broni i amunicji, które magazynowaliśmy na terenie fabryki. Braлиśmy udział w sabotażu na transportach kolejowych przygotowywanych przez Niemców na terenie fabryki do wysłania do Niemiec. Do maźnic osi wagonów wsypywaliśmy specjalny proszek powodujący zatarcia, a do wagonów z prasowanym sianem lub słomą wkładaliśmy opóźnione zapalniki, które po kilku godzinach transportu wywoływały pożary. (...) W październiku 1943 r. w sąsiedniej fabryce został zastrzelony zarządca niemiecki volksdeutsch Sommer – wśród zakładników aresztowano i mnie i osadzono w więzieniu w Grodzisku.”

Aresztowanie ojca w 1943 r. i zagrożenie rozstrzelania wraz z innymi wziętymi zakładnikami, tak wspomina Eugenia Deminet będąca wówczas 11 - letnią Dzidzią Rutkowską.

Nocą usłyszeliśmy walenie do drzwi wejściowych na klatkę schodową. Drzwi te otworzył mieszkający na parterze stryj, a po chwili dobiegły do nas wrzaski po niemiecku i tupot ciężkich buciorów po schodach. Do sypialni, w której spał tata i ja z bratem, weszli uzbrojeni żandarmi niemieccy i jeden Polak po cywilnemu. Niemcy cały czas krzyczeli. Polak poinformował, że tata jest aresztowany, musi się szybko ubrać i iść z nimi. My dzieciaki wystraszone krzyczeliśmy, płakaliśmy, czepialiśmy się ojca, aby go zatrzymać. Wiadomo, że bez skutku. Następnego dnia cały Grodzisk mówił o aresztowaniach zakładników i czekających ich wyrokach śmierci. Przez kilka

dni chodziliśmy pod mury więzienia i patrzyliśmy w okno, w którym od czasu do czasu pokazywała się twarz któregoś z nich. Na szczęście po kilku dniach wszyscy zostali zwolnieni. Wśród zakładników był także Opiekun Ady Krechowickiej – Mieczysław Redel.

*Październik 1943 r. -
wpatrzeni w okna więzienia...*



Kilka miesięcy wcześniej, bo zimą lat 1942/1943, mieszkańcy fabrycznych domów wstrząśnięci zostali relacjami pracowników kolejowych o dramacie mieszkańców Zamojszczyzny. O pacyfikacjach, o paleniu całych wsi, o ludziach wysiedlanych i wywożonych do koncentracyjnych obozów, a wszystko to w celu „przygotowania” Ziemi Zamojskiej dla osadnictwa niemieckiego. Szczególną grozę budziły relacje o losie odry-

wanych od rodzin Dzieci Zamojskich, transportowanych wagonami towarowymi w głąb Rzeszy. Jednych do pracy w fabrykach, innych – tych z niebieskimi oczami i blond włosami – do oddania rodzinom niemieckim i zgermanizowania. Wiadomość, że transport z dziećmi będzie przejeżdżał przez Grodzisk zelektryzowała mieszkańców fabrycznych domów. Tory i bocznicę kolejowe były przecież tuż obok. Mimo godziny policyjnej i niebezpieczeństwa wykradania dzieci z wagonów ustalono, że należy tak zrobić. Na wieczornych naradach poszczególne rodziny deklarowały wzięcie do domów dwójki, czy trójki dzieci, ocalenia choćby kilkanaścioro – tak samo, jak starali się to robić mieszkańcy innych miast i wsi na drodze transportów, o czym także mówili kolejarze. Nikt nie myślał o tym, że w tych trudnych czasach ciężko wykarmić własne dzieci. Przez wiele dni i zimowych nocy czatowano na torach, sprawdzano przejeżdżające wagony, rozpytywano kolejarzy o Dzieci Zamojskie. Niestety, żaden z transportów z Zamojszczyzny nie przejechał przez Grodzisk.

Także w tych latach, bo w czasie działań wojennych pomiędzy Niemcami a Związkiem Radzieckim, na terenie Fabryki przetrzymywano rosyjskich jeńców wojennych. Z okien na piętrze mieszkańcy fabrycznych domów mogli patrzeć na wycieńczonych, głodnych i bitych radzieckich

żołnierzy. Mimo, iż za udzielanie im pomocy nawet w postaci kawałka chleba groziło rozstrzelanie, próby takie podejmowano, gdyż widziano nieludzkie ich traktowanie. Pewnego dnia jeńcy z terenu Fabryki zniknęli. Nikt nie wiedział, gdzie ich wywieziono i co się z nimi stało.

W październiku 1944 r. Niemcy zorganizowali na terenie Fabryki obóz dla wygnańców z powstaniowej Warszawy. Franciszek Rutkowski wspomina: „Po Powstaniu Warszawskim w magazynach fabrycznych urządzili Niemcy przejściowy obóz dla ludzi internowanych z Warszawy. (...) Organizowaliśmy pomoc żywnościową i w leki a nawet zdobyłem niemieckie blankiety zwolnień lekarskich z obozu z niemiecką pieczęcią i wypisywałem je tym, którzy nie chcieli jechać do Niemiec. W ten sposób uratowaliśmy m.in. późniejszego ministra sprawiedliwości Ob. Świętochowskiego, którego przetrzymywaliśmy do dnia wyzwolenia.”

Cytowane wspomnienia Franciszka Rutkowskiego o powstaniu i działalności w Fabryce Oddziałów ZWZ/AK potwierdzają inne źródła. Znajdujemy w nich wiele nazwisk mieszkańców fabrycznych domów – żołnierzy AK:

Julian Plichta - „Walenty”, „Bolesław” AK, 34 pluton -zastępca magazyniera, nadzór nad bronią.

(Wg źródła: „ 100 lat Grodzkich Zakładów Farmaceutycznych „POLFA” – GZF „Polfa” w Grodzisku Maz., Mazowiecki Ośrodek Badań Naukowych MTK im. Stanisława Herbsta, Stacja Naukowa w Żyrardowie – Grodzisk Mazowiecki, 1987 r.)

Tadeusz Federowicz – kpr., „Anin”, produkcja uzbrojenia, materiały wybuchowe,

Franciszek Lewandowski – „Fraszka”, służba liniowa w 33 plutonie,

Stefan Grad – „Sokół” – d-ca IV drużyny w 34 plutonie, w którym służyć linową pełnili:

Wojciech Brzeziński, Bronisław Krasucki, Jan Lewandowski – „Kapelusz”, **Aleksander Nowak, Wacław Okrasa, Stanisław Trolński, Józef Zima, Jerzy Zientala** (powojenny wieloletni Dyrektor Zakładów „Polfa”).

Do AK-owskich oddziałów należeli ojcowie i synowie :

Rutkowski Stefan – brat Franciszka - „Zenek”, kpr. AK, szef 33 plutonu,

Rutkowski Zdzisław – syn Stefana - „Żubr”, AK, służba liniowa w 33 plutonie,

Rutkowski Franciszek – służba liniowa w 34 plutonie,

Rutkowski Leon – syn Franciszka – „Lolek”, służba liniowa w 33 plutonie.

(Wg źródła: „ 100 lat GZF „Polfa” oraz „Gąbka” - „Osa” – j. w.)

22-letni Leon Rutkowski, student Wyższej Szkoły Inżynierskiej H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie, zginął razem z Dyrektorem Edmundem Szumińskim w sowieckim bombardowaniu Grodziska w dn. 16.01.1945 r. Bomby dopadły Ich na wejściowych schodach do jednego z domów przy ul. 11-go Listopada. Nie zdążyli wbiec do sieni ...



1-wsza połowa l. 40-tych

Leon Rutkowski (z prawej) z kolegami – synami Państwa Kwapisiewiczów –
właścicieli młyna na ul. Harcerskiej

Obaj bracia byli również studentami Wyższej Szkoły Inżynierskiej Wawelberga-Rotwanda:

Kwapisiewicz Bogdan – pchor., „Branicki”, ZWZ/AK, służba liniowa w 39 plutonie,
zgrupowanie w Puszczy Kampinoskiej,

Kwapisiewicz Mieczysław – kpr. pchor. „Stadnicki”, służba liniowa w 39 plutonie,
zgrupowanie w Puszczy Kampinoskiej.

(Wg źródła: „Gąbka” - „Osa” – jw.)

Eugenia Deminet – wówczas 13-letnia Dzidzia Rutkowska – tak wspomina tragiczny w dziejach miasta dzień 16 stycznia 1945 r.:

Była to środa, dzień targowy, około południa. Na ulicach miasta i na miejskim targowisku było bardzo dużo ludzi. Byli rolnicy z okolicznych wiosek sprzedający swoje towary, byli wygnańcy z Warszawy, których po Powstaniu Warszawskim do swych domów przygarnęli Grodziszczanie i oczywiście było dużo samych mieszkańców miasta. Panował bardzo wyczuwalny chaos spowodowany zbliżającym się frontem. Widoczny był ruch wśród nielicznych już w mieście Niemców szykujących się do ucieczki. Była atmosfera nerwowości i napięcia pełnego nadziei, że to już klęska okupanta. W ten zgiełk i podniecenie wdarł się odgłos nisko lecących samolotów, a w chwilę potem nastąpiło bombardowanie – pierwsze bomby spadły w samym środku ulicy 11-go Listopada. Leje po bombach były niezbyt głębokie, bowiem zrzucono wypełnione odłamkami tzw. „bomby rozpryskowe”, mające czynić szkody głównie wśród żywych. Mój ojciec został w Fabryce powiadomiony, że wśród zabitych są Jego syn i Dyrektor Szumiłowski. Natychmiast pobiegł na miejsce zdarzenia i niestety stwierdził tragiczną prawdę. Wrócił do domu i zawiadomił nas o tym, co się stało. Wysłał mnie, żebym pilnowała zabitego brata, aby jego ciało nie było niepokojone przez ludzi szukających wśród zabitych swoich bliskich. Sam pobiegł zamówić

trumnę przewidując, że wobec ogromnej liczby zabitych w mieście trumien zabraknie. Wbiegłam na bezwładnie zawalony porozbijanymi furmankami i wozami przejazd kolejowy, pełen trupów ludzi i koni. Po bokach na torach stały unieruchomione pociągi. Na ulicy przy zabitym bracie stałam „na straży” dosyć długo. Widok był przerażający – dziesiątki trupów w różnych pozycjach, jeśli było widać twarze, to były one mocno żółte. Nie było widać śladów życia, rannych nie było, dosięgnięci wieloma odłamkami rozpryskowych bomb zginęli natychmiast. Miasto opustoszało, panowała kompletna cisza. Od czasu do czasu pojawiali się ludzie poszukując wśród zabitych bliskich, którzy nie wrócili do domów. Gdy takich odnajdowano rozlegał się głośny krzyk rozpaczy i głośny szloch. Potem znów zalegała grobowa cisza. Nadszedł tata z kolegami z drzwiami wyjętymi z jakiejś futryny i na nich ciało brata przenieśli do domu. Trumna miała być następnego dnia. Układanie ciała w trumnę było szokujące – było ono poszarpane, poszatkwane odłamkami, czego na pierwszy rzut oka nie było widać.

Tej nocy nie spaliśmy w domu. Docierały straszne wieści o dużej ilości zabitych na miejskim targowisku, gdzie do ofiar strzelano z samolotów, z karabinów maszynowych. Była obawa, że mogą nastąpić kolejne bombardowania. Bliskość torów kolejowych, stacji, Fabryki, powodowały zwiększenie poczucia niebezpieczeństwa. Zresztą o spaniu nie było mowy. Tragiczne przeżycia, strata bliskiego brata, odgłos bombowych wybuchów i artyleryjskich wystrzałów – byliśmy wszak w środku działań frontowych. Tragedia śmierci ponad 300 cywilnych osób w zbombardowanym w dniu 16 stycznia 1945 r. Grodzisku była tym większa, że stała się w ostatnim dniu wojny, na który czekano 5 długich lat. Ból był tym dotkliwszy, że tragedia ta była spowodowana nie przez okupanta, a przez wyzwolicieła.

Następnego dnia radzieckie czołgi wjechały do miasta. Wyszliśmy na ulicę, którą przejeżdżała długa kolumna czołgów. Na chodnikach stały grupki mieszkańców, ale jak sobie przypominam bo długo potem komentowano ten fakt, twarze ludzi nie były radosne, były wręcz ponure mimo, że czołgiści z uśmiechami machali do nas przyjacielsko. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ci żołnierze mają za sobą bardzo długą wojenną drogę, ciężkie frontowe przeżycia. Mogli spodziewać się radości i podziękowania, że za ich sprawą, dzięki ich heroicznemu poświęceniu będziemy mieli wolność, bo przegrywający wojnę Niemcy musieli opuszczać nasz kraj. Jednak tragedia dnia poprzedniego i rozpacz dziesiątków ludzi decydowały o nastroju. Ponadto powszechna była świadomość, że wolność przyniesiona przez Armię Czerwoną nie będzie dla Polaków prawdziwą wolnością. Za wojskiem wjechało do miasta NKWD i zaczęło poszukiwać oficerów i żołnierzy AK. Niektórzy po latach wrócili do Grodziska z sowieckich łagrów lub polskich więzień, wielu przez lata było prześladowanych przez gorliwców z miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa. Stary, architektonicznie ładny budynek z czerwonej cegły w ogrodzie na rogu ulic Traugutta i Langiewicza, przez wiele lat budził w mieszkańcach Grodziska strach i grozę. Jego mury, a szczególnie ściany piwnic, skrywały cierpienie i tragedie bohaterów czasów hitlerowskiej okupacji.

Przez wiele powojennych lat unikano też jawnego mówienia o prawdziwej przyczynie śmierci zabitych w dniu 16.01.1945 r. O tym, że stało się to na skutek radzieckiego bombardowania. Na pomnikach grobów zabitych nie ma nawet napisów o śmierci tragicznej – wyryta jest tylko data. Edmunda Szumiłowskiego, Leona Rutkowskiego i wiele innych ofiar pochowano na Grodziskim Starym Cmentarzu. Wiele ciał uciekinierów z Warszawy po jakimś czasie ekshumowano i ich krewni zabrali je do rodzinnych grobów.

Na szczęście długa jest ludzka pamięć. Do tej pory w dniu 16 stycznia na wielu grobach z datą – 16.01.1945 r. – palone się znicze i składane wiązanki kwiatów. W 2008 r. będąc przy grobie Dyrektora Szumiłowskiego spotkałyśmy Panią, która paląc znicze na sąsiednim grobie opowiedziała nam swoje wspomnienie tego tragicznego dnia. Bomby zabiły Jej matkę, siostrę i szwagra, którzy

osierocili kilkuletniego syna. W każdej rodzinie, która straciła kogoś bliskiego, kochanego, ten styczniowy dzień 1945 r. zostanie w pamięci na zawsze.

Na zawsze też pozostaną wspomnienia ponurych okupacyjnych lat – terroru, godziny policyjnej, publicznych łapanek i egzekucji, wiecznego strachu o własne życie i obawy o życie działających w ruchu oporu członków rodziny. Głodowania, kolejek po zupę i chleb, kartek na buraczaną marmoladę i mięsne ochłapy.

Eugenia Deminet, Alicja Szafrńska



Miejsce pamięci rozstrzelanych 18.11.1943 r. i zabitych 16.01.1945 r.

Pisząc o okupacyjnym życiu i działalności pracowników „Octówki” nie można pominąć wspomnień o ich niemieckich sąsiadach, wśród których byli mieszkańcy „Bajki” – Państwo Hauptmanowie. Wszyscy Oni, jako rdzenni Niemcy, we wrześniu 1939 r. zostali wpisani na „Reichlisty”. Nie mieli wyboru, byli obywatelami Rzeszy Niemieckiej. Z chwilą wkroczenia wojsk niemieckich i ustanowienia niemieckich władz miasta niektórzy z nich poczul, niektórzy wskutek tych historycznych okoliczności musieli poczuć swoją „niemieckość”. Objęli w Fabryce większość funkcji zarządu i nadzoru. Towarzysze zabaw fabrycznej dzieciarni rozdzielili się – dzieci niemieckie zostały zapisane do „Hitlerjugend” – dostały organizacyjne stroje, poczucie przynależności i wyższości. Do tego one nigdy nie chodziły głodne... Skończyła się kilkuletnia przyjaźń nierozłącznych dotąd koleżanek **Jadzi Rutkowskiej** i **Alusi Hauptmanówny**. (Podobno przetrwała przyjaźń **Jurka Zientali** i **Adka Hauptmana**. Podobno wiele lat po wojnie spotkali się w RFN. Czy tak było? Tego już nigdy nie dowiemy się.) Wśród tych, którzy dobrowolnie podpisali „Volsklisty” dużo było takich, którzy gorliwie z niemieckimi władzami współpracowali donosząc na mieszkańców – byłych sąsiadów, towarzyszy zabaw i lat szkolnych, na wielu z nich wydając w ten sposób wyrok śmierci. Na wielu z nich także, z rozkazu Podziemnego Państwa, wydano i wykonano wyroki. Jednak byli wśród niemieckich sąsiadów także tacy, którzy mieli negatywny stosunek do wojny i okupacji, czuli się związanymi z miejscem swojego wieloletniego zamieszkania i czuli obowiązek udzielania pomocy swym wieloletnim polskim sąsiadom, a nawet prowadzonemu przez nich ruchowi oporu.

„...Należy też wspomnieć o postawie **Adolfa Hauptmanna**, niemieckiego Treuhandera, który uchronił przed aresztowaniem przez przybyłych do Zakładu gestapowców – oficera AK **Romana Wykusza**. Prowadzący po terenie fabrycznym gestapowców Hauptmann, którego obowiązkiem było wskazanie poszukiwanego, „nie zauważył” przechodzącego w kierunku wyjścia z zakładów, zorientowanego w sytuacji Romana Wykusza. Można wnioskować, że Hauptmann i w innych sprawach zachowywał podobną postawę, a na pewno „nie węszył” i nie donosił na gestapo...”
(Wg źródła: „100 lat GZF „Polfa” – jw.)

(**Roman Wykusz** – „Gustaw”, por., ZWZ/AK, d-ca 38 plutonu, zast. Komendanta Ośrodka „Gąbka” – „Osa”). (Wg źródła: „Gąbka” – „Osa” – j. w.)

Jadwiga z Rutkowskich Łacińska wspomina opowiadania ojca Stefana o Adolfie Hauptmanie: „W fabrycznym kantorze mojego ojca, który był majstrem elektrycznym, przechowywano broń fabrycznych oddziałów AK, a pewnie też wielu innych. Hauptman nie mógł o tym nie wiedzieć, ale przez wszystkie lata okupacji skutecznie udawał, że o tym nie wie...”

(Rodzina Hauptmanów była związana z Grodziskiem nie tylko fabryczną pracą ojca. Na przechowywanym w Archiwum Szkoły Podstawowej Nr 5 i Gimnazjum Nr 3 zdjęciu z 1934 r. – grono nauczycielskie i młodzież Gimnazjum Humanistycznego – wśród nauczycieli siedzi pani **Hauptmanowa** (w czarnej sukni z zeszytem w ręku) – nauczycielka języka niemieckiego – wg „*Oczy pełne morza...*” – jw.)

Franciszek Rutkowski, w dalszej części swoich wspomnień o aresztowaniu zakładników w październiku 1943, tak pisze do Niemcu nazwiska – **Szlender**: „...Tylko zbieg okoliczności, że szef gestapo był w delegacji a zastępujący go kierownik policji kryminalnej Szlender – miejscowy volksdeutsch – na interwencję członków AK nas zwolnił...” (*Podkreślenia wymaga: „na interwencję członków AK”!*) Niestety Franciszek Rutkowski nie wymienia nazwiska innego Niemca, którego wspomina w związku z takim zdarzeniem: „...Za pomoc udzieloną jeńcowi radzieckiemu zatrudnionemu przy załadunku wagonów, zostałem zatrzymany przez żandarmerię polową i postawiony na rozstrzelanie. Dzięki interwencji komisarycznego zarządcy Fabryki, miejscowego volksdeutsch’a, zostałem zwolniony...”

Zapomniane już jest także nazwisko innego Niemca, który będąc fabrycznym ogrodnikiem uchronił, nie tylko przed aresztowaniami ale i przed wywiezieniem na roboty do Rzeszy, wielu młodych robotników doskonale wiedząc, że są wśród nich także żołnierze AK. Przed przyjazdem i w czasie „wizyt” w fabryce niemieckiej policji nakazywał im ukrycie się w fabrycznej zieleni i pilne zajęcie się ogrodniczymi pracami. Niemieckim policjantom tłumaczył, że ich tutejsza praca jest równie pożyteczna dla Niemiec, jak praca w Rzeszy. W dniach po 16 stycznia 1945 r. żołnierze Czerwonej Armii samowolnie wykonali wyrok na „Germańcu”. Nie pomogły tłumaczenia Polaków o postawie i okupacyjnych zasługach Niemca. Nie pozwolono nawet udzielić pomocy postrzelonemu ogrodnikowi. Zmarł z upływu krwi na jakimś fabrycznym wysypisku.

Duże zasługi fabrycznej i grodzkiej konspiracji oddała **Jadwiga** – córka z rodziny **Prescherów**, udzielając wszelkich wiadomości jej informacji o zamiarach niemieckich władz i policji. Po wydaniu zarządzenia o przymusowym obowiązku oddania przez Polaków odbiorników radiowych, należący do Franciszka Rutkowskiego Philips został „oddany” Jadwidze Prescher. Całą okupację odbiornik ten dawał możliwość prowadzenia nasłuchu i odbierania informacji z Londynu. Jadwiga miała zamiar życia w Polsce, w Grodzisku. Bojąc się jednak spodziewanego wkroczenia do Grodziska Armii Czerwonej, w 1944 r. wraz z wojskiem i innymi Niemcami repatriowała się do Niemiec, ale nie chcąc w nich żyć wyemigrowała do Australii. Jeszcze na początku lat 70-tych nadchodziły do znajomych listy od niej. Lat spędzonych w Grodzisku nie zapomniiała nigdy.

Nie wiadomo już, z jakiej niemieckiej rodziny pochodził syn, który we wrześniu 1939 r. służył w polskim wojsku, a dostawszy się do niewoli odmówił podpisania Reichlisty. Według pozostałych już tylko we wspomnieniach opowiadań, przyczynę odmowy tak uzasadnił: „...za długo polski chleb jadłem, aby to zrobić”. Zmarł w młodym wieku na gruźlicę w jednym z niemieckich obozów jenieckich. Piszące te wspomnienia nie wiedzą, czy był to brat Jadwigi – **Rudolf Prescher**, czy syn **Państwa Jeske (Jeske ?)**, chyba też o imieniu Rudolf.

Rudolfa i Jadwigę Prescher w swoich pamiętnikach wspomina Ada Krechowicka:

„...Jestem słaba z niemieckiego i pani polonistka zorganizowała komplet, w którym uczestniczyć będzie 16 osób. Korepetytorem będzie p. Preszer, młody, bardzo wysoki, postawny o czarnych włosach i pięknych, długich palcach u rąk. Oczy ma jakieś niebiesko – zielone, takie dziwne i pociągające. Nos prosty, zgrabny, nieco wystające kości policzkowe, twarz pociągłą o śniadej cerze i stanowcze usta. (...) Pani Preszerowa mówiła wczoraj, że już Bengazi wzięli Anglicy, że w Abisynii jest już Negus ze swoim wojskiem. Czyli jest już dobrze!”

Wiadomość o Bengazi wpisana została po datą 3 lutego 1941 r. Tylko jedno mogło być źródło, z jakiego ją usłyszano – nadające z Londynu polskie radio, którego słuchać można było w mieszkaniu Jadwigi Prescher. Także z tego samego źródła mogły pochodzić wszystkie opisane przez Adę informacje o sytuacji politycznej i prowadzonych działaniach na tak wielu frontach. Takimi

wiadomościami, dającymi nadzieję i siły przetrwania okupacyjnych lat, żyli mieszkańcy Grodziska i całej Polski. Zrobiony z piaskowca pomnik na grobie zmarłych przed wojną małżonków Prescher – rodziców Jadwigi i Rudolfa – jeszcze w latach 90-tych ub. wieku stał w kwaterze innowierców – prawosławnych, protestantów – na Grodziskim Starym Cmentarzu. Teraz są tam już inne groby. Niech więc chociaż w tych wspomnieniach pozostanie pamięć o uczciwych ludziach, szczerych Grodziszczanach – Niemcach pracujących w „Octówce”.



*Jadwiga Prescher
1950 r. – zdjęcie przysłane z Australii*

Eugenia Deminet wspomina jeszcze: Chyba w maju 1945 roku przez ulice Grodziska przeszła kolumna niemieckich jeńców wojennych. Wśród nich szli aresztowani po wyzwoleniu, wieloletni mieszkańcy miasta niemieckiego pochodzenia, którzy nie opuścili go wraz z innymi Niemcami przed

wkroczeniem wojsk radzieckich. W kolumnie szli zabiedzeni i zdezorientowani starzy Państwo Jeske.

Lata po hitlerowskiej okupacji i kolejne po nich, lata odbudowy wojennych zniszczeń i uruchamiania produkcji, opisano ciekawie we wspomnianej już książce „100 lat GZF „Polfa””. Wymienieni są w niej wszyscy występujący w tych wspomnieniach, bowiem wszyscy Oni z „Ośtówką” związali swoje życie i dzielili z nią swoje losy. Przedwojenne tradycje socjalno-kulturalne były jeszcze jakiś czas podtrzymywane. W fabrycznej świetlicy jeszcze wieczorami spotykano się przy bilardowych stołach, czy karcianych stolikach. Pan **Kacprzak** – mieszkaniec fabrycznego domu nadal dbał o zieleń w Fabryce i wokół domów. Były organizowane fabryczne wycieczki, jak ta w 1948 r. do Wrocławia na Wystawę Ziem Odzyskanych. Organizowane były różne występy (bardzo „mgliście” ale zapamiętałam baletowy popis Pań **Topolnickich** – matki i córki), dziecięce przedstawienia – np. wg bajki Marii Konopnickiej „Na jagody”, w której moja kuzynka **Marysia Zientalówna** była panną borówczanką, a ja jagodowym chłopcem. Były inscenizowane jakieś sceny rodzajowe – do dziś pamiętam menueta Bocceriniego tańczonego w strojach stylizowanych na czasy popularności tego tańca! Na pewno działały sekcje sportowe, gdyż zapamiętałam mecz bokserski, na jaki mnie zabrano, jednak wyłącznie wskutek niecodziennego zbiegu okoliczności, czego świadomość pozwoliła mi przeżyć tę „traumę”. Wszystko to musiało się więc dziać jeszcze w połowie lat 50-tych. Fabryka przez kolejne lata intensywnie rozwijała się, do pracy przychodzili następne pokolenia, bohaterowie naszych wspomnień odeszli na zasłużone emerytury, by potem odejść na zawsze. Klimat dawnych lat pozostał we wspomnieniach także już nielicznych. Niech więc pozostanie w tej książce.

Alicja Szafrńska



1948 r. – Wrocław – na Wystawie Ziem Odzyskanych
(nieliczne nazwiska do odtworzenia – są małżonkowie Maria i Stefan Rutkowscy,
Maria Barańska, Irena Berkowska; pierwszy z lewej w przysiadzie to Julian Plichta)

Czasy nauki i zabawy

1. Lata 1938–1945

Eugenia Deminet wspomina jeszcze: W latach 1938–1945 byłam uczennicą Szkoły Podstawowej Nr 4 imienia Bolesława Prusa przy ulicy Poniatowskiego. Z powodu niemieckiej okupacji był to trudny okres edukacyjny. Jednak we wrześniu 1938 r. rozpoczęciu nauki w pierwszej klasie towarzyszyły tylko radość i emocje. Budynek był znany mi i bliski. Mój tata był w Komitecie Budowy Szkoły, brałam udział w jej otwarciu, a od roku uczniem szkoły był mój brat Franciszek. Wiedziałam, że zajęcia jakie tam miał były bardzo ciekawe. Uczył się pisać, czytać, mówić wiersze – wiedziałam o tym, gdyż chętnie brałam udział w jego pracach domowych ucząc się razem z nim. Jak najszybciej chciałam być bezpośrednią uczestniczką tych interesujących zdarzeń.



Połowa lat 30-tych – Komitet Budowy Szkoły Nr 4

1-go września 1938 r. zebraliśmy się w szkolnym holu i parami weszliśmy na pierwsze piętro na apel. Na tym piętrze uczyły się starsze klasy, ale my-najmłodsi staliśmy obok uczniów klasy VII-mej, bo mieliśmy być pod ich opieką, o czym ich i nas zawiadomił **Kierownik Szkoły – Pan Ludwik Bojarski**. Atmosfera była podniosła i tak się zaczęło. „Nasza Pani”, tak jak zapamiętałam, była bardzo miłą, ciepłą, siwą i szczupłą osobą, bodajże o nazwisku – **Jaworska**. Mieliśmy

dwa rodzaje fartuszków – jeden granatowy satynowy z rękawami i białym kołnierzykiem, a drugi czarny bezrękawnik z krzyżującymi się na plecach szelkami obszytymi plisowanymi falbankami. Obowiązkowa była pod szyją kokarda w kratę – symbol przynależności do naszej szkoły. Nie pamiętam już, jakie były kolory w tej kokardzie ale wiem, że uczniowie innych szkół także mieli obowiązek noszenia takich kokard, ale „ich” kraty były w innych kolorach.

Klasę II-gą, którą mieliśmy zacząć 1 września 1939 r. rozpoczęliśmy, z wiadomych względów, z opóźnieniem i niestety w zmienionych warunkach. Dokładnie nie pamiętam kiedy, ale budynek szkolny został zajęty przez Niemców, a dzieci uczyły się w różnych nie przystosowanych do nauki miejscach – np. w Fabryce „Sztanc-Met” przy ul. Koronkowej, a nawet w prywatnych mieszkaniach. Przez pewien czas – bodajże w klasie piątej – zajęcia odbywały się w naszym mieszkaniu – w fabrycznym budynku „Octówki”. Nauczycielem był Pan **Kazimierz Kwiatkowski**.

Z biegiem okupacyjnych lat zaczęło brakować podręczników do nauki. W klasie drugiej języka polskiego uczyliśmy się z książki „Bądźmy lepsi i mądrzejsi”, potem zamiast z podręcznika uczyliśmy się z periodyku „Ster”. Nie pamiętam, czy były to egzemplarze wydawane przed wojną, czy wydawano je w czasie okupacji. Wiedzę poszczególnych przedmiotów dyktowali też nauczyciele.

Do „naszej szkoły”, czyli budynku odzyskanego po okupacji, wróciliśmy na ostatni rok nauki. Radość była ogromna. Duże jasne klasy, szerokie korytarze, sala gimnastyczna, boisko. Tak więc w „naszej szkole” spędziliśmy tylko dwa lata z 7-letniego nauczania – rok pierwszy i rok ostatni. W czasie tego ostatniego szkolnego roku przybyła nam jeszcze jedna wielka atrakcja – przynależność harcerska. Mundurki, zbiórki, zajęcia terenowe, śpiewy, wycieczki, zdobywanie sprawności były nie tylko atrakcją. Były powrotem do dziecięcej beztroski, którą tak brutalnie przerwały nam wojna i okupacja. W czasie tych zabaw udawało się zapomnieć o koszmarnych przeżyciach i psychicznych urazach, jakie mieliśmy świeżo w pamięci. Chociaż naszą druhną drużynową była młoda dziewczyna – Druhną **Zofia Łączkowska**, to na zbiórkach uczono nas miłości do ojczyzny, przybliżano nam wiadomości o naszej ziemi ojczystej i tej bliższej – grodziskiej. Przypominam sobie wyprawę naszego zastępu do niezbyt dalekiej wsi Stare. To tutaj i w nieodległej Kulkówce były siedziby **Rodu Chelmońskich – słynnego malarza Józefa i Jego brata Adama**. Zobaczyliśmy dworek, w którym mieszkał z rodziną bratanek malarza – **Mateusz Chelmoński** – bardzo ceniony i szanowany grodziski lekarz. Do dworku nie weszliśmy, ale rozbiliśmy biwak w otaczającym go parku mając świadomość, że jesteśmy w miejscu wyjątkowym. Że te otaczające nas lasy i pola zostały utrwalone na obrazach, które od ponad pół wieku wiszą w muzeach, budzą zachwyty, są cenione, rozpoznawalne i identyfikowane z Ziemią Grodziską.

Zakończenie podstawowej edukacji było tak samo uroczyste, jak jej rozpoczęcie. Była akademia z występami artystycznymi, recytacjami, ludowymi tańcami – krakowiakiem. Jak to zwykle bywa, z momentem ukończenia szkoły szkolne więzi zerwały się, każdy poszedł w swoją stronę. I jak to zwykle bywa, mimo iż byliśmy jeszcze dziećmi, nadszedł czas na podjęcie decyzji – co dalej? Czasy były powojenne, niełatwe i o przyszłości dzieci decydowali rodzice.

Eugenia Deminet



Czerwiec 1945 r. - zakończenie roku szkolnego

(siedzą od prawej: Kazimierz Kwiatkowski – wychowawca klasy; nauczycielka (?) Krajewska; ksiądz-prefekt (?) Kuć; dyrektor szkoły Ludwik Bojarski (z synkiem na kolanach); opiekunka żeńskiej drużyny harcerskiej Druha Zofia Łączkowska; Eugenia Rutkowska – uczennica; opiekun męskiej drużyny harcerskiej Druh Jerzy Kowalczyk)

GENERALGOVERNEMENT
 3. Moje imię chrześcijańskie polskie: Włodzisław Nr. 3
 4. Strodziński Mar. Knie Sacharow-Brown
 No. 33 194/44
 Schuljahr
 1. Klasse
 2. Klasse
 3. Klasse
 4. Klasse
 5. Klasse
 6. Klasse
 7. Klasse
 8. Klasse
 9. Klasse
 10. Klasse
 11. Klasse
 12. Klasse
 13. Klasse
 14. Klasse
 15. Klasse
 16. Klasse
 17. Klasse
 18. Klasse
 19. Klasse
 20. Klasse
 21. Klasse
 22. Klasse
 23. Klasse
 24. Klasse
 25. Klasse
 26. Klasse
 27. Klasse
 28. Klasse
 29. Klasse
 30. Klasse
 31. Klasse
 32. Klasse
 33. Klasse
 34. Klasse
 35. Klasse
 36. Klasse
 37. Klasse
 38. Klasse
 39. Klasse
 40. Klasse
 41. Klasse
 42. Klasse
 43. Klasse
 44. Klasse
 45. Klasse
 46. Klasse
 47. Klasse
 48. Klasse
 49. Klasse
 50. Klasse
 51. Klasse
 52. Klasse
 53. Klasse
 54. Klasse
 55. Klasse
 56. Klasse
 57. Klasse
 58. Klasse
 59. Klasse
 60. Klasse
 61. Klasse
 62. Klasse
 63. Klasse
 64. Klasse
 65. Klasse
 66. Klasse
 67. Klasse
 68. Klasse
 69. Klasse
 70. Klasse
 71. Klasse
 72. Klasse
 73. Klasse
 74. Klasse
 75. Klasse
 76. Klasse
 77. Klasse
 78. Klasse
 79. Klasse
 80. Klasse
 81. Klasse
 82. Klasse
 83. Klasse
 84. Klasse
 85. Klasse
 86. Klasse
 87. Klasse
 88. Klasse
 89. Klasse
 90. Klasse
 91. Klasse
 92. Klasse
 93. Klasse
 94. Klasse
 95. Klasse
 96. Klasse
 97. Klasse
 98. Klasse
 99. Klasse
 100. Klasse

GENERALGOVERNEMENT FÜR DIE BESETZTEN POLNISCHEN GEBIETE
 GENERALNE GOVERNATORSTWO DLA OKUPOWANYCH POLSKICH OKRĘGÓW
 1. Moje imię chrześcijańskie polskie: Włodzisław Nr. 3
 2. Strodziński Mar. Knie Sacharow-Brown
 No. 33 194/44
 Schuljahr
 1. Klasse
 2. Klasse
 3. Klasse
 4. Klasse
 5. Klasse
 6. Klasse
 7. Klasse
 8. Klasse
 9. Klasse
 10. Klasse
 11. Klasse
 12. Klasse
 13. Klasse
 14. Klasse
 15. Klasse
 16. Klasse
 17. Klasse
 18. Klasse
 19. Klasse
 20. Klasse
 21. Klasse
 22. Klasse
 23. Klasse
 24. Klasse
 25. Klasse
 26. Klasse
 27. Klasse
 28. Klasse
 29. Klasse
 30. Klasse
 31. Klasse
 32. Klasse
 33. Klasse
 34. Klasse
 35. Klasse
 36. Klasse
 37. Klasse
 38. Klasse
 39. Klasse
 40. Klasse
 41. Klasse
 42. Klasse
 43. Klasse
 44. Klasse
 45. Klasse
 46. Klasse
 47. Klasse
 48. Klasse
 49. Klasse
 50. Klasse
 51. Klasse
 52. Klasse
 53. Klasse
 54. Klasse
 55. Klasse
 56. Klasse
 57. Klasse
 58. Klasse
 59. Klasse
 60. Klasse
 61. Klasse
 62. Klasse
 63. Klasse
 64. Klasse
 65. Klasse
 66. Klasse
 67. Klasse
 68. Klasse
 69. Klasse
 70. Klasse
 71. Klasse
 72. Klasse
 73. Klasse
 74. Klasse
 75. Klasse
 76. Klasse
 77. Klasse
 78. Klasse
 79. Klasse
 80. Klasse
 81. Klasse
 82. Klasse
 83. Klasse
 84. Klasse
 85. Klasse
 86. Klasse
 87. Klasse
 88. Klasse
 89. Klasse
 90. Klasse
 91. Klasse
 92. Klasse
 93. Klasse
 94. Klasse
 95. Klasse
 96. Klasse
 97. Klasse
 98. Klasse
 99. Klasse
 100. Klasse

Świadectwa szkolne

Zilustrowanie wszystkich spisanych przedwojennych, okupacyjnych i powojennych wspomnień kopiami starych zdjęć możliwe było dzięki przechowaniu fotografii, jakie zrobiono w grodziskich pracowniach:

- Wytwórnia Fotograficzna **Jerzy Niczewski**, Grodzisk Maz., Rynek 19,
- Foto Żak-Art. , Grodzisk Maz. , ul. Kościuszki 30 (od nazwiska właścicieli – **Żak**),
- Foto SEW-EN – (nazwa od imienia i nazwiska właściciela – **Seweryn Nowak**.)

2. Lata 1948–1965

Wspomnienia Jolanty z Barańskich Warneńskiej, Alicji z Barańskich Szafrąńskiej, Haliny Woźnickiej-Jędrzejewskiej.

Jolanta Warneńska – absolwentka Szkoły Podstawowej Nr 4, Liceum Nr 10. Po ukończeniu studiów rolniczych agronom na terenie powiatu i wieloletni członek zarządu Grodziskiej Spółdzielni Mleczarskiej. Wierna mieszkanka Grodziska.

Alicja Szafrąńska – absolwentka Szkoły Podstawowej Nr 4, Liceum Nr 10. W r. 1972 wyprowadziła się do Warszawy, ale według opinii jej męża: „tylko wyprowadziła się, bo Grodziska nie opuściła nigdy”. Inicjatorka napisania i współautorka, wydanej w 2009 r. przez Urząd Miasta i Gminy, książki: „Grodzisk Maz.-Archangielsk-Tobolsk, czyli o zesłaniu do odległych guberni Jakuba Mroczkiewicza i innych za przynależność do PPS w Guberni Warszawskiej”.

Halina Woźnicka-Jędrzejewska – absolwentka Szkoły Podstawowej Nr 2, Liceum Nr 10. Mieszka w Ursusie, ale Grodzisk też jest dla Niej miastem najbliższym.

2.1. Przedszkole w Łąkach

W latach 1952–1953 przedszkole mieściło się w małym, stojącym do dziś parterowym domku na rogu ulic Granicznej i Ułańskiej. Sąsiadujący z nim skwerek z kapliczką Matki Boskiej był przedszkolnym ogródkiem. Rosło tam trochę zieleni, chyba kilka krzaków popularnego bzu. Nie pamiętam, jaki był podział na grupy wiekowe, grupy przedszkolne, raczej wszystkie uczęszczające do niego dzieci stanowiły jedną grupę. Kierowniczką i zarazem wychowawczynią była Pani **Kazimiera Józwiak**. Wysoka, postawna, z czarnymi włosami chyba już siwiejącymi. Zapamiętałam Ją jako osobę bardzo oddaną swojej pracy. Pozostało mi wrażenie, że pracę tą lubiła, a więc lubiła i nas – dzieciaki, którymi zajmowała się. Gdyby było inaczej moje o Niej wspomnienie nie byłoby tak żywe i ciepłe. Zajęcia przedszkolne to była nauka piosenek, zajęcia rytmiczne i słuchanie książek, których Pani Kazimiera dużo, dużo czytała. Pani Kazimierze pomagała zajmować się dziećmi jeszcze jedna Pani, niestety nie pamiętam, jak się nazywała. W przedszkolu było radio, co w tamtych latach nie było powszechnym wyposażeniem tego typu placówek, a w rodzinnych domach było rzadkością. Nigdy nie było pominięte słuchanie, nadawanej przez Program I Polskiego Radia, „Audycji dla przedszkolaków”. Zasiadaliśmy na podłodze czekając na upragnione dźwięki piosenki: „Kuku, kuku, kuku – słuchajcie przedszkolaki, kuku, kuku, kuku – audycja się zaczyna”. W audycjach tych, obok opowiadań i piosenek, były części inicjujące zajęcia rytmiki.

Jedynymi, niezbyt przyjemnymi dla dzieci chwilami pobytu w przedszkolu, był nieodwołalny poobiedni odpoczynek – leżakowanie – „aby sadełko się zawiązało”, jak to mawiała Pani Kazimiera i co bezwzględnie egzekwowała. Drugim takim momentem było picie tranu. Egzekwowane chyba jeszcze bardziej bezwzględnie. Mimo iż wiedzieliśmy, że tran jest bardzo zdrowy i zmuszanie nas do jego picia naszemu zdrowiu jest potrzebne, picie tranu było dla nas wstrętne. Nalewany na stołową łyżkę z dużej brązowej, aptecznej butli tran miał cuchnący rybami zapach, był oleisty i jego ostry smak pozostawał długo w ustach. Nieco to przykre wrażenia łagodził podawany szybko kawałek chleba z solą, ale i tak przebieg całej tej „operacji” nie należał do przyjemnej, tym bardziej, że wiadomo było, że jest ona nieunikniona. Pani Kazimiera z żelazną konsekwencją i bez ceregieli wykonywała taki „zabieg”. Po latach zaczęłam wspominać ten tran z rozrzewnieniem. W powojennej biedzie, gdy w większości domów było biednie, a w wielu bardzo biednie, ta łyżka tranu stanowiła istotne uzupełnienie dziecięcej diety. Pani Kazimiera wiedziała to już wtedy i dlatego pod Jej czujnym okiem żadna z buź nie uniknęła łyżki tranu i kawałka chleba z solą.



1953 r. – dzieci Przedszkola w Łąkach – w środku Pani Kazimiera

Trzymane przez nas lalki otrzymaliśmy na czas robienia zdjęcia. Bardzo rzadko dawano nam je do zabawy. Zwykle „siedziały sobie” na wysokim regaliku. Przyczyną tego nie było to, że lalek tych nam „żałowano”. Skromny przedszkolny budżet nie był wystarczający, aby w przypadku zniszczenia lalki, można było łatwo zastąpić ją nowo kupioną. I nawet my wtedy to rozumieliśmy. Niedostatek był naszą codziennością i przyjmowaliśmy go całkiem naturalnie.

Alicja Szafrńska

2.2. Szkoła Podstawowa Nr 4 przy ul. Poniatowskiego

Szkoła dla wielu z nas, wychowanków Przedszkola w Łakach chodzących do niego „od strony miasta”, nie była czymś nieznanym. Idąc do przedszkola mijaliśmy ogrodzony teren, na którym znajdował się szkolny budynek z czerwonej cegły z przylegającym małym sosnowym laskiem. Laszek pełnił rolę szkolnego parku, wytyczone były spacerowe alejki, a ponieważ o teren ten bardzo dbano, uczniowie także musieli w nim przestrzegać dbałości o parkową zielen. Wobec bliskości Zakładów Chemicznych „Polfa” uważano, że laszek i zielen wokół szkoły pełnią rolę pasa chroniącego przed zanieczyszczeniami.

Nasza „podstawówka” była to: SZKOŁA PODSTAWOWA Nr 4 Im. J. JOTEYKO w Grodzisku Mazowieckim. Kierownikiem Szkoły był Pan **Władysław Jadach**.

(To ta sama szkoła Nr 4 im. B. Prusa, którą wspominała Eugenia Deminet. Pewnie po wojnie Szkoła zmieniła patrona. Obecnie w estetycznie otynkowanym budynku byłej szkoły mieści się Oddział w Grodzisku Maz. Archiwum Państwowego m. st. Warszawy.)

W pierwszej klasie znalazłam się razem z wieloma przedszkolnymi koleżankami i kolegami. Dużo także o szkole słyszałam, gdyż od 5 lat uczęszczała do niej moja siostra Jolanta. Pierwsze wrażenie? Byliśmy w tej szkole „chciani”. To może dziwne i kontrowersyjne stwierdzenie, ale takie wrażenie pozostało. Nauczyciele potrafili w szkole stworzyć przyjazną atmosferę i wiedzieliśmy, że mamy w niej swoje ważne miejsce. Nie wydaje mi się, aby ktoś z byłych koleżanek i kolegów takiemu stwierdzeniu zdecydowanie sprzeciwił się. Z pewnością, każdy z tej dużej ilości absolwentów ma różne wrażenia i wspomnienia, ale też z pewnością nikt nie zaprzeczy, że w szkole panowała życzliwa uczniom atmosfera.

Klasy były bardzo liczne – na zdjęciu klasy IIA z 1954 r. naliczyć można 45-cioro dzieci. Jak wychowawczyni – Pani **Kobylarzowa** – dawała sobie radę z taką gromadą?



1954 r. – klasa II A – ponad dziećmi Pani Kobylarzowa

Nie pamiętam, jakie były edukacyjne reguły w tamtych latach. Czy było nauczanie początkowe? Czy Pani Kobylarzowa była nauczycielem nauczania początkowego i dlatego w następnych latach nie była już naszą wychowawczynią? Zastąpiła ją nowa w szkole nauczycielka – Pani **Scholastyka Wysocka**. Ze względu na swoje niecodzienne imię, „nowość”, młodość, oraz ze względu na dużą urodę jasnej, złotej blondynki budziła w nas wielki podziw. Trwało to jednak krótko. Pamiętam, że gdy pewnego dnia Pani Wysocka nie przyszła do szkoły, do klasy weszła mocno zdenerwowana Pani Jadachowa z wiadomością, że Pani Wysocka już do szkoły nie przyjdzie i uczyć nas nie będzie, bo już nie żyje. Jechała gdzieś na Warmii ze swym narzeczonym na motocyklu, zdarzył się wypadek i obydwójce zginęli. Wiadomość ta bardzo nami wstrząsnęła. Pani Scholastyka była taka młoda i taka piękna!

Tak więc jako wieloletnią wychowawczynię rocznika 1953–1960 klasy A zapamiętałam Panią **Bronisławę Jadachową** – żonę Dyrektora Władysława Jadacha, która uczyła nas języka polskiego i chyba historii. W szkole pracowało jeszcze jedno nauczycielskie małżeństwo – Państwo **Kosińscy**. Nie pamiętam, jakiego przedmiotu uczył Pan Kosiński, ale na pewno prowadził szkolną świetlicę. Pani **Janina Kosińska** uczyła śpiewu i podstaw muzyki. Prowadziła również szkolny chór. Matematyki uczyła Pani **Maria Rowdałowa**. Gdy już dorośliśmy do nauki fizyki – tego mądrego przedmiotu (także chyba chemii) uczył nas Pan **Piotr Fedniczuk**. WF („gimnastykę”) prowadził Pan **Witczak**. Pamiętam również Pana **Zenona Jaroszkiewicza**, acz tylko z lekcji języka polskiego – „w zastępstwie”. Nie jest to dla mnie wspomnienie przyjemne, ale „dzięki” otrzymanej dwójce z dyktanda na zawsze zapamiętałam, że w wyrazie „żołnierze” pierwsze jest „ż” a drugie „rz”.

Panie Jadachowa i Rowdałowa w moich wspomnieniach występują zawsze razem. Może dlatego, że powszechne było przekonanie o Ich przyjaźni, a może dlatego, że obie były jednakowo zaangażowane nie tylko w nauczanie nas swych przedmiotów, ale i w nasze wychowanie i udzielanie życiowych wskazówek. Chciały przekazać (i przykazać) nam, abyśmy postępowali uczciwie wobec innych i wobec siebie. Słowami „...dziewczynki powinny się szanować...” dawały dziewczynom radę, aby pochopnym postępowaniem nie skomplikowały sobie życia za wcześnie. Stwierdzenie to, połączone z naciskami na konieczność dalszej nauki i kształcenia, pewnie miało dać nam ważne wskazania emancypacyjne, czyli w uproszczeniu to, że nauka i wykształcenie umożliwiają samodzielność dziewcząt. Tak ja to zapamiętałam i pewnie takie były intencje Nauczycielek pomimo tego, że takie poglądy były wyzwaniem dla istniejącego jeszcze wówczas tradycyjnego wzoru wychowywania dziewcząt przede wszystkim na dobre żony i matki.

Pani Kosińska – Droga Nauczycielko! Miała Pani rację: muzyka Chopina jest bardzo piękna! Szkoda, że nie miała Pani możliwości – gramofonu, płyt z jej nagraniami, aby nas już wtedy tym pięknem „zarazić”. Za to pieśni i piosenki szkolnego chóru doskonale pamiętam, a szczególnie tę Tadeusza Sygietyńskiego: „Ukochany kraj, umiłowany kraj...” Do tej pory wiem, że w śpiewanej intonacji wyrazów „ukochany” i „umiłowany” szczególnie nacisk należy położyć na zaakcentowanie litery „a”.

Chór szkolny, prowadzony w ramach obowiązków pozalekcyjnych, przydatny był na wszelkich szkolnych uroczystościach i apelach. W prawym narożniku górnego korytarza, w którego ścianach były duże narożnikowe okna, podłoga była podwyższona i takie podium tworzyło szkolną scenę. Mało chyba było dzieci, które nie marzyły, aby na to podium choć raz wejść i „wystąpić”. „Gwiazdą” wszystkich uroczystości była starsza koleżanka Basia – wzorowa uczennica, tak pod względem nauki, jak i zachowania. Basia była świadoma swojej wartości, nieco wyniosła, ale może to nam zapatrzonym w nią „maluchom” tylko tak to się wydawało. Przebojem Basi była piosenka z filmu „Przygoda na Mariensztacie” – „Pójdę na Stare Miasto”. Jednak w jednym miejscu Basia nie śpiewała oryginalnych słów, gdyż z okien wychylała się nie „z ukochanym” a „z matką”. Widocznie taka wersja dla dziatwy szkolnej była właściwsza. Kolega Andrzej akompaniował Basi na przyniesionym z domu akordeonie.

Wbrew wielu współczesnym opiniom i twierdzeniom nie zachowały mi się w pamięci takie uroczystości i apele, które w szczególnie sposób miałyby kształtować nas w duchu wielbienia socjalistycznej Polskiej Republiki Ludowej i Kraju Rad – ZSRR. Nie utkwiły mi w pamięci apele wśród czerwonych sztandarów i my ubrani w białe bluzki i czerwone chusty, na wzór „dzielnych radzieckich pionierów”. Co prawda były to lata 1953–1960, a więc okres po śmierci Stalina w marcu 1953 r., gdy polityczna atmosfera w kraju stała się nieco swobodniejsza, by po wydarzeniach czerwca i października 1956 r. zelżeć jeszcze trochę. Skrzętnie te okoliczności musieli wykorzystywać nasi Nauczyciele, że nie pamiętam szkolnego sztafetu na pewno bardzo Im obcej ideologii. W klasach po obu stronach Białego Orła (bez korony) wisiały portrety Prezydenta Bolesława Bieruta i Marszałka Konstantego Rokossowskiego, ale wisiały „urzędowo”. Ich osoby nie były szczególnie gloryfikowane. Szkolne apele miały głównie wymowę patriotyczną i kulturową. Z chwilą reaktywowania działalności Związku Harcerstwa Polskiego (po „polskim czerwcu i październiku” 1956 r. i nastaniu upragnionej „odwilży”) w szkole powstała drużyna harcerska. Pierwszą Druhną Drużynową była **Elżbieta Potyńska**. Do szkół powróciła nauka religii. Pamiętam lekcje z siostrą zakonną i księdzem – **Zdzisławem Królem**.

Mimo przyjaznej atmosfery w szkole panował porządek i dyscyplina. Pozostałością dawnych rygorystycznych metod wychowawczych była możliwość stosowania kar, także cielesnych. Nie wryły się one boleśnie w moją pamięć, ale dla porządku, jako ciekawostkę wymienię je, choć były „stare, jak świat i metody wychowywania dzieci”: „ośła ława” – siedzenie na lekcjach pod tablicą, w ławce ustawionej prostopadle do wszystkich klasowych ławek; „łapy” – uderzanie linijką w otwartą rękę; klęczenie na rozsypanym grochu. Dobitnie i jednoznacznie stwierdzam, że wymierzanie takich kar nie było stosowaną z premedytacją metodą wychowawczą i na pewno nie było uznawane za metodę na „podniesienie autorytetu nauczyciela”. Konieczność poddania się karze przyjmowana była z pokorą, bo ukarani zawsze dokładnie wiedzieli, za co ona była wymierzona. Rodzicom też lepiej było nie skarżyć się... Takie były czasy i takie były obyczaje, a naukę i nauczycieli Szkoły Podstawowej Nr 4 na pewno z sympatią, szacunkiem i wdzięcznością wspomina ogromna rzesza wychowanków.

Czas po zajęciach szkolnych chętnie spędzaliśmy w przyszkolnym lasku, gdzie stała jeszcze niewielka muszla koncertowa, a nad małym stawikiem pięknie rosły stare wierzby ze zwisającymi długimi gałęziami. Ponieważ jednak po alejkach szkolnego parku można było tylko spokojnie spacerować, to ulubionym miejscem zabaw szkolnej dzieciarni był wspomniany już „Duży ogród” przy grodziskiej „Polfie”. Mimo, że teren ten należał do Fabryki to ogród był otwarty i dostępny do zabaw, do zjadania się owocami z rosnących tam drzew i krzewów. Doskonale nadawał się na kryjówki i zabawy w „podchody”, do zabaw w „domy i przyjęcia” w ażurowej, drewnianej altanie. Ogród był miejscem zbierania jesienią kasztanów, żołądzi, liści na szkolne zajęcia. Wczesną wiosną w ogrodzie można było nazbierać pachnących szafirowych fiołków, aby podarować je dziadkom Franciszkom obchodzącym imieniny w dniu 2-go kwietnia. Atrakcyjność ogrodu zwiększała się zimą „Popiołowa góra”, której unikaliliśmy latem (była usypana z fabrycznych odpadów żużlu i popiołu), gdy zimą przysypał ją śnieg robiła się „czysta” i stawała się wspaniałym miejscem do saneczkowania lub, najczęściej, zjeżdżania z niej na tornistrach. W domach była z tego powodu wielka bura, gdyż tornistry były zrobione z papierowej tektury, która od wilgoci odkształcała się i niszczyła. Największą zimową przygodą była wyprawa na „Szwedzkie Góry”. Nie trzeba pisać co to są i gdzie w Grodzisku są „Szwedzkie Góry.” Na nich zabawa była bezpieczna i swobodna, zjazdy saneczkowe szerokie i wyższe niż ten „Popiołowej góry”. Jedynym mankamentem była znaczna odległość Gór od miasta i naszych domów. Zmrok, jak to zimą, zapadał szybko. Marzło się też szybko, gdyż nasze ubrania zupełnie nie były przystosowane do zimowych zabaw, jak to jest obecnie. Nie było nieprzemakalnej odzieży, dziewczynki

nie nosiły spodni, a zimowe wełniane, czy fildekosowe rajtuzy bardzo szybko stawały się mokre i zamarznęte. Buty „kozaczki”, czy nawet wysokie ocieplane trzewiki były jeszcze „pieśnią przyszłości”. A do domu było daleko. Jednak wszelkie te niedogodności dzielnie znosiło się, bo jakąś przyjemnością była bezpieczna, swobodna sanna na szerokich stokach „Szwedzkich Gór”.

Jolanta Warneńska, Alicja Szafrńska



*Rok szkolny 1952/1953 – Pani Maria Rowdalaowa, Dyrektor Wł. Jadach
(ostatnia przy piecu Jolanta Barańska, obecnie Warneńska)*



Rok szkolny 1956/57 – klasa IVa – po prawej Dyrektor Jadach , obok Pan Witczak



Rok szkolny 1959/60 – w środku wychowawczyni P. Bronisława Jadachowa

Szkoła Podstawowa Nr 4 występuje również we wspomnieniach Eugenii Deminet z 1962 r.:

Po raz ostatni byłam w mojej starej szkole w roku 1962, kiedy to zaprowadziłam do I klasy mojego syna Jarosława. Wychowawczynią była Pani Janina Kosińska – doświadczony pedagog, z dobrym podejściem do uczniów. Bywałam w szkole często i dopiero jako dorosła osoba mogłam zobaczyć, jak trudny jest zawód nauczyciela. Wiele dzieci było zupełnie nie przygotowanych do szkolnych zajęć, niektóre nie wiedziały nawet jak trzymać w ręku ołówek. Na prośbę Pani Kosińskiej, w ramach zajęć lekcyjnych i pozalekcyjnych, kilka matek starało się pomóc Wychowawczyni wyrównać różnice poziomu rozwoju dzieci.



*Rok szkolny 1962/63 – w środku wychowawczyni Janina Kosińska,
(nad wychowawczynią uczeń – Jarosław Deminet)*

Do klasy drugiej syn uczęszczał już w Warszawie jednak Miła Nauczycielka nie zapomniała go. W Dniu Dziecka – 1964 r. – od Wychowawczyni i byłych klasowych koleżanek i kolegów otrzymał kartkę:

Przepraszam Wychowawcy!
 Bardzo już chcę do was
 przystąpić na lekcję
 Gdyby mi niedziela kiedyś
 się wybiegła, wtedy bym
 lekcję przed południem
 u Was do waszego i piątkę
 lub i sobotę, a tak nie we
 wtorek, bo wtedy mi mało
 lekcji w klasach trzecich
 Miałem by z Młodszych
 i dać mi znać.
 Twój uczniak J. Kowalski

Godziło się 1. VI. 64.
 Kochanemu Jacekowi
 w Dniu Dziecka przesyła serdeczne
 pozdrowienia koleżanki i koleżki
 kl. II^a wraz z myślową wycieczką
 smaga Jona
 Tomek Ryszkowski
 Mirosławski Grigorij
 Mikołaj
 Wierzbowski Wanda
 Wierzbowski Wanda

2. 3. Szkoła Podstawowa Nr 2 przy ul. 3-go Maja

Halina Woźnicka-Jędrzejewska, absolwentka Szkoły Podstawowej Nr 2, historię jej powstania odnalazła w książce Krystyny Poraj „Grodzisk Mazowiecki jakim go pamiętam” – PRIMUM - Grodzisk Maz. 2000 r.

....W początkach lat 30-tych (...) grupa szukających pracy nauczycieli wraz z czynnymi społecznie mieszkańcami Grodziska założyła Towarzystwo Szkoły Średniej, spółdzielnię nauczycielską, do której przystąpili również rodzice przyszłych uczniów. Zgromadzono konieczne środki, objęto w posiadanie budynek przy ulicy 3-go Maja – było to wówczas na dalekim końcu miasta. Piętrowa willa, biała otynkowana, z muraowanymi werandami, z ceglanym obramowaniem okien i drzwi była pozostałością dawnych, letniskowych lat Grodziska. Dyrektor, **Witold Westfal**, zakupił gdzieś na Kresach (podobno niepotrzebny wojsku) obszerne drewniak i rozebrany na części przywiózł na miejsce. Wkrótce zmontowany na nowo, obrzucony tynkiem z zewnątrz i z grubsza urządzony w środku, mógł przyjąć większą liczbę uczniów. Pierwsi, jeszcze nieliczni, byli świadkami organizowania się gimnazjum i dorabiania coraz to nowych zdobyczy. Nie patrzyli na to obojętnie. Przed zimą trzeba było wykonać izolację cieplną na piętrze, zrobili to starsi chłopcy. Piękne boisko z bieżniami do długodystansowych i sprinterskich biegów, boisko do gier zespołowych, skoczniami, to także w dużej mierze zasługa ochotniczej pracy młodych sportowców. Zbudowano nawet prawdziwą sportową strzelnicę... Na początku bywało jeszcze w szkole zimno, zdarzały się różne braki, ale była to nasza szkoła. **Lolek Teliga** – późniejszy żeglarz, **Witek Zalewski**, **Wojtek (Janusz) Składziński** byli naszymi starszymi kolegami i przykładem dla najmłodszych. Gimnazjum Grodzkie wystartowało w roku 1932 z małą liczbą uczniów.”

Gdy w 1952 r. Halinka rozpoczynała edukację, patronką Szkoły była MARIA KONOPNICKA. Kierownikiem Szkoły był Pan **Eugeniusz Jurkiewicz**.

Budynek szkolny był piętrowy, jego parter z dużymi oknami był pokryty białym tynkiem, a w pokrytym czarną papą lekko skośnym piętrze były białe okna. Wchodziło się po kilku schodkach wprost ze sporego placu apelowego. Po raz pierwszy weszłam do tego budynku 1-go września 1952 r. Przy wejściu stał woźny – Pan **Koziarski** z nieodłącznymi atrybutami – dzwonkiem i ... pogrzebaczem. Dzwonek zapraszał na lekcje, poganiał opornych, budził zasłuchanych, wyzwał znużonych... Dzwonek – niewielki metalowy przyrząd z drewnianą rączką, którym z upodobaniem, energicznie i niezmordowanie potrzasał Pan woźny tak długo, aż wszyscy zdecydowali się opuścić boisko i pochować w swoich klasach. Inna była rola pogrzebacza. W każdej klasie był piec kaflowy, który wiosną i jesienią stał w kącie zapomniany, ale gdy tylko zaczynały się chłody mile rozdawał zgromadzone w nim ciepło. By jednak do tego doszło, to właśnie Pan Koziarski ze swym pomocnikiem pogrzebaczem mieli mnóstwo roboty. W budynku było 8 do 10 pieców, każdy z nich posiadał ruszt, który musiał być oczyszczony z pozostałego z poprzedniego dnia popiołu – tu dzielnie spisywał się pogrzebacz. Na oczyszczony ruszt Pan Koziarski układał podpałkę, rzucał szufelkę żarzącego się węgla, dokładał czarny węgiel, przymykał drzwiczki i czekał... aż całość „zajmie się” i rozpali żywym płomieniem. Znow dokładał węgla, zamykał drzwiczki i ... przechodził do następnego pieca. Musiał się śpieszyć ... o 8-mej we wszystkich klasach musiało być ciepło. Dużo pracy miał Pan woźny, bo jeszcze musiał wynieść wiadra z popiołem, do każdego pieca przynieść wiadro węgla i oczywiście przez cały czas pilnować godzin rozpoczęcia i zakończenia lekcji, aby chwycić za dzwonek i wszystkim oznajmiać to. Cały czas także pilnował porządku i często niegrzecznych, nieposłusznych lub tylko tych, których mu się udało dosięgnąć, pociągnąć za ucho – co bywało dość bolesne. Każdy z nas choć raz miał „okazję”, aby tego doświadczyć. Ja zostałam zdjęta za ucho z murku, na który wdrapałam się, aby zaglądać przez okno do klasy... Pewnie takie działanie Pana Koziarskiego odnosiło swe skutki, bo choć minęło pół wieku, uszy pieką do tej pory...

Na terenie należącym do szkoły były jeszcze dwa budynki. Piętrowy murowany z czerwonej cegły ale niektóre jego ściany były otynkowane i pomalowane białą farbą. Na parterze była świetlica, gdzie można było odrabiać lekcje, bawić się, grać w różne gry, rysować a czasem nawet malować. Obok świetlicy była biblioteka dość dobrze zaopatrzona w lektury przewidziane dla szkół podstawowych. Obowiązkiem ucznia wypożyczającego książki było prowadzenie zeszytu lektur, w którym trzeba było umieścić imię i nazwisko autora, tytuł książki oraz napisać kilka zdań na temat jej treści lub narysować odpowiedni obrazek – mogło być i jedno i drugie. W czasie wymiany książek Pani bibliotekarka zeszyt ten sprawdzała, a raz w miesiącu był także sprawdzany przez Wychowawczynię klasy, dla której był on dowodem naszej czytelniczej aktywności, z czym różnie bywało. Za świetlicą był drugi budynek, a w zasadzie długi drewniany barak, przytulony do murowanego budynku kuchni. Barak służył nam wielorako. Był salą widowiskową, gdyż miał scenę – niewielkie podwyższenie od strony kuchni. Każdego dnia był stołówką, gdzie jadaliśmy smaczne obiady z metalowej „zastawy” na obitych ceratą stołach. Po usunięciu stołów sala stała się przestronną salą gimnastyczną a czasem salą do tańca.

Najbardziej jednak lubiliśmy, gdy dni były – już bądź jeszcze – ciepłe i pogodne i niektóre lekcje mogły być prowadzone na świeżym powietrzu. Takie lekcje lubili też pewnie nauczyciele, bo któż nie chciałby uciec z małej klasy, której podłoga była pokryta czarnym, dziwnie pachnącym maziłem – tzw. pyłochłonom – ropopochodną substancją, jaka rozsmarowana na podłogach miała pochłaniać kurz i nie pozwalać mu unosić się w nadmiarze. Poza dziwnym zapachem pyłochłom miał jeszcze inną właściwość, niepokojącą zwłaszcza mamy – w przypadku „zetknięcia” ucznia z podłogą niemilośnie bрудził ubrania. Mimo, iż był „zmorą” tak uczniów jak i nauczycieli, ówczesne wymogi sanitarne nakazywały stosowanie go do czyszczenia szkolnych podłóg.

Za drewniaczkiem stołówki rozciągało się piaszczysto-trawiaste boisko szkolne, którego prawa strona, ta od kuchni, zajęta była przez grządki. Niektóre z nich były „uczniowskimi poletkami uprawnymi” – to była praktyczna strona lekcji przyrody. Kawałki ziemi trzeba było skopać, zrobić grządki, posiać ziarenka, zaznaczyć co i kiedy zostało zasiane, podlać i ... czekać, podlewać i ... czekać, podlewać ... Była radość, gdy roślinka wykiełkowała, nikt jej nie zniszczył mocno rzuconą piłką z lewej strony boiska, żadna przygodna kura jej nie zobaczyła i nie wydziobała szczęśliwa ze znaleziska. Można było prowadzić obserwacje dalszego wzrostu i rozwoju.

W pierwszym roku nauki a raczej w pierwszym jej miesiącu okazało się, że pomieszczenie klasowe nie wystarcza na tak dużą liczbę uczniów. Nie było to dziwne głównie dlatego, że początkowo na lekcje przychodzili z dziećmi zatroskani a niepracujący rodzice. Sytuacja była ciekawa. W większych ławkach, takich z odsuwanymi pulpitami, siedziało stłoczonych 6 lub 5 maluchów, a po 4 w ławkach mniejszych, z przodu klasy. Pod tablicą stali w rzędzie rodzice, przeważnie zapobiegliwie mamy z koszami wypełnionymi jajami, białym serem i innymi dobrami, których rodzina miała w nadmiarze. Moja mama pracowała i nie mogła być ze mną i pełnym koszem, więc żal i wstyd towarzyszył mi przez pierwszy okres nauki. Nie trwało to zresztą długo, bo zdenerwowana nauczycielka – Pani **Złotek**, a może nawet kierownik szkoły, zabronili rodzicom wstępu do szkoły w czasie zajęć i przynoszenia ...dowodów wdzięczności. Zrobiło się luźniej, ale zupełnie dobrze było dopiero po podzieleniu dzieci na dwie klasy. I tak znalazłam się w klasie Ib, której wychowawczynią została Pani **Nowakowa**. Nowa nauczycielka, nowe zwyczaje, obie strony musiały się poznać i smarowanie ołówkiem w trzy liniowym zeszycie kresek, kółek, pierwszych liter alfabetu i kolorowych szlaczków już nie wystarczało. Okazało się, że niektóre dzieci nie potrafią prawidłowo trzymać w ręku ołówka, który ma być oparty o środkowy palec a trzymany pomiędzy palem wskazującym a kciukiem. Poza tym nie wiedzą co to jest: KCIUK! Na rozczapierzonych palcach wyciągniętej ręki zaczęło się ćwiczenie nazw palców i tak: kciuk, wskazujący, środkowy, serdeczny i mały połączyły swe nazwy z konkretnymi palcami. Gdy już

kilka zeszytów zapełniliśmy coraz równiejszymi znakami pisanymi ołówkiem, pozwolono nam użyć pióra ... Do kolorowej drewnianej obsadki trzeba było włożyć stalówkę (były tzw. „serki” lub „krzyżki”), umoczyć koniec stalówki w szklanym kałamarzu wpuszczonym w specjalnie w tym celu przygotowany w ławce otwór. Atrament w kałamarzach był czarny lub granatowy i uzupełniany przez Pana woźnego z dużej, ciężkiej butli. Pisanie stalówką i atramentem obfitowało w różne psikusy – a to spod zbyt mocno przyciśniętej stalówki przyskała na stronę zeszytu fatalny kleks, to znów, gdy obsadka zbyt mocno zanurzyła się w kałamarzu, brudziły się palce. Czasem taki atrament potrafił złośliwie „wejść” do książki a nawet na ubranie. Kleks – atramentowa plama w zeszycie była wielkim zmartwieniem. Oceny otrzymywało się nie tylko za wyniki nauki ale też za „staranność” prowadzenia zeszytów. Aby pozbyć się natręta przykładano się w mokre miejsce bibułę, jaka z każdym zeszytem była sprzedawana, potem tarło się to miejsce gumą z nadzieją pozbycia się plamiska. Skutki tego wysiłku bywały „opłakane” – nawet niewielka plama potrafiła stać się ogromną dziurą. Właśnie za taką ozdobę strony zeszytu dostałam wielką, czerwoną „dwóję z kropką”. Rodzice obowiązkowo musieli to zobaczyć i poświadczyć ten fakt swoim podpisem.

Zmagając się z trudami przyswajania liter i łączenia je w sensownie brzmiące słowa, dodając i odejmując kolumny cyfr zgrupowanych w słupkach, dzieciarnia zapisywała kolejne zeszyty coraz równiejszym pismem. Kleksy dawały się pokonać a ręce przyzwyczajały się do równego nacisku stalówki. Rysując kolejne litery na tablicy Pani uznała, że można wprowadzić naukę kaligrafii. Słowo było tak samo trudne jak i ćwiczenie pisania liter, które trzeba było pilnie rysować w trzy-liniowym zeszycie. Duże „A” zaczynało się kropką na najniższej linii, potem należało do najwyższej linii przeciągnąć stalówkę ukośnie, by naciskając ją mocniej (przez co linia była grubsza) przeciągnąć ją znów w dół i łukiem zakończyć pomiędzy 1 a 2-gą linią. Jeszcze tylko falista kreska w połowie litery... Cała sztuka polegała na uzyskaniu różnej grubości linii przez co litera nabierała innego wyglądu, stawała się dostojna, jakby wypukła. Ciągniesz stalówkę w dół – linia jest gruba. Gdy po zakręcie wraca w górę – linia wychodzi spod stalówki cieniutka. I tak stale – raz cienka, raz gruba, tylko litery inne. Najwięcej problemów było z brzuszkami przy – B, D, G, P i R. Ja miałam własne problemy, bo litery H i W były najdziwniejszymi literami do kaligrafowania. H – zaczynało się na górze „falbanką”, by grubą linią zejść w dół i łagodnym łukiem podnieść się z lewej strony. W środku tej pionowej pałeczki była niewielka „falbanka” przekreślająca, by szybko cienką linią wspiąć się do trzeciej linii na samą górę i robiąc małą pętelkę zejść ostrą i grubą kreską w dół. Z kolei – W – zaczynało się na górze ozdobnym wężykiem, by po malutkiej pętelce zejść skośnie w prawo grubą kreską, następnie lekkim skosem wspiąć się w górę tym razem cieniutką linią, gdzie znów malutka pętelka i gruby spadek w dół. Na koniec linia litery musiała wspiąć się delikatnie w górę i łukiem zakończyć swój bieg między trzecią a drugą linią na kartce zeszytu. Pani Nowakowa kazała ćwiczyć w domu literka po literce, a zeszyt przynieść do oceny na następną lekcję. Szczęśliwie Mama i Babcia były też kaligrafii uczone, z tym, że Mama miała takich lekcji już mniej, podczas gdy Babcia ze swym pięknym, równym i ozdobnym pismem mogłaby być pewnie wyrocznią nawet dla nauczycieli. Obie ćwiczyły mnie zapamiętałe... ale bardzo dobrze, że nauka kaligrafii trwała tylko rok.

Bywało, że energia i sprytnie ręce uczniów były wykorzystywane do różnych celów. Jesienią starsze klasy jeździły na wieś, na „wykopki” i zbierały do koszy świeżo wykopane z pola ziemniaki. Nie było w tym nic dziwnego, takie akcje dla młodzieży i studentów przeprowadzane były w całym kraju. Na pewno nie była to praca lekka ale towarzyszące temu pieczenie w ognisku świeżych ziemniaków, śpiewanie piosenek było przyjemnością i oderwaniem od zwykłej codzienności. Młodsze klasy w tym „świecie kartofla” nie uczestniczyły i normalnie chodziły do szkoły, ale nam także dostarczano okazji bycia użytecznymi. Dla naszej klasy przywieziono kiedyś narezcza suchych badyli roślin strączkowych z kolczastymi owocami, z których należało wyłuskać

i skrupulatnie zebrać wydobyte ziarenka. Nigdy nie widzieliśmy takiej rośliny, i nie znaliśmy jej nazwy. Powiedziano, że jest to RĄCZNIK – roślina oleista, co mogliśmy też zobaczyć wyjmując lśniące nasionko z kolczastej otoczki. Owoce ślizgały się w małych palcach, czasem uciekały na podłogę. Zaczęła się gonitwa, śmiech, gwar... Chyba został w nas jeszcze niemowlęcy odruch pchania wszystkiego do buzi, bo i tym razem trzeba było spróbować, jak takie nasiona smakują a nawet zrobić „zawody” – kto zje więcej? Na szczęście Pani Nowakowa szybko zainteresowała mówiąc, że tych ziarenek się nie je, tylko po zmieleniu wyciska z nich olej. Szybko owoce zebrała i zamknęła w słoju. Ładnie wyglądały na Jej stole... Następnego dnia połowa klasy uczestnicząca w degustacji nie mogła przyjść do szkoły. Bóle brzucha, biegunki i torsje, w mniejszym lub większym stopniu, były reakcją na nasze „zawody”. Ja najdłużej nie chodziłam do szkoły, bo je wygrałam... Taka była nasza pierwsza i jak się okazało bolesna lekcja przyrody...

(Rącznik - ricinus communis. Roślina oleista, zawierająca rycynę. Silnie trująca. Zjedzenie 3 owoców wywołuje torsje i biegunkę a 10-20 nawet śmierć.)

Już na początku naszej nauki, oprócz lekcji języka polskiego i arytmetyki, była gimnastyka, rysunki, prace ręczne i śpiew. Zajęcia szkolne z tych przedmiotów zapewne do obecnych czasów pozostały takie same – kredki, farby, bloki rysunkowe. Może tylko ówczesną plastelinę – tłustą, klejącą się do rąk i ubrań o niby różnych kolorach ale wszystkich tak samo szaro-burych zastąpiła kolorowa, bardziej plastyczna modelina. Może nie ma już nauki szycia (mozolenia się z nawlekaniem igły i zawiązywaniem supełka na końcu nitki) i ćwiczenia tej umiejętności poprzez szycie woreczków na ziarna grochu. Takie woreczki oprócz praktycznej nauki szycia bardzo przydawały się na zajęcia... gimnastyczne. Woreczek można rzucać, łapać, łapać, rzucać – czyli ćwiczyć zręczność. (Nieposłuszni mogli dzięki nim „ćwiczyć” charakter kłęcząc na nich za karę.) Woreczki jednak przydawały się tylko do zajęć na powietrzu, lub w sali gimnastycznej gdyż najczęściej, szczególnie zimą lekcje gimnastyki były takie: pani otwierała okna klasy, dzieci stawały obok ławek i na znak podnosiły ręce w górę, opuszczaly w dół, przykucaly i stawały. I raz – dwa, raz – dwa: ręce w górę, opuszczamy, jeszcze w górę i „wkręcamy żarówki”, klaszczemy nad głową. Ćwiczymy przysiady, maszerujemy „na miejscu”, kilka skłonów, półobrotów – w prawo, w lewo, wyciągamy ręce do góry – „rośniemy, rośniemy!” Siadamy w ławkach, opieramy głowę na rękach wyginając kręgosłup jak najdalej, coraz silniej i silniej... Wstajemy, ręce w górę i wyskok – jak najwyżej! Oddychamy głęboko, cały czas oddychamy głęboko! No, jeszcze trzy przysiady i... „rośniemy, rośniemy”, klaszczemy nad głową... siadamy... odpoczywamy! Pani zamyka okno. Uf... teraz możemy zacząć rysować.

W pierwszej klasie, a więc w roku szkolnym 1952–1953, tak jak większość moich rówieśników żyłam w oderwaniu od rzeczywistości, która chętnie „ustawiała nas” w apelowych czworobokach „Ku czci...” lub „Z okazji...” Na niewiele się to zdało, bo maluchy mają swój świat, w którym żyją bezpiecznie, jak w kokonie. Chyba, że wydarzy się coś na miarę trzęsienia ziemi... 7-go marca 1953 r. przyszliśmy do szkoły, a tu – gwar, ruch, krzątania, ktoś coś wnosi, jakiś portret, czarne wstęgi, ktoś upina napis – a wszystko to na niedostępnym dla nas „dorosłym” pięttrze. W kącie pod oknem na wprost schodów uczniowie starszych klas, ubrani w mundurki koloru khaki z czerwonymi krawatami na szyjach, pełnili honorową wartę stojąc przed portretem przewiązanym czarną wstęgą. Józef Wissarionowicz Stalin zmarł 5 marca 1953 r. Z tymi chwilami zaczynało się nasze nowe życiowe doświadczenie - rozdwojenie jaźni, które w większym lub mniejszym stopniu towarzyszyło nam przez cały okres nauki. Czytano nam opowiadania o dzielnym i mądrym chłopcu Soso, który urodził się i mieszkał w Gruzji, pilnie się uczył, pomagał rodzicom, a teraz okazało się, że to dorosły on właśnie umarł. (Wiele lat później dowiedzieliśmy się, że Stalin należał do strasznego grona największych światowych tyranów, mając na sumieniu śmierć milionów niewinnych ludzi. Rodzice o tym wiedzieli, ale w tamtych czasach bezpiecznie

było, aby o takich sprawach przy dzieciach nie rozmawiać.) W czasie okolicznościowego apelu niektórzy płakali, inni z trudem powstrzymywali odruchy radości. Była okolicznościowa przemowa z przykazaniem godnego zachowania się wobec tak tragicznego wydarzenia i ... pozwolenie wcześniejszego pójścia do domów. W domach wrzało, tak jak w szkole – w niektórych z rozpacz, w innych z radości po śmierci tyrana, którego okrucieństwo wobec Polaków także było ogromne. Odżyły nadzieje, że wreszcie ujawniona zostanie prawda o tragedii w Katyńskim Lesie... Odżyły nadzieje na przyście upragnionej „odwilży” w ustroju politycznym i społecznym. Z radiowych głośników płynęły dźwięki Marsza Żałobnego Chopina i nie wiadomo było, czy świat się kończy, czy zaczyna, czy jutro będzie choć trochę lepsze niż dziś... Dorośli – Rodzice, Nauczyciele – już nauczyli się, musieli nauczyć się, żyć w dwóch światach – jak sami gorzko i po cichu stwierdzali: „... co innego myślę, co innego mówię...” My stawialiśmy pierwsze kroki.

Może także z tych powodów zupełnie osobne miejsce w mojej pamięci i sercu otrzymała skromna, niewysoka Pani, która z niezwykłą energią potrafiła panować nad klasą. Pani **Dębska** nie karała, nie podnosiła głosu. Ona głos szanowała. Wchodziła do klasy z niezwykłym urządzeniem w rękę – był to rozdwojony kawałek metalu z uchwytem, taki trójząb, którym stukala w ławkę i podnosiła do ucha... słuchając dźwięku, jaki on wydaje. Następnie odtwarzała ten ton, Jej dźwięczne „la” rozchodziło się po klasie i był to sygnał, że zaczyna się lekcja śpiewu. Kamerton, bo tak nazywał się ten instrument pomocniczy, towarzyszył nam na każdej lekcji, według nas, był przedłużeniem ręki Pani Dębskiej. Śpiewaliśmy wszystko, poczynając od kotka, który wlaź na płotek, kołysanki o Jacusiu, na którego z popielnika iskiereczka mruga, kanonu o panu Janie rano wstającym, czy Kubie pijącym do Jakuba a ten do Michała... Dziełnie pohukiwaliśmy na naszą złą zimę, której się nie baliśmy, bo dostanie od nas śnieżkami na pamiątkę... W programie nauki śpiewu była oczywiście także nauka Hymnu Polskiego, który trzeba było równo i melodyjnie śpiewać na wszelkich uroczystościach szkolnych i państwowych, choć z tą równością wykonania było różnie. Musieliśmy też uczyć się „Międzynarodówki” z jej wyklętym a powstającym głodnym, zgnębnym ludem. Jednak o wiele chętniej śpiewaliśmy o krakowiaku w czerwonej czapeczce, która na głowie płonie. Sama Pani Dębska też nam śpiewała, ale przeważnie wtedy stawiała jedną osobę dla obserwacji przy drzwiach wejściowych w klasie lub na korytarzu. Śpiewała „Wilija naszych strumieni rodzica” tłumacząc jaka to rzeka, gdzie płynie i dlaczego o niej uczymy się. Zachowując ostrożność chętnie śpiewała „Czerwony pas...”, czy wreszcie piosenki powstańcze – „Serce w plecaku”, „Hej chłopcy, bagnet na broń”, czy „Pałacyk Michla, Żytunia, Wola”, opowiadając o Powstaniu Warszawskim i dlaczego nie wolno o nim głośno mówić. Sama śpiewała półgłosem i przy szczególnie zamkniętych oknach. Płakaliśmy wraz z „szumiącymi wierzbami”, a słowa „Warszawianki” wbiły się w pamięć na zawsze. Niektórzy z nas mieli okazję należeć do chóru szkolnego, który Pani Dębska prowadziła i pamiętam ćwiczyliśmy na głosy pieśń prząśniczek ze „Strasznego Dworu” Stanisława Moniuszki i do tej pory potrafię tę pieśń zaśpiewać „drugim głosem”. Wspaniała mała Pani, z wielkim i chyba krwawiącym sercem, uczyła nas chodzić po linii życia umiejętnie równoważąc dobro i zło.

Powoli zaczynaliśmy pojmować otaczający nas świat zafascynowani nowościami chwytanymi ze szkoły, z radia, dodatkowych zajęć oraz lektur, które zaczynaliśmy pochłaniać. Mieliśmy po ok. 10 lat i już zaczęły nam się wytwarzać zarysy jakiegoś obrazu, do którego każdy będzie dokładał malunek własnych doświadczeń. Przeżywaliśmy losy bohaterów „Trylogii” Henryka Sienkiewicza przeżywając losy naszej Ojczyzny, ale także na wyścigi z chłopcami czytaliśmy o przygodach „Winnetou” Karola Maya. Wspólna była fascynacja majowym Wyścigiem Pokoju i mistrzem Stanisławem Królakiem, ale również słuchanie muzyki Szopena nadawanej przez radio przez prawie całe dni z okazji V Międzynarodowego Konkursu Szopenowskiego. A jeszcze Adam Harasiewicz, który ten konkurs wygrał był taki piękny ... Tyle wrażeń zapisano się w pamięci 10-latków, nie

ma więc nic niezwykłego w tym, że także coraz więcej nauczycieli i Ich nazwisk utrwaliło się w pamięci. Kierownik szkoły – Pan **Jurkiewicz**, zawsze nienagannie ubrany, z zegarkiem na łańcuszku trzymanym w kieszonce kamizelki, uczył fizyki i chemii. Wchodził do klasy ze swoją przenośną pracownią - walizką czarów, z której w zależności od potrzeb przedmiotu, wyjmował różne przyrządy, probówki, czynniki, odczynniki. Ważył, mieszał wprowadzając nas w arkana wiedzy tajemnej i ciekawej. Szybko okazało się, że to wiedza bardzo tajemna, a do tego te domowe zadania... Matematyki zaczęła nas uczyć Pani **Włodarczykowa**. Energiczna, z kręconymi ciemnymi włosami szybko wchodziła do klasy wymagając od nas natychmiastowego skupienia nad matematycznymi zasadami. Pani **Żakiewiczowa**, starsza, w grubych okularach, spokojna o miłym, cichym głosie uczyła nas biologii, a starsze klasy też chemii. Należała chyba do nauczycielek-pasjonatek, która bez szkody dla uczniów mogła uczyć każdego przedmiotu. Wszyscy Ją bardzo lubiliśmy. Chyba w 1957 r. do nowo otwartej Szkoły Podstawowej Nr 6 odeszła Pani **Nowakowa** i Państwo **Kwiatkowsy**. My bardzo polubiliśmy historię a to za sprawą nowej nauczycielki – młodziutkiej i ślicznej. Niecodzienna, kolorowa, zjawiskowo szczupła nauczycielka o zaskakującym imieniu – Scholastyka – zawojowała nasze serca. Urok nie trwał długo, bo Pani **Scholastyka Wysocka** tak, jak szybko pojawiła się, tak i szybko zniknęła. Jedni mówili, że przeszła do innej szkoły, inni, że zginęła w wypadku... Po takim przeżyciu nie mogliśmy już tak pilnie uczyć się historii jak dawniej, mimo iż Pani **Wrocławska** dokładała wszelkich starań, aby nas tym przedmiotem zainteresować. Rysunki - przedmiot nie przez wszystkich ulubiony, ale jednak jeden z przyjemniejszych, prowadzony był przez Pana **Gołębiewskiego**, zawsze ubierającego się „na brązowo”. Pani **Perkowska** uczyła języka rosyjskiego (od 5-tej kasy szkoły podstawowej nauka tego języka była obowiązkowa) i... gymnastyki. Zapamiętałam tę nauczycielkę jako osobę ubraną zawsze w odzież szarego koloru, bardzo miłą i bardzo cierpliwie przekazującą nam piękno melodii języka rosyjskiego i zawiłości z przenoszeniem słów na papier. Opanowanie „bukw”, tak różnych od liter łacińskich, sprawiało nam dużą trudność. Byliśmy starsi, gimnastyka różniła się od poprzedniej – klasowej i to Pani Perkowska pokazała radość, jaką można czerpać z biegów, skoków, współzawodnictwa ale i współpracy w grach zespołowych. Rzut dyskiem, czy piłeczką palantową często i dziś przypomina się, szczególnie gdy... zaboli bark. W latach, gdy nauka religii miała miejsce w szkołach, katechezę w 2-ce prowadzili Ks. **Szymborski** i Ks. **Zdzisław Król**.

Osoba, co do której moje wspomnienia wiążą się ze szkołą (nauczyciel gimnastyki) ale już nie bezpośrednio z moimi zajęciami był Pan **Hipolit Szczerkowski** – Grodziski „Dziadek” wszystkich dzieciaków. Gdy pojawiał się na boisku Szkoły Podstawowej Nr 2 natychmiast otaczały Go dzieciaki słuchając jego opowiadań, dowcipów, śpiewając z nim piosenki, prezentując mu poznane wierszyki. Tak, tam pod drzewami na końcu boiska było miejsce czarownych z nim spotkań. Młodzież czarował w prowadzonym przed wojną i szczęśliwie reaktywowanym tuż po wojnie Zespole Artystycznym „Studio”, które jak pamiętam miało siedzibę w strażackiej remizie na wprost kościoła Św. Anny. W „Studio” przygotowywał przedstawienia w amatorskim wykonaniu młodzieży, dla dzieci młodzież prowadziła teatrzyk kukielkowy. Spektakle odbywały się w Sali KKO. Dokładnie ich nie pamiętam, ale doskonale pamiętam niecodzienną postać „Dziadka” Szczerkowskiego. Pogodnego, energicznego, raczej biegającego niż chodzącego po ulicach Grodziska. Zawsze nienagannie ubranego – latem w jasnym, letnim garniturze i słomkowym kapeluszu. Na tle szaro-burej powojennej rzeczywistości ten jasny garnitur, muszka zamiast pospolitego krawata i oryginalny kapelusz „panama” były jak echo dobrych, niestety minionych czasów – czasów „przed wojną”. Taką bowiem cezurą czasową żyli nasi dziadkowie i rodzice a i my ją naturalnie, całkowicie automatycznie przyjęliśmy. Nie tylko jako miernik czasu, ale także jako kategorię wartościującą ekonomiczne warunki codziennego życia, a także kategorię war-

tościującą kulturę i obyczaje. Z nostalgiczných opowiadań tylko ale wiedzieliśmy, że „przed wojną” wszystko było inne i o wiele lepsze. Także z opowiadań dziadków i rodziców wiedzieliśmy, jak nieprzeciętnym inicjatorem działań integrujących grodziską społeczność, animatorem życia społeczno-kulturalnego „przed wojną” był Pan Hipolit Szczerkowski. Tworzył i realizował plany wspólnego działania, społecznego zaangażowania – idee wspólnych komunalnych przedsięwzięć gospodarczych i kulturalnych- wspólne wystawianie sztuk teatralnych, spektakli, widowisk – np.

pokazy w Lutni tak wówczas modnych „żywych obrazów”. Nie będzie przesadą porównanie, że Pan Hipolit Szczerkowski był w Grodzisku tym, kim jeszcze nie tak całkiem dawno był w Krakowie Piotr Skrzynecki. Osobowością, która wyrasta ponad tradycyjno-mieszczańską przeciętność i wskazuje wyższe cele i aspiracje.

Halina Woźnicka-Jędrzejewska

1948 r. Aktorzy teatrzyku kukielkowego Zespołu Artystycznego „Studio” (pracownicy Zakładów „Iwis”) W środku Hipolit Szczerkowski

Zdjęcie z albumu „Grodzisk Maz. na dawnej fotografii”

(Stowarzyszenie Przyjaciół Archiwum m. st. Warszawy, druk:PRIMUM, 2005 r.)



BUDYNKI

1
9
2
0



SZKOLNE

2
0
0
5



Szkoła Podstawowa Nr 2 przy ul. 3-go Maja (Zdjęcie z portalu „Nasza Klasa”)



*Rok szkolny 1952/53 – Klasa I z Wychowawczynią Panią Nowakową
(pierwsza z prawej z wielką kokardą – Halinka Woźnicka)*

2.4. Liceum Ogólnokształcące Nr 10 im. Bolesława Prusa

Wspominanie „na piśmie” lat spędzonych w Grodziskim Liceum jest bardzo trudne. Bo jak znaleźć słowa, aby bez nadmiernego patosu wyrazić to, czego nas tam nauczono, jak nas uczono i czego doznaliśmy? Jak bez przesadnej emfazy pisać o naszych Paniach i Panach Profesorach, a jednocześnie oddać Im uznanie i wdzięczność za wszechstronność tego wszystkiego, co nam dali? Pamiętam, jak Profesor Ryglewicz przestrzegał łacińską sentencją: „Verba volant, scripta manent – Słowa ulatują, zapis pozostaje”.

Chyba, aby te emocje spokojnie „poukładać” w głowie, trzeba zacząć od prostych faktów.

Po pomyślnie zdanych egzaminach wstępnych, część dzieciarni z grodziskich „podstawówek” stała się uczniami Liceum Ogólnokształcącego Nr 10 im. Bolesława Prusa przy ul. Żwirki i Wigury w Grodzisku Mazowieckim. Dyrektorem Liceum był mgr **Witold Westfal**.

Maturalny rocznik 1964 rozpoczął naukę w roku 1960, a ponieważ liczba uczniów była bardzo duża, to utworzone zostały 3 klasy – A, B i C. Kryterium podziału były deklaracje dzieci, jakiego języka obcego chcą się obowiązkowo uczyć: łaciny czy francuskiego? Naukę łaciny wybierały dzieci, które myślały (albo ich rodzice myśleli) o dalszej edukacji w kierunkach medycznych, przyrodniczych, prawniczych. Francuskiego zaś te, które myślały o przyszłym studiowaniu innych dziedzin nauki, albo jeszcze nie miały sprecyzowanych zainteresowań. Utworzona została jedna klasa wyłącznie „łacińska” i dwie mieszane „łacińsko-francuskie”, z których jedna była wyłącznie „żeńska” – około 20-25 samych dziewczyn. Wraz z kilkoma koleżankami z 4-tej „podstawówki”, a nawet z przedszkola, zostałam uczennicą tej klasy – B. Obecnie mogę bez przesady stwierdzić: miałam wielką przyjemność zostać uczennicą tej klasy, bo cóż to była za klasa i jakież „fantazyjne” panny w niej się znalazły!

Naszą Wychowawczynią została Pani Profesor mgr **Alina Zaręba** – nauczycielka Języka Francuskiego. Niewysoka szczupła blondynka, o spokojnym, wręcz „anielskim” usposobieniu i niezwykłej łagodności. Pisząc te wspomnienia, oglądając się za siebie, a jednocześnie mając życiowe doświadczenia i przemyślenia, tym bardziej doceniam wyrozumiałość i cierpliwość Pani Profesor do nas. Jak na spokój Jej charakteru na pewno byłyśmy zbyt żywiołowe, zbyt energiczne, za dużo miałyśmy niekonwencjonalnych pomysłów, które zawsze i szybko chciałyśmy zrealizować. Pani Profesor nie ukrywała swojego zaskoczenia, wiele razy pewnie i zdumienia co do naszej inwencji i spontaniczności. W końcu jednak zawsze pomagała i dzielnie wspierała. Przez całe 4 licealne lata bardzo szanowałyśmy i lubiłyśmy naszą Wychowawczynię. Wspomnienie Jej do dziś wywołuje miłe wrażenia, a na twarzach uśmiech, jaki może pojawić się tylko wtedy, gdy przypomina się ktoś sympatyczny i dobry.

Droga Pani Profesor! Nigdy nie posługiwałam się, ani prywatnie ani zawodowo, językiem francuskim, ale chyba Pani wysilek nie poszedł całkiem na marne. Jeśli była taka konieczność przywoływałam francuskie słówka i zwroty, a kilka razy sama byłam zdziwiona, że tyle z Pani nauki „mi pozostało”. W dniu 14 lipca 2008 gościłam w moim domu dwie Francuzki – nauczycielki z Bretanii. Wzniosłam toast za Quatorze Juillet i zaproponowałam odśpiewanie „Marsylianki”. One nie znały całych słów swojego narodowego hymnu! Nie wiem, co było większe – czy moje tym zdumienie, czy ich podziw dla mojej Profesor od francuskiego sprzed ponad 40 lat!

Profesor **Halina Bielecka** – nauczycielka Języka Polskiego. Niewysoka ciemna blondynka, zawsze elegancko ubrana i uczesana, była dla nas nie tylko nauczycielką polskiego. Była też wzorem kobiecości, choć jeszcze niedokładnie wiedziałyśmy, co to jest, a tylko intuicyjnie wyczuwałyśmy, że to coś takiego, co jest w Profesor Bieleckiej. Pani Profesor mieszkała w Karolinie, w siedzibie „Mazowsza”, znała Mirę Zimińską – Sygietyńską (może także mistrza Tadeusza), co samo w sobie musiało budzić podziw. Starła się i nam otworzyć bramy tego „raju”, ale sprowadzony przez Nią do szkoły słynny mazowszański choreograf Witold Zapała nie znalazł wśród nas potrzebnych w „Mazowszu” talentów. Tak ze względu na wielką osobowość, jak i ze względu na ogólno-kulturowe wartości nauczanego przedmiotu, Pani Profesor w ogromnym stopniu miała wielce pozytywny wpływ na nasz rozwój intelektualny. Lekcje języka polskiego to nie była tylko gramatyka i lektury, w tym także cenne pozycje literatury światowej – tzw. „literatury obcej”. To było wskazywanie poprzez literaturę dróg i możliwości rozwoju duchowego i intelektualnego. A nade wszystko ukształtowania otwartych i elastycznych umysłów, zdolnych zgodnie z norwidowską wskazówką oceniać, co „popiół”, a co „diament”. Pani Profesor bardzo ubolewała, że programy nauki historii i polskiego „rozmijają się” w czasie i są, dziś powiedzieliby się „nieskorelowane”, czy „nieskoordynowane”. Z tego powodu rozpoczęcie nauki o każdym okresie literackim poprzedzone było solidnym wykładem historii Polski i Europy, z rysem nawet czasów antycznych. Także mitologicznych, bo bez pobieżnej choćby znajomości mitów greckich i rzymskich, nie można zrozumieć symboliki wielu utworów. A już bez znajomości historycznych uwarunkowań zupełnie nie można zrozumieć, jaka była baza i konieczność cywilizacyjnego rozwoju, że po Średniowieczu nastąpiło Odrodzenie. A potem Oświecenie – chyba najbardziej przez Panią Profesor ceniony nurt historyczny i kulturowy. Jakie historyczne doświadczenia były przyczyną tego, że po Romantyzmie i narodowych powstańczych zrywach z roku 1830 i 1863 nastąpił w Polsce Pozytywizm z jego racjonalną ideą – „pracą od podstaw”. Nie burząc nam pomnikowego wizerunku wieszczów, ale jak to: „między nami kobietami”, przybliżała nam ich postacie uchylając nawet nieco „tajemnic alkowy”, co z powodu chyba zawsze pruderyjnej dydaktyki, skrzętnie było skrywane. (Pewnie tak jest i do tej pory – wieszcz stworzył, ma stać na pomniku, a młodzież podziwiać i „czerpać wzory”). Dowiedziałyśmy się, jak Marysieńka Sobieska wraz z czułym liścikiem wysłała Jasiowi pod Wiedeń własnoręcznie uszyty mieszek, aby długo siedząc

na koniu nie uszkodził sobie tak obojgu cennych klejnotów. O nieustępliwej, a jakże dla potomnych korzystnej, rywalizacji pomiędzy Izabellą Czartoryską a Heleną Radziwiłłową, dzięki czemu jednej zawdzięczamy piękne obiekty w Puławach, a drugiej w Nieborowie i Arkadii. Szkolne wycieczki, „zielone szkoły” nie są dziś czymś niezwykłym. Ile jednak organizacyjnych i finansowych starań i zabiegów musiały zrobić Profesor Bielecka i Profesor Zaręba, aby zabrać nas w te miejsca. Pokazać Niobe, marmury, alabastry, magnolie w arkadyjskim ogrodzie, po którym ok. 150 lat wstecz, zgodnie z sielankową modą, biegały białe owieczki ze złotymi dzwoneczkami uwiązanyymi na kolorowych wstążeczkach, a damy w Świątyniach Dumania czytały francuskie romanse. Te bardziej oświecone może czytały też libertyńską literaturę, którą bardzo udanie w latach 20 i 30-tych XX w. tłumaczył Tadeusz Boy-Żeleński. (A gdy miał w którymś z tekstów przetłumaczyć celowo napisane błędnie, bo dla żartu, francuskie słowo „merde” /w oryginale było „mordre” i to chyba u Voltair’a/ zgrabnie je przełożył na polskie „grówno”). Były wykłady o stylach w architekturze i budownictwie, o pięknie prostoty klasycyzmu opartego o antyczne greckie wzory – co to jest portal, tympanon, czym się różnią kolumny korynckie, jońskie, doryckie. Warszawskie Łazienki, „Król Staś” i jego „obiady czwartkowe”, królewski mecenat, rozwój nauk i sztuk. Jak bardzo w odbudowie Warszawy z powojennych ruin przydały się obrazy jego nadwornych malarzy Baciarellego i Canaletta. Bardzo dużo było takich nauk i wielka była ich różnorodność. Bowiem wszystkie lekcje Profesor Bieleckiej to była nie tylko nauka języka i literatury odnoszonej do historycznych uwarunkowań. To było wyrabianie poczucia piękna, ukazywanie wzorców ogólno- kulturowych, w tym kultury języka. Wskazywanie tego, co w życiu jednostek i społeczeństw najcenniejsze – wartości humanizmu i oświecenia, które niezaprzeczalnie stanowią jedyną intelektualnie właściwą bazę dla rozwoju wszelkich nauk, kreowania pozytywnych relacji między ludźmi opartych na tolerancji, poszanowaniu innych kultur i obyczajów.

Pani Profesor! Zaciągnięty u Pani dług spłacić można tylko pisząc wspomnienia i starając się, „...aby język giętki powiedział sprawnie, co pomyśli głowa...”, aby „polszczyzna” (to wszystko Julian Tuwim) była gramatycznie poprawna, a treść prawidłowo skomponowana pod względem jedności akcji, miejsca i czasu. Co, dziękując za nauki, niniejszym usilnie staram się wypełnić. A „nad interpunkcją” jeszcze popracuję!



11.06.1964 r. – rozdanie matur

(w sukni z białym żabotem Prof. H. Bielecka, w ciemnej sukni w środku Prof. A. Zaremba)

Rozpoczynając licealne wspomnienia nie bez powodu przywołałam łacińską maksymę wypowiedianą przez Profesora Ryglewicza. Czy nie był niezwykłą osobowością wykładowca Matematyki – mgr **Kazimierz Ryglewicz**, który znał łacinę i uczył nie tylko matematyki, ale także życiowej mądrości i przyzwoitości zawartej w łacińskich i greckich aforyzmach i sentencjach? O nas często mówił, że jesteśmy jak „tabula rasa” – biała tablica, którą nauczyciele mają obowiązek wypełniać mądrymi i wartościowymi treściami. Dzięki takim sentencjom i skojarzeniom lekcje Profesora były ciekawe i nawet w matematycznych antytalentach nie budziły strachu. Profesor był niewysoki, lekko już siwy, o ruchach żywych, energicznych, niekiedy gwałtownych. Zakochany był w swojej „królowej nauk” i każdy jego wykład był niemal „aktorskim spektaklem”, gdyż z pasją i wielką żywiołowością starał się rozbudzić w nas zapal do matematyki, choć w maleńkim stopniu równy Jego pasji. Gdy po szczególnie żarliwym wykładzie zwracał się do nas z pytaniem – „Czy wszystko jasne?”, to widząc nasze twarze „pogodne, żadną myślą nie zmaczone”, gorzko odpowiadał sam sobie: „Jasne! Jak księżyc pochmurną nocą.” Czasem przywoływał klasykę: „Wszystkim się zdawało, że Wojski gra wciąż jeszcze, a to echo grało.” Po czym zaczynał od nowa, jeszcze prościej, z jeszcze większym zaangażowaniem. Gdy już coś „dotarło” podsumowywał: „Potius sero quam numquam – Lepiej późno, niż wcale”. Lub: „Finis coronat opus – Finał kończy dzieło”. Przekonaniu nas do konieczności logicznego myślenia, posługiwania się rozumem we wszystkim co się robi, służyła maksyma: „Cogito ergo sum – Myślę więc jestem”. (Czasem jej żartobliwa wersja: „Cogito ergo zum – Myślę więc jeżdżem”). Cenną życiową wskazówkę miała nam dać maksyma: „Hominis est errare, inisipientis in errore perseverare – Ludzką rzeczą jest błędzić, głupców rzeczą trwać w błędzie”. Jeszcze ta ulubiona maksyma Profesora, której przesłanie bardzo chciał w nas utrwalić: „Ibi patria ubi bene – Tam dobrze, gdzie ojczyzna”. Mówił: „Zapamiętajcie to dokładnie, ale tylko w tej formie, a nie w odwrotnej: „Ubi patria ibi bene – Tam ojczyzna, gdzie dobrze”! Gdy na pierwszym roku warszawskiej SGPiS miałam poważne kłopoty z zaliczeniem tego roku studiów z powodu matematyki, zwróciłam się o pomoc do mojego licealnego Profesora. Jego nauki pomogły, gdyż tylko On był w stanie sprawić, abym pojęła abstrakcyjną nieskończoność, do której biegła wartość równie dla mnie abstrakcyjnej funkcji.

08.02.1964 - „Studniówka”
z Profesorem Kazimierzem
Ryglewiczem



Obowiązkową w tych latach (już od klasy 5-tej szkoły podstawowej) naukę Języka Rosyjskiego prowadziła z nami Pani Profesor – mgr **Natalia Mizgier**. Wysoka, szczupła, bardzo biała, mimo chyba stosunkowo młodego wieku o całkowicie siwych włosach. Wychowawczyni prosiła nas, abyśmy na Jej lekcjach cicho i spokojnie zachowywały się, gdyż zdrowie Profesor Mizgierowej nie jest najlepszego stanu. Jednak osobowość Pani Profesor – Jej zachowanie i sposób mówienia – same w sobie budziły szacunek. Wydaje mi się, że nie tylko my czułyśmy tę kruchość, ale i wszyscy Profesorowie mieli do Profesor Mizgierowej głęboki, jakby współczujący stosunek. Ta delikatność nie miała jednak żadnego wpływu na nauczanie. Nasze postępy w nauce rosyjskiego były przez Panią Profesor konsekwentnie egzekwowane mimo tego, że nastawienie uczniów do języka rosyjskiego było z założenia negatywne. W tamtych dziwnych czasach, prawie tak samo jak w czasach zaborów, język rosyjski był traktowany jako język wroga i nie wypadało mieć z niego dobrego stopnia. Na szczęście Pani Profesor była od nas znacznie mądrzejsza, bardziej doświadczona i pewnie przewidywała, że i my kiedyś dojrzejemy do wiedzy, że: „Język niczemu niewinowat.” Systematycznie realizowała program nauczania i dzięki temu wiemy o wspaniałej rosyjskiej poezji, literaturze, sztukach dramatycznych, których piękno i wartości od wieków podziwiają wszyscy wielcy intelektualiści tego świata. Nie byłybyśmy jednak sobą gdybyśmy i w ten lekcyjny spokój nie wniosły niespokojnej odmiany. Trochę ze zdziwieniem, ale i z życzliwością, Pani Profesor zgodziła się na pomysł, aby poznawać język także przez rosyjskie piosenki. Przynieśliśmy do szkoły adapter „Bambino”, płyty „pocztówkowe” i w czasie zajęć lekcyjnych z naszej klasy „pobiegł” przez szkolny korytarz nasz śpiew: „... padmaskownyje wieczera...”

W moim przypadku wysiłki Pani Profesor zakończyły się sukcesem. Realizując podróźnicze pasje i będąc w 2007 r. nad Jeziorem Bajkał wśród rosyjskich przyjaciół, po raz pierwszy od licealnych lat posługiwałam się językiem rosyjskim i to bez szczególnego wysiłku i większych językowych nieporozumień. Ogromny musiał być wkład pracy i konsekwencja Pani Profesor, że ja – zawsze „zaledwie trójkowa” uczennica, sprawnie posługuję się językiem Puszkina.

Umiejętność pływania zawdzięczamy Pani Profesor – mgr **Alicji Kaczyńskiej**, która prowadziła z nami lekcje Wychowania Fizycznego. Pewnie znajomościami z czasów studenckich zaowocowała wystarana przez Nią możliwość naszej nauki pływania na Basenie YMCA przy ulicy Marii Konopnickiej w Warszawie. Także i tam nauczycielem była Profesor Kaczyńska. Obecnie, gdy w Grodzisku basen jest normalnym, naturalnym obiektem nauki i rekreacji, nasze niedysyjne zachwyty nad okazją nauki pływania „na IMCE w Warszawie” mogą się wydać niezrozumiałe i śmieszne. Jednak w tamtych czasach śmieszna, bo irracjonalna była myśl, że w Grodzisku może być basen! Dlatego możliwość nauki pływania nie na chrzanowskich gliniankach, a na prawdziwym basenie w Warszawie była wydarzeniem i wielkim przeżyciem. Radość i satysfakcję dawało już posiadanie „szkolnego miesięcznego” biletu do Warszawy (kosztował 27 złotych), z którego można było korzystać codziennie, a nie tylko w niedzielne wyjazdy na lekcje pływania. Zaniechane zostały wszelkie zakupy drobnych przyjemności (np. rodzynek w czekoladzie, na które robiłyśmy składkę, aby wracając ze szkoły kupić ich paczkę i sprawiedliwie nią podzielić się), bo najbardziej upragnione stało się to, aby wracając po basenie wstąpić do Baru Mlecznego „Praha” w Alejach Jerozolimskich na porcję kremu „Sułańskiego”.

Pani Profesor – mgr **Halina Makowska** uczyła nas Geografii. Niech nikt nie potraktuje tego co napiszę jako brak szacunku dla Pani Profesor, ale gdy Ją wspominam, to nie do odparcia nasuwa mi się skojarzenie – „nauczyciel – kumpel”. Oczywiście, że zachowany był przez nas należny szacunek, naturalny dystans, ale Pani Profesor była bardzo przyjacielska, pogodna, wesoła i zawsze chętnie nas „wysłuchująca” – jak starsza siostra, jak starsza koleżanka. Nauka geografii i nasza wiedza z tego przedmiotu nie ponosiła strat. Wiadomo było, że warunkiem takich dobrych stosunków z Panią Profesor jest rzetelna nauka.

Historii uczyła nas Pani Profesor – mgr **Halina Chelmicka**. Drobna i niska, nieco surowa ale życzliwa – spokojnie i rzeczowo prowadziła lekcje. Równie spokojnie i bez pobłażania z przekazanych i książkowych wiadomości „odpytywała”. Z Panią Profesor sprawa była jednoznaczna – albo się umie, albo nie umie – żadnego „pływania po temacie”. Wykłady Pani Profesor były precyzyjne i konkretne, mówione piękną, przykładowie akcentowaną „polszczyzną”, z tym fascynującym „przedniojęzykowym L”. To Pani Profesor uczyła nas, jak fonetycznie odróżniać kiedy „H” jest dźwięczne i wtedy wyraz należy pisać przez „samo h” – jak w wyrazie „herbata”, a kiedy „H” jest bezdźwięczne i wyraz należy pisać przez „ch” – jak w wyrazie „chleb”.

„Sam spokój” był w Pani Profesor „od Chemii” – mgr **Zofii Cieśluk**. Kręcąc głową z niezadowolenia, z wyrozumiałym jednak uśmiechem traktowała nasze doświadczenia w Pracowni Chemicznej. Oczywiście do czasu, gdy nie zagrażały one naszemu zdrowiu. Przestrzegała przed „zabawami” z kwasami i choć większość z nas w życiu zawodowym nie miała okazji do prowadzenia chemicznych badań to do dziś pamiętamy: „Pamiętaj chemiku młody, wlewaj zawsze kwas do wody”. Lub: „Jeśli nie chcesz nosić brody wlewaj zawsze kwas do wody”.

Nauka Fizyki była bardzo trudna. Pan Profesor – mgr **Józef Tomczak** był młody, bardzo przystojny, wydawał się nam tak atrakcyjny, że wszystkie „kochałyśmy się” w Nim. Przed każdą lekcją „w ruch szły” szczotki, grzebienie, podwijacze do rżęs – tzw. „załotki”. Poślinione palce przyglądały brwi. Tylko tyle można było zrobić. Malowanie, wszelkie makijaże były w szkole (także po szkole) kategorycznie zabronione. Niestety, uznanie Profesora Tomczaka można było zdobyć tylko dzięki dobrej nauce i dobrym odpowiedziom. Z tym było gorzej, ale chyba nie tak bardzo, skoro wiele z nas pomyślnie zdało egzaminy na politechniczne uczelnie i ukończyło je.

Zmarły niedawno w sędziwym wieku Profesor **Karol Pigłosiewicz** prowadził z nami zajęcia Przysposobienia Wojskowego. Wielka musiała być Jego cierpliwość, aby nauczyć rozdokazywane dziewczyny właściwej postawy do strzelania z karabinu typu KBKS i żęby „muszka” zawsze była w „szczerbince”. Jak należy zachować się na wypadek zagrożenia nuklearnego? Żyliśmy w czasach „zimnej wojny”. Mimo upływu 20 lat wciąż żywa była pamięć II Wojny Światowej a także, zgodnie z polityczno-wojskową doktryną, wciąż istniało zagrożenie ze strony „wrogiego imperializmu”. Przysposobienie Wojskowe – Obronne nie było jednak tylko nauką „wojskowości”. Profesor Pigłosiewicz uczył nas także udzielania pierwszej pomocy, stosowania środków odkażających, zakładania opatrunków, tamponów uciskowych – nauki te były także lekcjami anatomii. Znacznie jednak ciekawsze były zajęcia nauki jazdy na motocyklu. Skąd był w szkole motocykl, czemu uczono nas jazdy na nim? Pytania, na które dziś nie ma odpowiedzi, ale także dziś musi budzić uznanie to, że wykorzystywano wszelkie możliwości, aby uczyć nas umiejętności, które kiedyś mogą nam przydać się.

Zupełnie już nie pamiętam faz rozwoju rozwielitki, czy eugleny zielonej, ale ucząc nas Biologii Panią Profesor **Annę Tustanowską** pamiętam doskonale. Wysoka, postawna, surowa z wyglądu bo zawsze ciemno ubrana, z gładko zaczesanymi ciemno-siwoymi włosami, była ciepła, życzliwa i wyrozumiała. Mimo stojących na półkach różnych „obrzydlivości” chętnie chodziłyśmy na lekcje do Pracowni Biologicznej, bo rozmowy z Panią Profesor, nie tylko na przyrodnicze tematy, były mądre i ciekawe. Wiele z nas było wówczas fankami Elvisa Presleya, ale nie pamiętam oburzenia Pani Profesor, gdy zamiast uczestniczyć w lekcji nabożnie wpatrywałam się w jego fotkę. Oczywiście nie było rozmowy o Presleyu, ale była rozmowa o naturalnych u młodych ludzi fascynacjach różnymi, jak to obecnie się mówi, idolami. Należy wręcz poszukiwać wzorów i autorytetów godnych naśladowania. Były tylko były to osobowości, czy postacie z systemu wartości pozytywnych.

Przykro mi przyznać się do tego, że nie pamiętam nazwiska Pani, która miała z nami Zajęcia Praktyczne. Pamiętam tylko, że była to – **Pani Kamelia**. Nie mogę Jej jednak w tych wspo-

mnieniach pominąć, gdyż naukami krawiectwa oddała nam wiele wartościowych przysług, które w dalszym życiu niejednokrotnie bardzo nam się przydały. Tym bardziej, że nauki Pani Kamelii nie były tylko naukami szycia. Były także naukami projektowania, wykroju, wzoru, doboru materiałów, kolorów, ozdób, dodatków, co do czego pasuje, na jakie okazje jak ubierać się! Uwienieniem pracy nad jakimś modelem sukni były „pokazy mody” wraz ze wskazówkami jak chodzić, jak poruszać się. Czy dla młodych dziewczyn mogą być nauki bardziej cenne? Wiele lat później, gdy jedyną możliwością ciekawszego ubierania się były wykroje magazynu BURDA, pamięć nauk Pani Kamelii była bardzo użyteczna. I jest nadal.

Życzliwość i pomoc w realizacji naszych, mniej lub więcej, szalonych pomysłów zyskiwałyśmy nie tylko w gronie Profesorów uczących naszą klasę. Bywało, że należało mieć dla nich pomoc i zgodę Dyrekcji. W III-ciej klasie mocno zapragnęłyśmy wyjechać zimą w góry. Przeszkodą było to, co zawsze przeszkadza zrealizowaniu wszelkich wspaniałych pomysłów – brak pieniędzy, których w wystarczającej wysokości nie mogła dać ani szkoła ani rodzice. Trzeba było samodzielnie postarać się o zyskanie środków na taki wyjazd. Jednym z pomysłów było pieczenie ciastek, które można by sprzedawać w bufecie na szkolnych zabawach. Małgosia Muchajer-Maczkowska wspomina: „U Maryli Wachowiak kilka dziewcząt piekło ciastka pod fachowym okiem Taty Maryli. Nikt wtedy nie wiedział, że gdy ja robię krem, to on na pewno „się zwarzy”. Przy trzecim „podejściu” Mama Maryli zdenerwowała się i uznała, że może być ten „zwarzony” (tamte zjadaliśmy.) Ciastka i tak były sprzedane błyskawicznie, a my już miałyśmy trochę pieniędzy.”

Wszystko to było jednak o dużo za mało. Trzeba było pomysłu na możliwość uzyskania większych środków. Postanowiłyśmy wystawić teatralne przedstawienie dla grodziskiej „dziatwy” szkolnej, a za pieniądze uzyskane ze sprzedaży biletów spełnić nasze marzenie. Wybór padł na „Królową Śnieżkę”. Adaptacji i reżyserii podjęła się pisząca te wspomnienia – wówczas Ala Barańska. Role zostały rozpisane, na kilka tygodni udostępniono nam salę gimnastyczną, aby próby i malowanie dekoracji mogły odbywać się bez przeszkód. Zaangażowani zostali także niektórzy Rodzice. Mama Dygasowa – mama Ewy – „Śnieżki” wybrała się z nami do Warszawy do Teatru Komedia, gdzie wypożyczyłyśmy prawdziwe teatralne kostiumy dla złej królowej, królewicza i krasnali. Ich uszycie przekraczało nasze możliwości, a do tego nie chciałyśmy, aby kupujący bilety mieli wrażenie, że płacą za bylejaką i nieprofesjonalną tandetę. (Od Pani rekwizytorki tego Teatru dowiedziałam się, że Dziadek naszej koleżanki – Ignacy Dygas był w latach międzywojennych sławnym solistą – „tenorem bohaterskim” Warszawskiej Opery Narodowej.) Panie pielęgniarki pracujące w miejskiej przychodni lekarskiej z Tatą Dygasem (Dr Stanisław Dygas był znanym grodziskim lekarzem) z nakrochmalonej gazy i waty uszyły dla naszej Śnieżki piękną białą suknię. Tata Witold Zalewski - tata Ani odpowiedzialnej za oprawę muzyczną – śpiewak Warszawskiej Opery Narodowej charakteryzował wszystkie „aktorki”. Pod kierunkiem plastycznie uzdolnionej Halinki Woźnickiej na opakowaniowym szarym papierze sklejonym w wielkie płachty wymalowałyśmy dekoracje. Nigdy nie dowiedziałyśmy się, jakich argumentów użyła Mama Dygasowa, że Dyrekcja Fabryki Tarcz Ściernych udostępniła nam na całą niedzielę salę kina „Słoń”. Z pociętych na kawałki kartek zeszytów szkolnych porobione zostały bilety wstępu rozprowadzane po grodzkich przedszkolach i „podstawówkach”. W przerwie spektakli Mamy Wachowiak i Barańska przyniesionymi pierogami dokarmiły artystki. Humoru nam nie popsulo, że Śnieżka tak była zachwycona swoją piękną suknią, że żał jej było wystąpić w niej tylko na samym końcu przedstawienia, jak to wynikało z treści bajki. Żadne argumenty o wielkości Sztuki (takiej przez „Sz”) nie trafiały Ewie do przekonania – ot, kaprysy gwiazdy. Uważając, aby sukni nie pognieść i nie zniszczyć, narzuciłyśmy na nią „biedny i skromny” fartuszek, o którym mówiła na początku bajki żaląc się na swoje biedy. Nie wiem, czy widownia uwierzyła w mizериę losu Śnieżki, ale powodzenie było, były oklaski i ... własne zapracowane pieniądze. Małgosia Mucha-

Jer-Maczkowska (krasnal Gdera) wspomina: „Przy bardzo skromnej reklamie, tłumy waliły na przedstawienie. Sala była pełna, ludzie siedzieli na parapetach i tak było na obydwu spektaklach – pierwszym o godz. 15-tej i drugim chyba o godz. 17-tej. Nasze przedstawienie było słynne i to naprawdę słynne co najmniej przez kilka lat. Mój brat Robert i siostra Dorota (wtedy 6 i 8 lat) pamiętają je do dzisiaj”. Tak samo do dziś pamięta ten występ, obecnie 55-letni mój kuzyn, wspominany już Jarosław Deminet.

Na wycieczkę pojechałyśmy całą klasą razem z koleżankami, które nie były bezpośrednio zaangażowane w teatralny spektakl, i których Rodzice nie byli w stanie dofinansować wyjazdu, bo mimo zapracowanych pieniędzy była taka potrzeba. Brak ten pokryto z funduszy szkoły i Komitetu Rodzicielskiego, czym dyskretnie zajęła się Mama Dygasowa, a my nigdy nie dowiedziałyśmy się, które koleżanki z takiej pomocy skorzystały. Pod opieką Profesor Zaręby i Mamy Dygasowej pojechałyśmy do Wisły-Malinki! Był kulig na Kubalonkę i wjazd ze Szczyrku wyciągiem krzesełkowym na Skrzyczne. Dla nas frajda, dla naszych Opiekunek traumatyczne przeżycie. Obie Panie cierpiały na lęk przestrzeni, ale dla nas poświęciły się i z nami wjechały. Z poczucia obowiązku, ale z wielkim bólem nasza Wychowawczyni zjechała wyciągiem wraz z nami. Dla Mamy Dygasowej zjazd wyciągiem był już ponad Jej psychiczną wytrzymałość. O zmroku, brodząc w wysokim śniegu zeszała ze Skrzycznego nie jakimś szlakiem ale, aby nie pobiłdźić, po górskich wertepach pod linią wyciągu! Szczęśliwie nic się nie stało. Cała wycieczka nadzwyczaj się udała, wracałyśmy bardzo z siebie dumne i zadowolone. Tylko Kasia najchętniej zostałaaby kilka dni dłużej, aby z jej twarzy „zszedł” koszmarny żółty kolor, gdyż chcąc wrócić z gór pięknie opalona zbyt intensywnie smarowała się kremem samo-opalającym.



24.02.1963 r. – Przedstawienie „Królowna Śnieżka”
(Na tronie „zła królowa” – Ania Szymańska)



Marzec 1963 r. kulig w Wiśle

Chętnie byliśmy nie tylko do występów „komercyjnych”. W każdej szkolnej akademii musieliśmy wziąć znaczący udział. Najbardziej utkwił mi w pamięci występ na naszej „Studniówce” w dniu 8-go lutego 1964 r. Były okolicznościowe skecze i wiersze – nasze własne, szkolne. Bardzo popularny był wtedy zespół ze Szczecina „Filipinki”. Śpiewając ich piosenki byliśmy „Grodziskie Filipinki”.



08.02.1964 r. - Grodziskie „Filipinki”

Studniówkowy sukces spowodował, że uroczyste rozdanie matur nie mogło być pozbawione naszego występu. Jak to jednak bywa – „nic dwa razy się nie zdarza” (Wisława Szymborska) i nie

każdy sukces da się powtórzyć. Małgosia Maczkowska wspomina: „Nasz występ śpiewaczy na Studniówce był bardzo udany, więc na rozdanie matur poproszono, abyśmy też coś przygotowały. Szczecińskie „Filipinki” miały wtedy nowy przebój pt. „Dziękujemy Profesorze”. Idealnie nadawał się do okoliczności, ale czasu miałyśmy bardzo mało i nie zdążyłyśmy nauczyć się tekstu. Ustaliłyśmy, że trzeba włączyć (po cichu) płytę, a my będziemy głośno śpiewać – taki półplayback. Niestety, ktoś nam zrobił głupi kawał i włączył płytę na zwolnionych obrotach. Kompletna kłapa! Ani tekstu ani melodii nie dało się odtworzyć. Przedstawiciel z Kuratorium był oburzony. A za kulisami płacz i wstyd, żadna nie chciała wyjść. Na szczęście na sali podano tort, no to wyszliśmy”.

Ponieważ jednak piosenka była bardzo popularna to nasi Nauczyciele wiedzieli, że chcieliśmy Im zaśpiewać:

„...Tą piosenką Cię żegnamy Profesorze,
Nasze myśli będą zawsze z Tobą sły...”

I tak się stało. Od ponad 35 lat, gdy już pokończyłyśmy studia a nasze dzieci zaczęły stawiać pierwsze kroki, zawsze w czerwcu w rocznicę matury spotykamy się, co roku u innej koleżanki. Zawsze 9–10 „dziewczynek od Profesor Zarębiny” – prawie połowa klasy: **Ewa Kilańska (Dygalsówna)**, **Małgosia Maczkowska (Muchajerówna)**, **Irena Baron (Perlińska)**, **Ania Kwiatkowska (Szymańska)**, **Halinka Woźnicka-Jędrzejewska**, **Lusia Górnicka (Dłużyńska)**, **Maryla Zagrajek (Wachowiakówna)**, **Marysia Zientala**, **Ala Szafrąńska (Barańska)**. Obecnie spotykamy się nawet 2-3 razy w roku, gdyż skraca się czas przed nami... W sierpniu 2008 r. koleżeńską wiazanką ze stosowną szarfą pożegnaliśmy **Anię Zalewską** i na nieoczekiwanym spotkaniu u Maryli wspominałyśmy Anię i „...te młode lata, ten szczęsny czas...” I zawsze, przez te wszystkie lata wspominamy – wciąż i wciąż – nasze Liceum, nasze Panie Profesororki i naszych Panów Profesorów. Za każdym razem z taką samą radością, sympatią i uznaniem. Nie zanosi się na to, aby kiedyś miało się nam to znudzić. Bo Oni zasłużyli na naszą wdzięczną pamięć.



Czerwiec, 2004 r. – 40 lat po maturze...

(Od lewej: H. Woźnicka-Jędrzejewska, A. Zalewska, M. Zagrajek, I. Baron,
M. Maczkowska, E. Kilańska, M. Zientala; w środku A. Szafrąńska,
A. Szymańska-Kwiatkowska zdjęcie to wykonała.)

Czytając wydaną w 1991 roku wspomnianą już książkę *Ośrodek Armii Krajowej „Gąbka” - „Osa”*, odnalazłam nazwiska naszych Profesorów – członków TON (Tajnej Organizacji Nauczania) prowadzących w okresie hitlerowskiej okupacji nauczanie w ramach „tajnych kompletów”. Dużą przykrość sprawiło mi to, że dowiaduję się tego dopiero po tylu latach. Z pewnością, gdybym wiedziała to w czasie nauki w Liceum, mój/nasz stosunek do Tych Nauczycieli nie byłby inny, niż był. W trudnych jednak latach żyliśmy, gdy jawne mówienie o Ich bohaterskiej działalności musiało być ukryte w ponurej w tamtych czasach „konieczności milczenia”, wymuszonej przez warunki polityczne. Halina Chełmicka, Anna Tustanowska, Witold Westfal, Kazimierz Ryglewicz – na tych Profesorów patrzyłybyśmy nie tylko z szacunkiem ale z podziwem – jak na Nauczycieli Odważnych – prawdziwych Bohaterów. Nie takich, jakich Oni zmuszeni byli stawiać nam za wzór zgodnie z ówczesną ideologiczną dydaktyką. Gdybyśmy o Ich przeszłości wiedziały, na pewno prosiłybyśmy o wspomnienia, opowiadania, a Wszyscy Oni na pewno nie szczędziliby ich nam. A tak ... Im odebrano nawet skromną satysfakcję wspomniania tych lat nauczania, nas pozbawiono możliwości poznania tego fragmentu grodzkiej historii – lat okupacyjnego szkolnego życia. Rodzice w domach też woleli nie wspominać szczegółów okupacyjnej przeszłości, choć wielu z nich było w tym czasie uczniami naszych licealnych Nauczycieli. Nie dociekałyśmy dlaczego Profesor Ryglewicz wołając Halinkę Woźnicką do odpowiedzi woła: „Krechowiecka do tablicy!” Teraz wiadomo, że w czasie gimnazjalnych tajnych kompletów Ada Krechowicka była uczennicą Profesora. Wielka musiała być gorycz naszych Profesorów. Musiała jednak być także wiara w „historyczną sprawiedliwość”, bo z przekazu Profesora Ryglewicza utkwiał mi w pamięci wiersz:

„... A jeśli komu droga otwarta do nieba - Tym, co służą Ojczyźnie.
Wątpić nie potrzeba, że co im zazdrość ujmie, Bóg nagradzać będzie,
A cnota kiedykolwiek swe miejsce osiedzie ...”

Dobrze, że tak się wreszcie stało. Szkoda, że Wielu z Nich o tym nie dowiedziało się... Bardzo starałam nie poddać się patosowi przy pisaniu wspomnień naszego Liceum Nr 10 im. Bolesława Prusa w Grodzisku Mazowieckim. Ale czy mając wiele lat, wiele doświadczeń i wspominając Tych Ludzi, Te Panie Profesorki i Tych Panów Profesorów można było uniknąć patosu? Gdy wraz z mijającym czasem i bagażem doświadczeń można dopiero właściwie docenić Ich wielką sympatię i życzliwość dla nas. I kiedy już wiadomo, jak wiele z tego, co przekazali, przysłało się w dorosłym życiu.

Alicja Szafrńska

2.5. Nauka religii - obrzędy i tradycja

Tak samo, jak życie wszystkich naszych Tych, którzy byli przed nami, tak i nasze życie kształtowało się pod dużym wpływem nauk Kościoła. W opisywanych latach w Grodzisku był jeden kościół - **Kościół Św. Anny** w centrum miasta.

Jak wynika ze zdjęć i wspomnień Eugenii Deminet, w pierwszych powojennych latach nauka religii była jednym z przedmiotów nauczania i odbywała się w szkołach. Okres ten musiał jednak trwać bardzo krótko, gdyż dzieci i młodzież „należało” poddać światopoglądowemu wychowaniu w duchu nowych doktryn – szczególnie w duchu ateizmu. „Anachroniczna” wiara w Boga przeszkadzała w budowie wspaniałego – „nowego życia i nowego ładu”, jak śpiewano w jednej z ówczesnych pieśni. Nauka religii wróciła do szkół po narodowym zryw w r. 1956 – po

Poznańskim Czerwcu i Polskim Październiku, po powrocie do władzy Władysława Gomułki, z którym wiązano wielkie narodowe nadzieje na polityczne zmiany umożliwiające zachowanie narodowej tożsamości i odrębności, na przywrócenie obywatelskich swobód. Domagano się wierności i poszanowania narodowych tradycji, których ogromną wartością były swobody religijne. Po-październikowe nadzieje nie spełniły się. Co prawda nauka religii wróciła do szkół, jednak chyba nie na dłużej niż na 2–3 lata, by po tym okresie znów powrócić do przykościelnej Sali Katechetycznej.

Wielkie było w tamtych czasach przywiązanie do Kościoła nie tylko mieszkańców Grodziska, ale i mieszkańców całego kraju. W trudnych powojennych latach, latach powojennej biedy, niespełnionych nadziei na niepodległe państwo, latach konieczności życia w powszechnej świadomości, że co innego się myśli a co innego robi, latach, gdy wielu było prześladowanych, a wielu jeszcze nie wróciło i nie wiadomo było, gdzie są – Kościół porządkował system wartości i emocjonalne rozchwianie. Tak samo jak przez wieki pokazywał co dobre, co złe, jednoczyć, pocieszał, dawał siłę i nadzieję. Chyba nie było w Grodzisku domu, w którym przed Świętem Bożego Ciała nie prowadzono by dyskusji – czy władze pozwolą, aby procesja przeszła ulicami miasta, czy przejdzie tylko wokół Kościoła? Czy na zakończenie procesji śpiewając to wiekowe błaganie – „Boże coś Polskę ...” tłum zakończy je słowami „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie...”, czy też „... racz nam wrócić Panie”. A potem wiara, że to „... racz nam wrócić ...” dotarło do „góry”, jako protest narodu nie pogodzonego z rzeczywistością. W domowym zaciszu kpiono z dwulicowości tych, którzy „...tacy partyjni a baldachim księdzu nieśli”. Komentowano fakt, wyrażano podziw i uznanie dla Komendanta Ochotniczej Straży Pożarnej i strażaków, którzy mieli odwagę wystawić warty u Grobu Pańskiego w Wielką Sobotę. I głośnie kanonady na Rezurekcyjną Mszę w Wielkanocną Niedzielę, gdy z grzmotów i strzałów na Zmartwychwstanie Pańskie też stawała się demonstracja woli i mocy społeczeństwa i jego przywiązania do religii i tradycji.

W stojącym za Kościołem niedużym parterowym budynekczku były chyba dwie sale katechetyczne, w których prowadzone były nauki dla dzieci ze wszystkich grodziskich szkół, z podziałem na grupy wiekowe odpowiadające szkolnemu podziałowi na klasy. Uczęszczanie na, nieobowiązkowe przecież, lekcje religii było tak dopuszczeniem do tajemnicy wiary jak i wyrażaniem przez rodziców nie poddaniem się nowym doktrynom i „nowemu ładowi”, czego dzieciaki nie były w pełni świadome, ale dziecięcym instynktem wyczuwały niecodzienną sytuację. Może też wrażenia te pogłębiała atmosfera tajemniczości, jaką stwarzał sam Domek Katechetyczny – stary, drewniany, malutki, jakby „wrośnięty” w ziemię, ale zadbane i schludnie pomalowany na spokojny jasno-brązowy kolor. Otwory malutkich okien, których szyby podzielono drewnianymi szprosami na jeszcze mniejsze, były pomalowane na kremowo. Domek stwarzał poczucie stabilności i wyjątkowości, zaświadczał o wiele, wieloletniej tradycji tego miejsca. Salki były niewielkie, szczególnie wypielnione drewnianymi stolikami, ławkami i nawet w ciągu dnia panował w nich półmrok, gdyż przez malutkie okna nie wpadało dużo światła. Był za to nastrój spokoju, skupienia i kadzidlanych zapachów, chociaż w salkach nie odprawiano nabożeństw. Nauczanie prowadzili księża i siostry zakonne. Przez lata kolejne roczniki grodziskich dzieci przystępowały do Sakramentu Komunii Świętej, a naszym rocznikom pozostały wspomnienia i wrażenia z tych uroczystości, do których w latach 1954 i 1955 szukowali nas Ksiądz **Zdzisław Król**, Ksiądz (?) **Szyborski**. Halina Woźnicka-Jędrzejewska wspominając swoje komunijne przeżycia z r. 1954, przypomina również grodziskie uroczystości udzielenia i przyjmowania Sakramentu Bierzmowania: „...Trzy, czy cztery lata później było Bierzmowanie. Kardynała Stefana Wyszyńskiego i dotyk Jego ręki na policzku pamiętam do dziś, a był to czas Jego powrotu z odosobnienia w Komańczy.”

Tak jak w całej Polsce tak i w Grodzisku, pewnie we wszystkich domach i rodzinach, Osoba Księdza Kardynała Stefana Wyszyńskiego cieszyła się powszechnym szacunkiem, podziwem

i uznaniem. Z grozą przyjmowano fakty Jego kolejnych internowań, wielką była radość po Jego uwolnieniu w 1956 r. Jego wiara, niezłomność, wierność zasadom i narodowej dumie były przyjmowane jako symbol oporu narodu wobec panującej rzeczywistości. Po Jego powrocie z internowania wróciły pewność i poczucie bezpieczeństwa, jak to zawsze bywa, gdy wszyscy, którzy powinni, są razem w domu. To był Wielki Prymas – Prymas Tysiąclecia.

W pamięci grodziskiej młodzieży, która w latach następnych po 1956 roku miała po 15–17 lat, przechowały się dobre wspomnienia o **Księdzu Romanie Idrzejczyku**. Jolanta Warneńska wspomina Jego Osobę jako ciepłego, życzliwie nastawionego do młodzieży Katechetę, który nie tylko wypełniał obowiązek nauczania, dawał także moralne wskazówki i psychiczne wsparcie. Kontakt, jaki potrafił nawiązać z młodzieżą był szczerze przyjacielski. Bardzo szybko wokół „Księdza Romana” zebrała się grupa, z którą dyskutował o sensie życia, życiowych wartościach. Gdy były indywidualne, prywatne potrzeby pocieszał i pomagał uporać się, a przynajmniej zrozumieć życiowe kłopoty. Spontaniczne pozalekcyjne spotkania, płynące z emocji i wiary w życzliwość i mądrość Ks. Romana, odbywały się często w pokoju Księdza na Plebanii Kościoła Św. Anny. Były fundowane herbata i ciastka a nade wszystko dyskusje... rozmowy... wartościowe i ciekawe. Często z młodzieńczym zapałem, odrzucając obce każdej młodzieży „formalizmy”, zwoływaliśmy się: „Idziemy do Romcia...”. To Ksiądz Roman pomógł nam pogodzić się ze wstrząsem, jaki przeżyliśmy, gdy Henia nie mogąc przeżyć swego odrzuconego zakochania postanowiła odejść... Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego Henia na ostatnią drogę nie może otrzymać kościelnego błogosławieństwa. W cmentarnej kaplicy przed pogrzebem byliśmy z nią wszyscy - przerażeni, przestraszeni i ... zbuntowani. Nie mogliśmy tej sytuacji przyjąć i pogodzić się z nią. Ksiądz Roman nas nie zawiodł – przyszedł, pomodlił się z nami i pobłogosławił Henię na Jej drogę ku wieczności.

W dniu 10 kwietnia 2010 r. w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem zginął Ksiądz **Roman Idrzejczyk** – Kapelan Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego. Nasz grodziski „Ksiądz Roman”. (W dniu 30 kwietnia 2010 r. Gazeta Wyborcza/Gazeta Stołeczna w kolumnach POŻEGNANIA/NEKROLOGI opublikowała przesłany do niej tekst powyższego wspomnienia. W kilka dni później z autorkami wspomnień skontaktowała się, mieszkająca w Grodzisku Pani **Zofia F.** – siostra Heni. Z wielkim wzruszeniem przeczytała zamieszczony tekst i bardzo dziękowała za piękne wspomnienie Ks. Romana i Jej niezżyjącej siostry.)

W smoleńskiej katastrofie zginął jeszcze jeden kapłan związany z Grodziskiem – wspomniany katecheta z „2-ki”, „4-ki”, a pewnie i z innych grodziskich szkół – **Ks. Zdzisław Król** – Kapelan Warszawskiej Federacji Rodzin Katyńskich.

W październiku 2010 r. na Grodziskim Starym Cmentarzu odsłonięto tablicę upamiętniającą związane z Grodziskiem ofiary katastrofy. Tablicę postawiono obok Krzyża Katyńskiego. Są na niej nazwiska obu byłych grodziskich kapłanów i nazwiska, niestety także już byłych, mieszkańców gminy: **Janusza Krupskiego** – kierownika Urzędu ds. Kombatanatów i Osób Represjonowanych i mjr **Arkadiusza Protasiuka** z 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego, pilota prezydenckiego samolotu.

Jolanta Warneńska, Halina Woźnicka- Jędrzejewska, Alicja Szafrńska



11.06.1959 r. Rozdanie matur w LO Nr 10

(w pierwszym rzędzie od prawej siedzą Profesorowie: Józef Tomczak, ks. Roman Indrzejczyk, uczennica Aniołek Janka/, Anna Tustanowska, ??/ Olejniczak, Witold Westfal, Maria Płatek, Lucyna Mogilska, Karol Piękosiewicz)



2-ga połowa lat 50-tych Ksiądz Zdzisław Król

2.6. Związek Harcerstwa Polskiego – nauki i odpoczynek

Nieraz bywa tak, że wiele dookoła dzieje się rzeczy ciekawych i wartościowych, wiemy o tym, a jednak splot sytuacji powoduje, że nie bierzemy w nich udziału. Po latach dopiero żałujemy

i zadajemy sobie pytanie: dlaczego mnie tam nie było? Niestety, bardzo mizernie wyglądała moja przynależność do Związku Harcerstwa Polskiego, który był w Grodzisku jedną z najbardziej prężnie działających organizacji pozaszkolnego wychowywania dzieci i młodzieży. Mimo wielkiej chęci i podejmowanych wysiłków nie udało mi się zebrać wspomnień koleżanek-druhen i kolegów-druhów, którzy aktywnie w harcerskim życiu Grodziska uczestniczyli, a nawet je tworzyli. Wspomnienia przywołane w tej części opieram więc na ogólnej wiedzy o ruchu harcerskim, pamięci utrwalonej na starym zdjęciu i skromnym własnym przeżyciu harcerskiej wspólnoty.

Proces scalania polskich organizacji dziecięcych i młodzieżowych rozpoczął się w latach 1909–1910 i dlatego w 2010 uroczystie obchodzono stulecie ruchu harcerskiego w Polsce. Jednak organizację – Związek Harcerstwa Polskiego – powołano do życia w dniach 1–2 listopada 1918 r. na zjeździe organizacji skautowych trzech zaborów. Nie jestem w stanie podać, kiedy zaczęły powstawać zręby harcerstwa w Grodzisku. Bez wątpienia organizacja ta działała w Grodzisku w okresie międzywojennym, gdyż na jednym z posiadanych rodzinnych zdjęć – 26 maja 1936 r. wycieczka kl. II Gimnazjum Grodzkiego – na dziedzińcu Królewskiego Zamku na Wawelu stoi grupa uczniów, z których część jest w harcerskich strojach. Na pewno w czasie hitlerowskiej okupacji wiele druhen i druhów zostało żołnierzami grodzkich oddziałów Armii Krajowej. Jawną działalność ZHP po wojnie reaktywowano. Na zdjęciu z czerwca 1945 – zakończenie roku szkolnego w Szkole Podstawowej Nr 4 – widzimy chłopców ubranych w harcerskie mundurki, drużynową **Zofię Łączkowską** i druha **Jerzego Kowalczyka**. Związek prowadził swą działalność w ramach struktur szkolnych, czego dowodem są także szkolne wspomnienia Eugenii Deminet. W roku 1949 Związek zdelegalizowano poprzez wprowadzenie organizacyjnych zmian i włączenie go do organizacji o silnie komunistycznej indoktrynacji. Zlikwidowano tradycyjny harcerski strój i symbole – krzyż i lilijkę. Tak jak ogólnopolski, tak i grodziski ruch harcerski i jego struktury przetrwały te zmiany. W grudniu 1956 roku Związek ponownie reaktywowano stwarzając warunki, co prawda pod ideologiczną kontrolą, ale jednak warunki wychowywania dzieci i młodzieży w duchu idei Generała Roberta Baden Powella, czyli w duchu braterstwa, tolerancji, rozwijania wyobraźni i wrażliwości, życzliwości we wzajemnych stosunkach i wobec innych. Wrócił tradycyjny strój i krzyż z lilijką.

Chyba nikt spośród aktywnie działających przez lata w Grodzisku druhen i druhów nie podważy wniosku wysnutego z mojej ubogiej w harcerskie doświadczenia pamięci, że aktywność, poszanowanie patriotycznych i harcerskich tradycji, grodziska powojenna organizacja ZHP w ogromnym stopniu zawdzięcza Druhowi Jerzemu Kowalczykowi, który jest na zdjęciu z 1945 r. z zakończenia roku szkolnego w Szkole Podstawowej Nr 4.

Jerzy Kowalczyk – (1922–2005) - „Duszan” – A.K. – służba liniowa w 49 plutonie.

Autor wielu publikacji o Grodzisku Maz., w tym przywoływanych „Gąbka” - „Osa”; autor wielu wspomnień przywoływanych w „Dziejach Grodziska Mazowieckiego” i wielokrotnie wymieniany w tej monografii działacz kulturalno-społeczny; współtwórca Muzeum Regionalnego PTTK i Grodzkiego Oddziału PTTK; Towarzystwa Przyjaciół Grodziska Mazowieckiego; wieloletni Komendant Hufca ZHP Grodzisk Maz.; wychowawca i ideowy wzór dla wielkiej rzeszy grodzkiej młodzieży.

(Z Druhem Kowalczykiem związane jest moje bardzo osobiste, zupełnie poza harcerskie wspomnienie. W końcu lat 80-tych, będąc już „na emigracji” w Warszawie, brałam kilka razy udział w spotkaniach Towarzystwa Przyjaciół Grodziska, na których grodziskie sprawy były prawie wyłącznym tematem rozmów. To Druh Kowalczyk jednoznacznie utwierdził mnie w moim intuicyjnym wtedy przekonaniu, że warto odszukać akta sprawy grodzkiego syberyjskiego zesłania z 1908 r. i utrwalenia jej w formie książkowej. Długo to trwało, ale jednak w 2009 r. ukazała się książeczka „*Grodzisk Mazowiecki, Archangielsk, Tobolsk...*”. Także Druh przekonywał mnie co

do potrzeby umieszczenia na nagrobnym pomniku moich Rodziców zapisu o ich AK-owskiej przynależności. Mówił, że takie sprawy należy utrzymywać, aby pozostała o nich pamięć. Swoimi pracami i swoją działalnością ocalił bardzo dużo pamięci o Grodzisku i wielu Grodziszczanach. Smutno, że Jego nagrobna inskrypcja to tylko imię, nazwisko i lata życia.)

Ja do ZHP wstąpiłam dopiero w 1962 r. czyli w okresie nauki w liceum. Przy Komendzie Hufca Grodzisk Maz. działała Drużyna Starszo-harcerska gromadząca młodzież międzyszkolną ze starszych klas różnych grodziskich szkół, a nawet z okolicznych wsi i miasteczek. Zbiórki odbywały się w „harcówce”, na pięterku Pałacyku Skarbków z wejściem od ulicy Parkowej. Pałacyk pełnił wówczas wiele użytecznych funkcji publicznych i kulturalnych. Był siedzibą Muzeum Regionalnego PTTK, siedzibą Grodziskiego Oddziału PTTK, Biura Ruchu Turystycznego i Komendy Hufca ZHP Grodzisk Maz. Nie wiem jakim sposobem druhowie ze Starszo-harcerskiej stali się właścicielami terenowego samochodu marki Willis, pochodzącego z demobilu armii angielskiej lub amerykańskiej. Pasja, z jaką **Mirek Łyszkowski**, **Tadzik Górnicki**, **Andrzej Podlewski** i inni starali się przywrócić mu sprawność i z jaką go eksploatowali, była ogromna. Chyba w sierpniu 1963 roku Drużyna wyjechała na obóz w okolicy Augustowa nad Jezioro Białe. Wszelkie funkcje transportowe i zaopatrzeniowe spełniał świetnie wyremontowany Willis. Pewnego obozowego wieczoru a nawet nocy, po długim marszu doszliśmy do leśnego uroczyska, gdzie Druhowi **Maciejowi Koneckiemu** złożyłam harcerską przysięgę i otrzymałam od niego Krzyż z lilijką, który przechowuję do dziś. Obozowe życie było młodzieżowe, wesołe, jednak ściśle związane z patriotycznymi i harcerskimi tradycjami, regułami i zasadami, których uniwersalizm miał być wskazówkami na dorosłe życie. Były niezapomniane wieczorne ogniska, które należało rozniecić jedną zapalką i wyłącznie przy pomocy chrustu (Boże broń rzucić weń papierek!), bratający krag i piosenki, piosenki... Oczywiście te najbardziej harcerskie: hymn „Wszystko co nasze Polsce oddamy...”; „Płonie ognisko i szumią knieje...” oraz „Płonie ognisko w lesie...” Ale także dumka o „Ojcu Atamanie” z prawdziwie ukraińską stepową tęsknotą śpiewana przez druha **Janusza Sobieraja**. I oczywiście te, tak polskie i bliskie, śpiewane przez wszystkich: o maszerujących strzelcach – szarej piechocie; wierzbach szumiących; sercu w plecaku; leśnych cieniach – świętokrzyskich chłopcach. O tych, którzy „...może przed laty siedzieli tu blisko...” a teraz „...my staniemy na straży tych lasów, pól i wsi...” Zupełnie w tamtych czasach politycznie niepoprawnie, ale śpiewaliśmy także o tych, którzy zgodnie z ówczesną ideologiczną doktryną mieli być zapomnieni - „...na placówce pod Tobrukiem wszak nie taki wietrzyk wiał - pod kul deszczem, pod bomb hukiem przecież Polak murem stał...” Nauczyciele w szkołach nie mogli oficjalnie uczyć nas prawdy o Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich („Szczyry Pustyni” spod Tobruku) Gen. Stanisława Kopańskiego; o Drugim Korpusie Gen. Władysława Andersa i bohaterstwie polskich żołnierzy pod Anconą i Monte Cassino; o Arnhem i Generale Stanisławie Sosabowskim dowódcy Samodzielnej Brygady Spadochronowej (znakomicie po wielu latach przedstawionym przez Gena Hackmana w brytyjskim filmie „O jeden most za daleko”); czy Generale Stanisławie Maczku dowódcy 1-wszej Dywizji Pancernej, która w 1944 r. wyzwoliła Holandię. Przecież nawet krajową walkę dywersyjną i zbrojną AK, oraz działalność Podziemnego Państwa, szkolne podręczniki przedstawiały w sposób bardzo „oszczędny”, z dobitnym przesłaniem pomniejszenia ich siły i znaczenia. Prawdopodobnie wszyscy, a na pewno wielu ze Starszo-harcerskiej o tych czasach i Tych Bohaterach wiedziało z domów rodzinnych, ale i wielka w tych czasach była odwaga nauczycieli i instruktorów harcerskich, którzy przemycali informacje o historycznej prawdzie, a przynajmniej zasiewali wątpliwości co do rzetelności oficjalnych przekazów. Przywołany w śpiewanej piosence daleki Tobruk był dla nas sprawiedliwym dopełnieniem tych przekazów. Niewiele na takie tematy rozmawialiśmy, ale czuliśmy, że jesteśmy z tej samej tradycji grodziskich, polskich patriotów. I do dziś dokładnie pamiętam Maćka mówiącego mi

o swoim wielkim pragnieniu – aby Starszo-harcerska mogła mieć za patrona Generała Władysława Sikorskiego. Usiłował nawet taką propozycję zgłaszać do Komendy Głównej, czy Komendy Chorągwi Mazowieckiej, ale to były tylko takie harcerskie marzenia. „Na zewnątrz” był rok 1963.

Pewnego dnia do obozowiska przyjechali trzej młodzieńcy z Anglii. Ojciec jednego z nich był Polakiem, który z Pułkiem Ułanów Krechowieckich przeżył na tych terenach Kampanię Wrześniową 1939 r. Syn z kolegami przyjechał z Walii zobaczyć te ziemie. Pamiątką po tym spotkaniu jest zrobione przez nich zdjęcie, jakie po pewnym czasie listownie otrzymałam. Na odwrocie napis: Best Wishes to you Alicja and to all in the Scout Troop – David



1963 r. Obóz harcerski nad Jeziorem Białym

Przepraszam Druhny i Druhow, że przekazuję te życzenia z tak dużym opóźnieniem, iż nawet już nie pamiętam Waszych imion i nazwisk. Pamiętam niestety tylko: **Jankę Kosztowną, Renatę Witkowską, Janusza Sobieraja, Tadzika Górnickiego, Mirka Łyszkowskiego, Kazia Mikłaszewskiego, Andrzeja Podlewskiego**. Nie pamiętam szarż i stopni, ale pierwszy po lewej stronie zdjęcia w marynarkowym mundurze to na pewno Druh (Harcistrz pewnie) **Maciek Konecki**.

Z dużym oburzeniem odbieram wyrażane nieraz obecnie opinie, że ZHP był organizacją „reżimową”. W powojennych i następnych latach „reżimowa” była cała nasza państwowość, bo na skutek fatalnych okoliczności historycznych, po 1945 r. inna być nie mogła. Takie bezrefleksyjne uogólnienia są bardzo niesprawiedliwe, gdyż odbierają szacunek i uznanie należne ogromnej rzeszy nauczycieli i harcerskich wychowawców dzieci i młodzieży, którzy swoimi działaniami narażali się na szykany nieraz bardzo dotkliwe, bo na „właściwej ideologicznej postawie” nowych pokoleń ówczesnym władzom bardzo zależało. To przecież pokolenia urodzone w tuż powojennych latach miały stworzyć „nowe życie” i zaprowadzić „nowy ład”, jak to już było wspomniane. A w ZHP-owskich zastępach i drużynach nieobca była „atmosfera rozmiękczaająca ideologiczne kręgosłupy” – jakieś narodowe tradycje; rozmowy o „Szarych Szeregach” i „Kamieniach na szaniec”; „Zośce”; „Parasolu”; idee jakiegoś Baden Powella. (Pewnie imperialista jakiś!) A nade wszystko przywiązanie do Rzeczypospolitej Polskiej bez przymiotników i choć w maleńkim stop-

niu odkrywanie Jej prawdziwej historii, zniekształconej lub nawet pominiętej w szkolnych podręcznikach. Bo na leśnych obozach i biwakach można było pozwolić na więcej swobody, a nawet „politycznych demonstracji”, gdy umundurowane zastępy i drużyny maszerowały na niedzielne msze do najbliższych kościołów. Nie pamiętam okoliczności i roku, w którym Druh Jerzy Kowalczyk przestał być Komendantem Hufca ZHP w Grodzisku Maz. Mogę tylko przypuszczać, że mogło to stać się wskutek uwarunkowań natury ideologicznej. Jeśli tak było, to na pewno decyzję taką boleśnie odczuł, bo On Grodziskowi i grodziskiej młodzieży poświęcał cały swój czas i swoje życie. Nie wiem, niestety, czy w Grodzisku jest „Jego” ulica. Harcmistrz Jerzy Kowalczyk na pewno na takie upamiętnienie zasłużył.

Alicja Szafrńska

2.7. Ogniska – czyli tak wiele kultury pozaszkolnej

Skromne powojenne lata państwowej oświaty nie zaspakajały aspiracji kształcenia dzieci w wielu grodzkich rodzinach. Wielkim powodzeniem cieszyły się prywatne lekcje języków obcych udzielane przez osoby znające francuski i mimo wojennej traumy także niemiecki. Angielski wówczas jeszcze nie był tak modny i prawie niezbędny jak obecnie. Powodem do wielkiej dumy było „pobieranie” lekcji francuskiego u Pani **Licińskiej** – prawowitej posiadaczki hrabiowskiego tytułu. Takim samym powodzeniem cieszyła się nauka gry na instrumentach, najczęściej na pianinie lub skrzypcach. Znajomość francuskiego i gra na pianinie przez wiele powojennych lat i w wielu grodzkich domach należały do „dobrego tonu”.

Mieszkający w tajemniczym, malutkim, porośniętym winoroślą domku przy ul. Kilińskiego Pan **Reiff** ćwiczył młodzież posiadającą już wyższy stopień muzycznego wtajemniczenia. Po drugiej stronie ulicy, z równie malutkiego domku, w którym mieszkała Pani (chyba) **Pliszczyńska**, płynęły dźwięki pierwszego poloneza młodzieńczego Chopina, albo niekończące się gamy ćwiczące ręce przyszłych pianistów. Do pani **Marzec** trzeba było wspinać się po schodach domu przy aptece pod stacją PKP i także tam można było otrzymać początkowe wskazówki prawidłowej postawy, ułożenia ręki... no i najważniejsze – umiejętności czytania nut. Pewnie były jeszcze w mieście inne osoby uczące muzycznej wiedzy, ale moje muzyczne ścieżki wiodły do tych nauczycieli.

Gdy już trochę wiedziałam o gamie, pięciolinii, odczytywaniu z niej dźwięków i przenoszenia ich na czarno-białe klawisze dotarłam do **Ogniska Muzycznego**, mającego swą siedzibę w willi „Radogoszcz”. Pewnie był jakiś egzamin klasyfikujący do przyjęcia na naukę, ale mnie w pamięci pozostało tylko orzeczenie: „słuch dobry... nauka gry na pianinie”. Dla mnie samo wejście do „Radogoszczy” było wielkim przeżyciem. Człowiek mały, a drzwi przed nim wyrosły takie wysokie. Klamki piękne, ale umieszczone tak wysoko, że ledwo można końcem palców sięgnąć. Pierwszy pokój pełen dorosłych ludzi w różnym wieku, małych na szczęście też, ale wszyscy tacy spokojni, cisi. W końcu tego pokoju, przy drzwiach do następnego, siedziała przy biurku osoba emanująca ciepłem i dobrocią -sekretarka Ogniska – Pani **Korzon-Stecka**. Następny pokój był dziwny, gdyż na samym jego środku, na podwyższeniu stał fortepian. Po lewej stronie znów były wielkie drzwi prowadzące do nieproporcjonalnie wobec nich małego i dość wąskiego pokoju. Stały w nim zestawione bokiem stoły, obok nich krzesła... odbywały się tam zajęcia solfeżu. To dopiero była zmora... Na zajęcia praktyczne chodziliśmy do różnych szkół, w których były pianina, gdyż w Ognisku nie było wystarczająco dużo miejsca na ustawienie pianin dla dużej ilości uczniów. Ja chodziłam do Liceum na zajęcia do Prof. **Jarszewskiego**, który przyjeżdżał z Warszawy i był wymagającym nauczycielem. Poza prawidłową grą trzeba było pilnować pra-

widłowej postawy, ułożenia ręki. Graliśmy różne wprawki, sonatiny a także niewielkie utwory pana Profesora. Były także inne przeżycia. Zdarzyło mi się, jako dziesięciolatek, być z Profesorem w Operze Narodowej na „Strasznym Dworze” St. Moniuszki, a później na „Aidzie” G. Verdiego. Dwa razy do roku były egzaminy, po zdaniu których następowały popisy uczniów. Odbывały się one w Ognisku i wtedy spotykaliśmy się wszyscy, na zmianę występując i słuchając, oczywiście grając na owym stojącym na podwyższeniu fortepianie. Skóra cierpła, palce drętwiały... ale jakoś to było. Otuchy dodawał zawsze obecny **Dyrektor Ogniska Pan Feliks Dzierżanowski**. Starszy, z pełną łysiną, jowialny i zawsze uśmiechnięty, czarował wielką muchą (czasem w wielkie kropy) zamiast krawata i rozweselał wszystkich wokół. Zdziwienie budziło, że przy swojej znacznej tuszy potrafił tak szybko poruszać się i z ogromną energią pracować. Od 1937 r. dyrygował swoją Kapelą w Polskim Radio, od 1946 r. prowadził szkoły bądź ogniska muzyczne w Grodzisku, Żyrardowie i Milanówku, gdzie mieszkał. W każdym z tych miejsc uczył gry na akordeonie i skrzypcach, a najlepszych swych uczniów namawiał na dalsze kształcenie. Każdej niedzieli po południowym hejnale z Wieży Mariackiej w Krakowie, swoją wielką chwilę na antenie Programu I-wszego Polskiego Radia miał Grodzisk Mazowiecki – koncert Ludowej Kapeli Feliksa Dzierżanowskiego. We wszystkich domach był on z dumą słuchany. Kapela cieszyła się wielką sławą, utwory były znane na świecie, a „Obleniecki oberek” nawet „zagrał” w kultowym filmie „Rejs” Marka Piwowskiego.

Pamiętam jeszcze jedno nazwisko nauczyciela gry na pianinie – **Juliusz Bożym**. Nazwisko to, gdy już była rozpowszechniona telewizja, można było często zobaczyć na ekranach telewizorów, gdyż przez długi czas Juliusz Bożym był odpowiedzialny za oprawę muzyczną wielu programów. To także świadczy o tym, że nieprzypadkowym osobom „poddane były do muzycznej obróbki” dzieci i młodzież w naszym mieście.

Tak było w latach 50-tych. W roku 1964 nastąpiła pomyślna zmiana. Ognisko Muzyczne zostało nobilitowane – podniesione do rangi Szkoły Muzycznej I-go Stopnia otrzymało siedzibę w budynku Spółdzielni Mieszkaniowej przy ulicy Sienkiewicza. Po 10 latach zyskało nową lokalizację w jednym z domów przy ulicy Niepodległości w pobliżu dworca PKP. Zyskało też patrona – **Tadeusza Bairda** – urodzonego w 1928 r. w Grodzisku kompozytora, uznanego przez światowe środowiska muzyczne (wraz z Witoldem Lutosławskim i Krzysztofem Pendereckim) za twórcę polskiej szkoły muzyki współczesnej. Obecna lokalizacja grodziskiej Szkoły Muzycznej – Pałac Skarbków – jest bardzo prestiżowa i chyba bardzo właściwa dla tego typu placówki.

Czas płynął. Nie mając wybitnych uzdolnień muzycznych bardzo mi było trudno poddać się dyscyplinie codziennych ćwiczeń. Moja dusza była „niespokojna”, nie można się więc dziwić, że zaczęłam ciekawym okiem spoglądać na ludzi skręcających z drzwi wejściowych Radogoszczy w lewą stronę. Szli tam ludzie roześmiani, żartujący z siebie i wszystkiego, po prostu zachęcali, aby pójść z nimi. Trochę jednak czasu upłynęło bym wreszcie odważyła się przejść przez drzwi z tabliczką – **Ognisko Plastyczne**. A tam inny świat! Kolory obrazów, obrazków, wielkie płachty z rysowanymi węglem postaciami ludzi pozawieszane na wszystkich ścianach optycznie skracali wysokość sal. Magia działała ... Zawsze lubiłam rysować więc nic dziwnego, że uległam jej. Zapisalam się na kurs dziecięcy. Wraz z innymi dziećmi chodziłam na zajęcia plastyczne otwierające nasz mały malarski świat, ograniczony w szkołach do kart Bloku Rysunkowego Nr 1 lub 2, do kredek i farb akwarelek, na zupełnie nowe formaty, techniki, farby, pędzle a potem nawet... dłuta. Tak, to była nauka pozwalająca pozbyć się ograniczeń, otwierająca możliwości innego patrzenia i innego widzenia. Rysowaliśmy wszystko, ale przeważnie był jakiś temat zajęć. Profesor **Tadeusz Łapiński** opowiadał jakąś historyjkę lub przynosił jakąś reprodukcję i w oparciu o to trzeba było tworzyć „własny świat”. Czasem, pod okiem **Dyrektora Ogniska – Profesora Mariana Szuki**, fantazjowaliśmy na temat wzorów na tkaniny wymyślając coś, w czym samemu chciałoby się cho-

dzić. Malowaliśmy talerze, lepiłiśmy gliniane cudaki. Pod koniec kursu zetknęliśmy się z grafiką. Zaakceptowany przez Profesora rysunek przenoszony był za pomocą kalki na kawałek linoleum. Następowało żmudne rycie – usuwanie części linoleum ale w sposób nie naruszający kresek, które miały być czarne, czyli trzeba było wyciąć wszystkie białe pola. Potem była farba drukarska, wałek, dokładne pocieranie specjalną kostką tak, aby wszystkie potrzebne linie były pokryte farbą, ale żeby nie uszkodzić papieru, na którym rysunek był odbijany. Fascynujący był moment zobaczenia zawieszanej na tablicy odbitki. Profesor Sztuka sprawdzał, czy wszystkie czarne płaszczyzny rysunku-projektu są zgodne z odbitką i korygował. Ocena mojej pierwszej pracy to było sprawdzenie przez Profesora w jakim stopniu otrzymana odbitka zgadza się z początkowym rysunkiem ... stonia, bo taki był mój pierwszy linoryt. Czyż można było tam się nudzić...?

Dziecięcy kurs był dwa razy w tygodniu a starsi mieli dla siebie Ognisko przez cały tydzień...

Znów szybko minął jakiś czas... W Sekretariacie Ogniska, u Pani **Zofii Hirszmanowej**, zapisałam się na kurs dla dorosłych. Pani Zosia, bo tak się wolno było do Niej zwracać, wyglądała „groźnie” z pozycji dziecięcego uczestnika zajęć, ale teraz... Potężna postać z lekko rozwianym włosom, z ogromną ilością różnej wielkości torebek, zawsze ubrana w długą luźną spódnicę i bluzkę, została w mojej pamięci... brązowe, ciepłe, choć lekko zgarbione wspomnienie. I jeszcze coś takiego jak wrażenie, że była ciekawa wszystkiego, chyba nawet każdej płyty chodnikowej, po której stąpała. Wspaniała kobieta znająca kilka języków obcych, przybliżała nam czasem nieobecny świat, a Jej tubalny głos nikogo już nie przstraszał.

Rozkład zajęć był odmienny od tego, jaki był w grupach dziecięcych, a zajęcia odbywały się codziennie w godzinach 17–19.

W poniedziałki były wykłady Profesora **Andrzeja Kossakowskiego** z historii sztuki, poparte pokazem pięknych reprodukcji, wyświetlanymi przeżyciami i okraszane wspaniałymi opowiadaniem o odwiecznej trosce człowieka, by otaczający świat uczynić lepszym i ładniejszym niż szara, a niekiedy brutalna rzeczywistość. Na tych bardzo ciekawych zajęciach zawsze był nadmiar słuchaczy, choć ich wiek a także poziom „artystycznego” zaawansowania były różne. Jednak każdy coś dla siebie „znalazł”, bo Profesor Kossakowski wspaniale i interesująco te zajęcia prowadził.

Wtorki i środy przeznaczone były na rysunek i malarstwo. Początkowo – od 1947 r. zajęcia te prowadzone były przez malarza **Jana Skotnickiego**, który był założycielem Ogniska powstałego w wyniku rozwinięcia sekcji plastycznej przy Stowarzyszeniu Miłośników Sztuki.

Starsi wiekiem i stażem członkowie Ogniska, którzy mieli szczęście na te zajęcia uczęszczać, bardzo często i zawsze miło wspominali Pana Jana i Jego nauki. Ja trafiłam pod opiekę młodego malarza **Tadeusza Łapińskiego**. Czarnowłosy, błękitnooki gaduła potrafił tworzyć obrazy słowami i każdemu, kto tylko chciał, pomagał odnaleźć świat kolorów i nauczyć przenosić go na papier. Szukaliśmy tych kolorów w pracowni, a gdy tylko aura pozwalała wychodziliśmy w plener. Wylegaliliśmy obładowani deskami przytrzymującymi papier, ołówkami, kredkami, farbami i szukaliśmy ciekawych tematów, a było ich wokół wiele. A to malowniczy płot okalający resztki jakiegoś domu, a to drzewo, które jesienna wichura pozbawiła gałęzi i teraz rozpaczliwie wyciągało w górę ich resztki. Wiosną było o wiele lepiej, bo szalejąca wokół zieleni zmuszała do użycia koloru, a była tak różnorodna i szczerze przetykana różnokolorowym bzem, że świat i to jak go malowaliśmy, wydawały się idealne. Wiosna to był szalony i zaczarowany czas. Rzadko wtedy zostawialiśmy w pracowni, w której przez większość zajęć trwała walka „techniczna” – osiąganie doskonałości w studiowaniu proporcji, wydobywanie światła i cienia w rysowanych węglem portretach, czy studiach ruchu ciała żywych osób – modeli, co było bardzo intrygujące i inspiracyjne, ale w całkiem odmienny sposób. Im bowiem było większe odstępstwo od kanonu uznanego za wzór rysowania postaci, tym lepsze się to okazywało dla wydobywania charakteru „studiowanego”

człowieka, a każda deformacja mogła być podniesiona do rangi piękna. Często modelem była ogniskowa Pani Woźna, której nazwisko uleciało już niestety z mojej pamięci. Jej duże miękkie ciało obleczone ubraniem nie było łatwe do studiowania, a „znalezienie” szkieletu, na którym ono było osadzone wymagało wiedzy anatomicznej i wyobraźni. Po przeniesieniu Ogniska na ul. Parkową do Pałacyku Skarbków, pozować tam przychodziła Pani **Halina Szczepańska**. Była maleńka i krucha, o zasuszonej i pooranej zmarszczkami twarzy, ale uważaliśmy Ją nie tylko za Starszą Panią. W „carskich czasach” – w latach przed Rewolucją 1917 r. była kształcona na pensji dla dobrze urodzonych panien w Carskim Siole koło Sankt Petersburga i mieliśmy nieodparte wrażenie, że te zmarszczki na Jej twarzy mogłyby być kalendarzem XX w. Postać Pani Halusi, bo tak można było się do Niej zwracać, dawała nam inne możliwości doskonalenia rysunku, przydawała im konieczność uchwycenia aury jakiejś tajemniczości, tak trudnej do wyrażenia kreską. Bycie modelem to ciężki kawałek chleba, bo wytrwanie 45 minut w niezmienionej postawie nie jest wcale łatwe. Czasem, gdy nie było modeli, pastwiliśmy się nad martwą naturą, którą nawet zwykły stół mógł zostać.

W Pałacyku Skarbków, gdzie zajmowaliśmy prawie całe piętro, było tylko pozornie luźniej niż w Radogoszczy. Amfiladowe salki w porównaniu z „Radogoszczowymi” były niziutkie, maleńkie okrągłe okienka nie dawały prawie wcale światła dziennego. Jednak bardzo to miejsce lubiliśmy – miejsce z historią. W pierwszej sali rozstawione były sztalugi. Nauki co do właściwych proporcji rysunku, dobrego rozmieszczenia na nim światła i cienia prowadził Pan **Aleksander Turek** z Warszawy, malarz z warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Swoją wiedzę i wrażliwość przekazywał nam ciekawie i wnikliwie, a ponieważ do tej pory uczę i inspiruję twórczo kolejne roczniki grodzkich dzieci, to za te wszystkie lata pracy należę Mu się ogromne podziękowania.

Czwartki i piątki przeznaczone były na grafikę, liternictwo, czasem nawet rzeźbę... Liternictwo, obok grafiki, było ukochanym działem Dyrektora Sztuki, do czego chciał nas przekonać pokazując piękno kroju każdej litery, wyważoną elegancję różnych stylów. Nie był to jeszcze wszechobecny czas szablonów... roboty z tym było co niemiarą, ale bez pracy mistrza nie ma, jak w każdej dziedzinie.

Oprócz udzielania ciekawych i cennych nauk Dyrektor Sztuka musiał dbać o posiadanie przez Ognisko materiałów plastycznych, bez których nie mogłoby ono funkcjonować. Wnoszone przez nas opłaty były niewielkie, prawie symboliczne i nie wystarczały na zaspokojenie wszystkich twórczych potrzeb. Bywało, że charakter bieżących zajęć zależał od tego, jakim materiałem dysponowaliśmy. Papier pakowy do studiów rysunkowych, aby zawisnąć na naszych sztalugach opuszczał w wielkich ilościach nasz skromny, pilnowany przez Panią Zosię, magazynek. Był tam też węgiel do szkicowania, farby plakatowe i olejne, oleje, fiksatywy, kalafonia, rozpuszczalniki, materiały do zbijania blejtramów, czarna farba drukarska (kolorowych w miarę potrzeb dostarczał Dyrektor Sztuka), a nawet przynoszone przez nas z domów szmaty do wycierania pędzli, matryc, wałków i rąk po tej zawsze „brudnej robocie”. W miarę rozwijania umiejętności rozszerzał się wachlarz używanych przez nas materiałów osiągając szczyty możliwości naszego magazynku... na przykład co do zasobów papieru czerpanego lub bibułki japońskiej, na których miałam przyjemność odbijać niektóre swoje linoryty.

Ognisko było dostępne dla wszystkich chętnych na takie zajęcia, choć różni uczestnicy mieli różne motywacje. Młodszy chcieli uczyć się i ćwiczyć pod fachowym okiem, aby przygotować się do startu na uczelnie plastyczne. Starsi, bo lubili rysować, a życie dopiero teraz dało im taką możliwość. Byli też tacy, dla których zajęcia były doskonałą terapią. Ognisko Plastyczne przyciągało wiele różnych osobowości, ale wszyscy czuli się tu dobrze i na swoim miejscu. Mimo trochę niezwykłej postawy i trudnej do zrozumienia wymowy, pilnie korzystał z nauk Pan **Stasio Dutkiewicz**, tworząc swoje grafiki na pograniczu prymitywizmu i artyzmu, co znajdowało

duże uznanie na krajowych i zagranicznych wystawach. Na zajęcia przychodzili ludzie z miasta, ale również przyjeżdżali pociągami PKP od strony Warszawy aż po Żyrardów, lub dowoziła ich kolejka EKD z Kań Helenowskich, Otrębusów, Podkowy Leśnej. Bardzo sławne było to nasze Ognisko!

Oprócz czasu poświęcanego artystycznej pracy był również czas na jednoczenie grupy, wspólne wyjazdy i zabawy. Pamiętam zorganizowaną przez Dyrektora Sztukę wyprawę do Płocka. Zwiedzaliśmy pięknie położone, pełne zabytkowych budowli miasto, chłonąc je, by zachować papierowe wspomnienia w postaci szkiców. Byliśmy również w Płockim Ogrodzie Zoologicznym, gdzie pusta klatka zainspirowała wiecznie młodego wesołka kolegę **Benka – Bernarda Zmyślonego** do jej zwiedzenia. Śmiechu było co niemiara, gdy okazało się, że było to miejsce zamieszkania... szympansa. Pamiętam również czas radośnie spędzony na obchodach 20 rocznicy istnienia Ogniska. (Potem 25-tej... 30-tej...) Było zaproszonych wiele gości. Dawni i obecni profesorowie i tacy również słuchacze. Oglądaliśmy wszyscy wystawę naszych najlepszych prac gromadzonych z tego okresu działalności Ogniska. W czasie oglądania, do „przegryzki i popitki” oraz późniejszych tanecznych swawoli przygrywała nam Kapela Czerniakowska. Bardzo nam razem było dobrze i radośnie. Aż dziwne, że tak mało zostało pamiątek z tego okresu...

Halina Woźnicka-Jędrzejewska



1-wsza połowa lat 60-tych – Ognisko Plastyczne

(pierwszy z lewej w tylnym rzędzie Leszek Nadstawny (obecnie artysta plastyk); za nim Andrzej Kossakowski – wykładowca historii sztuki; druga z prawej stoi Pani Woźna z Radogoszczy; pierwsza z lewej siedzi na murku Ania Czelej (chyba skończyła grafikę na ASP w Warszawie); na dole pierwszy od lewej przysiadł Benek Zmyślony; za nim Dyrektor Marian Sztuka)



*1-wsza połowa lat 60 – Halinka Woźnicka
ryje, Stasio Dutkiewicz obserwuje*



*Cerkiew w Gładyszowie,
Halina Woźnicka, linoryt*

Ulice, domy, sklepiki – smaki i zapachy

Zaczynając opowiadanie – spacer po ulicach Grodziska lat 50-tych i 60-tych XX w. – nie można pominąć wspomnianej już postaci, którą pokolenie dzisiejszych 60-latków szczególnie zapamiętało, tak z uwagi na ogromne uznanie i szacunek, jakimi tę osobę darzyli nasi rodzice i dziadkowie, jak i głównie z uwagi na Jej niezwykle kontakty z napotkanymi na ulicy dziećmi – czyli tymi obecnymi 60-latkami z niewielkim plusem. Osobą tą był często spacerujący po ulicach Doktor **Mateusz Chelmoński**, bardzo znany grodziski lekarz, bratanek słynnego malarza Józefa Chelmońskiego. Już sama postać Doktora była charakterystyczna – wysoki, postawny, z długą ciemno-siwą brodą, przenikliwym oczami, w butach z wysokimi cholewami, w kapeluszu z dużym rondem i w długim płaszczu. Postać jakby z Młodopolskiego Krakowa, ale takie skojarzenie mogło nasunąć się nam wiele lat później. Wówczas tylko podziwialiśmy jej niezwykłość. Swą powinność lekarską Doktor spełniał nawet na ulicy. Gdy napotkał garbiącego się dzieciaka zdzielał go pięścią przez plecy, gromkim głosem upominając, że nie wolno się garbić, że trzeba „trzymać się prosto”. Oczywiście te razy nie były dotkliwe, były jednak bardzo skuteczne. Widząc z daleka idącego Doktora dziecko i jego plecy same przyjmowały właściwą postawę. Pozostała także nauka z otrzymanej lekcji i wspomnienie „Doktora Brodacza”, jak o Nim z sympatią powszechnie mówiono.

(Oprócz doktora Chelmońskiego zdrowiem mieszkańców opiekowali się lekarze, bądź lekarze ze stopniem naukowym doktora, ale takie szczegóły a nawet imiona zatarły się w pamięci. Pozostały tylko nazwiska: Pani doktor **Liese** i Panowie: **Hardt**, **Krupieńczyk**, **Galewski**, **Milaszewicz**, **Czerkas-Chodosowski Jan** („*Gruby*”, ZWZ/AK, lekarz, szef służby zdrowia Obwodu „*Bażant*” – wg „*Gąbka*” – „*Osa*” – j. w.) O zdrowie kobiet i szczęśliwe przyjście na świat kolejnych pokoleń Grodziszczan dbał Dr **Stanisław Dygas** (AK, lekarz w szpitalu, Powstanie Warszawskie – wg „*Gąbka*” – „*Osa*” – j. w.)

Ulicą naszego dzieciństwa była ulica 1-go Maja. Aby dojść do przedszkola, szkoły, „Dużego Ogrodu”, czy „Gór Szwedzkich” należało przejść przez przejazd kolejowy. Na linii kolejowej był duży ruch, ale bezpieczeństwa przechodniów strzegli dróżnicy i zapory ze szlabanów. „Korków” nie było, bo i cóż to był za ruch – kilka samochodów, głównie ciężarówek z „Polfy”, kilka konnych wozów z węglem. Wszyscy mieszkańcy ulicy 1-go Maja doskonale się znali, a jej centralnym miejscem – lokalną agorą – był plac z kapliczką Matki Boskiej. Wiosną zbierano pieniądze na malowanie pomnika i drewnianego płotka oraz na zakup kwiatów do „obsadzenia” rabatek. W upalne dni lata prawie codziennie odbywał się obrzęd wspólnego ich podlewania. W maju i czerwcu, jeśli nie szło się do kościoła na „majowe” i „czerwcowe” nabożeństwa, pod kapliczką były wspólne sąsiedzkie modły i śpiewy.



Kapliczka przy ul. 1-go Maja, styczeń 2009 r.

Kapliczka stała naprzeciw przejazdu i tuż koło „domu Niedzińskiego”. W domu tym – Nr 35 były dwa nieduże sklepiki: wędliniarski – właściciela domu Pana **Stanisława Niedzińskiego**, oraz mały sklepik spożywczy prowadzony przez mieszkającą w tym domu lokatorkę – Panią **Libnerową**. (We wcześniejszych wspomnieniach sklepiku występuje również mąż Pani Libnerowej, po wojnie za sklepową ladą stała tylko Pani Libnerowa.) Do dziś nie można zapomnieć smaku i zapachu wędliny „cytrynowej” ze sklepu Niedzińskiego. Wędlina była okrągła, szeroka, lekko różowa, soczysta i beztłuszczowa. Czasem można w jakimś sklepie znaleźć „cytrynową”, ale z tą wspomnianą zwykle łączy ją tylko nazwa. Wspaniałych cukierków „Krówek-ciagutek” z fabryki Pomorskiego w Milanówku, jakie można było kupić w sklepie Pani Libnerowej, nikomu zachwalać nie ma potrzeby. Na szczęście przez wszystkie lata można było kupić ich bardziej lub mniej udane „podróbki”, a na jeszcze większe szczęście w ostatnich latach potomkowie założyciela fabryczki znów wytwarzają przesmaczne oryginały.

Na sąsiedniej posesji, w niedużym domku z niedużym ogródkiem, mieszkała rodzina **Serwacińskich**. Lubiałam tam chodzić „z wizytami” i bawić się z chłopcem, którego imienia niestety już nie pamiętam. „Babcia” Serwacińska karmiła nas kruchymi ciasteczkami i uczyła patriotycznych piosenek, oczywiście z przewagą legionowych. Zasłyszana piosenka „Jak to na wojence ładnie...” do tej pory przypomina mi ogródek i ciasteczka „babci” Serwacińskiej.

Serwaciński Waldemar - „Wątróbka”, kpr, ZWZ/AK, 34 pluton (wg „Gąbka” - „Osa”) był synem „babci” i ojcem mojego kolegi.

Na wysokości kapliczki i tych domów stała na ulicy budka z wyrobami tytoniowymi prowadzona przez małżeństwo – Państwa **Tkaczów**. W maleńkim okienku wystawione były paczuszki z papierosami, wśród nich eleganckie „Belwedery” w kartoniku z rysunkiem warszawskiego Belwederu. Jeśli ktoś nie miał pieniędzy na zakup całej paczki mniej eleganckich, lub zupełnie nie-

eleganckich papierosów, jakimi były popularne „Sporty”, czy „Radomskie” to mógł kupić tylko kilka ich sztuk. Taki zakup do rzadkich nie należał.

Ważnym miejscem na ulicy 1-go Maja była łaźnia Pani **Syrokomskiej**. Ściany wyłożone białymi kafelkami, duże wanny i to, co było tam najważniejsze – bieżąca, ciepła woda. Korzystanie z tej łaźni było nieprawdopodobną przyjemnością, mimo iż wówczas nie było pieniących się soli i płynów do kąpieli, a nawet szamponów. Włosy po umyciu mydłem, „dla zmiękczenia” spłukiwane były wodą z odrobiną octu.

Bieżąca woda w łaźni Pani Syrokomskiej musiała pochodzić z własnego ujęcia, gdyż we wszystkich innych domach instalacji wodociągowej nie było. Mieszkańcy nosili do mieszkań wodę w wiaderkach czerpiąc ją ze studni znajdujących się na prywatnych posesjach Pani **Józwiakowej** i Państwa **Włodarczyków**. Pani Józwiakowa była bardzo znaną grodziską akuszerką i kilka pokoleń Grodziszczan zawdzięczało Jej pomyślne przyjście na świat w czasach, gdy dzieci rodziły się w domach, a nie w szpitalach. Dom i studnia były na posesji następnej za Aresztem Śledczym idąc od strony stacji PKP. Po wodę do studni u Państwa Włodarczyków chodzono w kierunku rzeczki Mrownej i Fabryki „Heaberlego”. (Mimo, iż od lat właścicielem Fabryki nie był Pan Heaberle, że była to upaństwowiona Fabryka Tarcz Ściernych, zwyczajowo nadal mówiono „Fabryka Heaberlego”.) Aby umożliwić mieszkańcom stałe czerpanie wody, furtki podwórek obu domów były całą dobę otwarte. Nie wiadomo już, czy była za to pobierana opłata, czy nie. Może jakaś symboliczna, może okresowa w przypadku konieczności jakichś napraw, czy zakupu wiadra lub łańcucha – wodę czerpano ręcznie za pomocą korby i wału.

Idąc ulicą w stronę rzeczki Mrownej można było latem zobaczyć nie lada atrakcję – rozłożony nad nią cygański tabor. W końcu lat 50-tych cygańskie wędrowniki taborami nie były zabronione i może Cyganie lubili grodziską łakę przy ulicy Bałtyckiej. Jakże ekscytujące było oglądanie cygańskich kolorowych wozów, koni, barwnych strojów, ogniska. Nie przeganiano dziećmi zabraniając podziwiania cygańskiego życia, a także nie słyszało się narzekania dorosłych na uciążliwość takiego sąsiedztwa. Na pewno nigdy żadnego grodziskiego dziecka „Cyganie nie porwali”, więc nie wiem czemu taką plotkarską bzdurą straszono czasem dzieci.

W miarę dorastania ulica 1-go Maja stała się atrakcyjna jeszcze z innego ważnego powodu – przy niej zlokalizowane były obydwie grodziskie kina. „Pod stacją” było kino „Wolność”, w świetlicy Fabryki Tarcz Ściernych – „u Haeberlego” było kino „Słoń”. W latach 60-tych zaczęto już wyświetlać dużo filmów amerykańskich – głównie westernów. Na „Złamaną Strzałę”, czy „Rio Bravo” biegało się tak dużo, jak tylko finansowe możliwości rodziców i dziadków na to pozwalały.

Jolanta Warneńska, Alicja Szafrńska

Największe jednak skupisko sklepów, sklepików i handlowych budek było przy ulicy Niepodległości (obecnie przywrócono jej przedwojenną nazwę: 11 Listopada) i przy ulicy Sienkiewicza. Idąc ulicą Niepodległości od stacji PKP w kierunku kościoła, mijało się sklepy, z których najbardziej utrwaliły się w pamięci takie:

Księgarnia

Po lewej stronie ulicy nie dochodząc do ulicy Harcerskiej, cały parter murowanego piętrowego domu zajmował sklep z książkami. Po obejrzeniu wystawy eksponowanej na dwóch dużych i szerokich witrynach, po przejściu kilku szerokich schodków wchodziło się do przestronnego, widnego pomieszczenia pachnącego papierem i farbą drukarską. Przy szerokiej ladzie po prawej stronie księgarni sprzedawane były książki, przy ladzie na lewo podręczniki i artykuły szkolne. Tutaj kupowany był podręcznik – wstęp do zdobywania wiedzy – **ELEMENTARZ** napisany

przez pana Falskiego, z którego pokolenia siedmiolatków uczyły się poznawać litery i składać je w wyrazy. Wśród obecnego średniego pokolenia nie ma chyba takich osób, które nie wspominają tego elementarza z sentymentem. Nie jest to na pewno także obce uczucie wszystkim Alinom i Alicjom i to nawet pomimo tego, że nauka rozpoczynała się od bardzo wieloznacznego zdania: „Ala ma kota”. Księgarnia była dobrze zaopatrywana w wydawnicze nowości. Do tej pory mam dużą ilość książek z tanich, popularnych serii wydawanych przez Wydawnictwa: Czytelnik – seria z Pingwinem, PIW (Państwowy Instytut Wydawniczy) – seria z Ptakiem, czy Iskry Warszawa – seria z Człowiekiem. W księgarni można było również kupić reprodukcje malarstwa. Z malarzy polskich najwięcej było reprodukcji Stanisława Wyspiańskiego, z zagranicznych – Vincenta van Gogha ze słynnymi „Słonecznikami” na czele. Dwa dzieła sztuki tych malarzy nabyte w grodzkiej księgarni również do dziś zachowałam.

Lody Pani Ciuciurowej

Czy można obecnie uwierzyć w to, że lody sprzedawane były tylko raz w roku, w sezonie letnim? Według powszechnego i całkiem poważnie traktowanego przekonania, jedzenie lodów zimą groziło zapaleniem gardła, anginą, kokluszem i powstającymi z tych chorób najgorszymi powikłaniami. Jednak, na szczęście, wiosna i lato co roku nadchodziły. 1-Majowy pochód wcale nie był najważniejszym wydarzeniem pierwszego dnia maja. Najważniejszą sprawą w dniu 1-go Maja było pobiegnięcie na róg Niepodległości/Żwirki i Wigury i sprawdzenie, czy Pani Ciuciurowa wystawiła już swoją budkę – właściwie wózek z lodami waniliowymi, bo tylko taki smak był wtedy dostępny. A ten smak, a ten chłód w ustach! Wszelkie możliwe do nabycia za pieniądze przez cały rok przyjemności musiały zejść na plan dalszy – najważniejsze było mieć złotówkę, aby kupić „podstawową sprzedażną” porcję lodów. Pani Ciuciurowa wiedziała z pewnością, że z tej sezonowej sprzedaży musi zapewnić środki na całoroczne utrzymanie, a jednak pomimo tego była osobą bardzo miłosierną i wiele razy nawet za 50 groszy nakładała porcję niewiele mniejszą od tej podstawowej za złotówkę. Przed dużą przerwą uczniów liceum dręczyło tylko jedno pytanie: czy w czasie tych 15 minut wszyscy chętni zdążą kupić lody? Na „potem” odkładano odpowiedź na drugie – raczej ważniejsze: co będzie jeśli zostanie się w szkolnym czasie „przyłapanym” na ulicy? Opuszczanie terenu szkolnego w czasie zajęć było surowo zabronione. Ale lody pani Ciuciurowej były tak blisko i były takim rarytasem!

Sklep drogerijno-perfumeryjny w „domu Apla”

„Dom Apla” to wysoka, murowana kamienica po lewej stronie ulicy tuż za ulicą Harcerską. Gdy były potrzebne zioła, kremy lub toaletowe mydła kupowało się je w Sklepie Drogeryjnym w „domu Apla”. Duża szklana witryna, z towarami ładnie wyeksponowanymi na fantazyjnie ułożonym jedwabście błyszczącym materiale o jasnym pastelowym kolorze, stwarzała wielką zachętę do wejścia do sklepu nawet w sytuacji, gdy wiadomo było, że zakup tych towarów jest ponad finansowe możliwości. Rozmarzyć się jednak zawsze było można a wejść było warto, chociażby po to, aby napatrzeć się na te kolory i nawdychać się tych zapachów. Zapachów świata wykwintego, zapachów zupełnie odmiennych od woni i kolorów, niestety, szaro-burej i bywało ulicznorynsztokowej zwykłej codzienności. Ten sklep przenosił w świat dam i buduarów, o których czytało się w skrywanych przed rodzicami książkach, bo wiadomo było, jakie to damy przebywały w buduarach i lepiej, żeby dziewczynki i panienki dowiedziały się o tym jak najpóźniej. Tak więc, z wielu względów, wyobraźnię pobudzała obfitość w sklepie kolorowych przyborów do pielęgnacji włosów, upiększających kremów, pudrów w przepięknych kartonikach o łagodnych, pastelowych kolorach. Wieczka tych zwykle okrągłych kartoników miały okrągłe, podklejone celofanem otwory, przez które było widać tego samego koloru puszek - lekki, delikatny, prawdziwie pus-

kowy (chyba z marabuta?) służący dokładnemu rozprowadzeniu na twarzy pudrowego proszku, bo pudry były tylko w formie sproszkowanej. Nie pamiętam nazw perfum, wód toaletowych, czy kolońskich – wiadomo było, że są finansowo niedostępne, więc nie było potrzeby przyglądać się im dokładniej. Jednak ogromną estetyczną radość sprawiało oglądanie rozpylaczy do „skrapiania się” nimi. Sprayów wówczas nie było. Perfumy, czy wody toaletowe lub kolońskie przelewano w specjalne flakoniki z rurkami i gumowymi pompkami. Flakoniki te były prawdziwymi dziełami sztuki i to sztuk różnych. Sztuki wyrobu naczyń szklanych rozmaitych kolorów i fantazyjnych kształtów. Sztuki koronkarskiej, gdyż rurka łącząca flakonik z pompką i sama pompka „przyobleczone” były w jedwabną koronkę, a „strój” pompki zakończony imponującą frędzlą. Zakupu i używania blado-różowego „Kremu poziomkowego”, a szczególnie jego prawdziwie poziomkowego zapachu, do tej pory nie zapomniałam. Były jednak i mniej przyjemne doświadczenia, ale coś może być bardziej przez dorastające panny upragnionego, niż „Krem przeciw piegom”? Po pewnym czasie jego używania trzeba było przyznać się mamie, że „oblażące ze skóry” twarze córek to nie jakaś straszna choroba, niebezpieczne uczulenie, tylko nadmiar stosowanego kremu przeciw piegom kupionego, w tajemnicy przed dorosłymi, w Drogerii w „domu Apla”.

„Sklep Wróbla”

Po lewej stronie ulicy w małym, parterowym drewnianym domku tuż przed rogami ul. Spółdzielczej był „sklep Wróbla” – pewnie Pana o nazwisku Wróbel, chociaż w sklepie tym sprzedającą była również kobieta – zapewne Pani Wróblowa. Czemu patronem sklepu był tylko Pan Wróbel tego już dziś nie rozstrzygnie się, faktem jednak jest, że w latach 50-tych dwudziestego stulecia dla grodziskich dzieciaków sklep ten był miejscem fascynującym, bo pełnym towarów największego pożądanego – artykułów szkolnych, papierniczych, różnych ozdób i drobnych zabawek. Szczęściem i emocją było ścisnąć w garści kilka drobników i z taką samą szczęściarą koleżanką wybrać się na zakupy do „sklepu Wróbla”. Dźwięk dzwonka towarzyszący otwarciu drzwi podkreślał doniosłość chwili. Tuż przy wejściu, po prawej stronie, stało na podłodze emaliowane na biało naczynie a umieszczony nad nim napis nakazywał: „Pluć tylko do słuwalki”. Wprost ponad regałami umieszczona była duża plansza z jednoznacznie czytelnym napisem: „Kredyt umarł, zabili go dłużnicy”. Za mali byliśmy na nauki ekonomii, ale wiedzieliśmy, co to oznacza. Ponieważ jednak ścisnęło się w garści jakieś drobniki, napisem tym można było zupełnie nie przejmować się i z wielką satysfakcją i przyjemnością zacząć kupowanie. Te przyziemne atrybuty wystroju sklepu nie były w stanie zepsuć dobrego humoru, zresztą w tamtych czasach były one zupełnie naturalne.

Kupno niezbędnych, a zwyczajnych przecież ołówków, stałówek, atramentu, zeszytów było równie podniecające, jak kupno przedmiotów, co do których należało dokonać jakiegoś wyboru. Gdy potrzebne były kredki należało wybrać, jakie – pastelowe w drewnianej oprawie, czy woskowe – tzw. „świecowe”. Pastelowe miały żywsze, ładniejsze kolory ale należało je często temperować, czyli ich zakup wiązał się z zakupem temperówki, do której z kolei potrzebne były żyłki. Kredki świecowych nie trzeba było temperować, ale te łatwo łamały się, a ich kolory były szare, jakby „przybrudzone”. Kupno farb, pędzelków, kalkomanii czy piórników było przyczyną kolejnych dylematów, chociaż obecnie można ocenić, że wybór był niewielki, a dzisiejsze dzieciaki przyzwyczajone już do tęczy, kolorowych, a nawet „zapachowych” przyborów szkolnych byłyby tamtą ofertą mocno zdegustowane. Piórniki były bowiem podłużną drewnianą „skrzyneczką” z 2-ma, czy 3-ma przegródkami i jedyną jego niezwykłość stanowił przyklejony na wieczku polakierowany obrazek – widoczki, kwiatki, milusie zwierzątka, które były jedynym elementem konieczności dokonywania wyboru. Gumki były chyba jedne – „myszki”, gdyż na wierzchu miały delikatny wizerunek zwykłej, szarej myszy. Były miękkie i delikatne w dotyku – prawie aksamitne.

Bardzo inspirujące, szczególnie w okresie Świąt Bożego Narodzenia, było bogactwo w tym sklepie kolorowych papierów, bibułek, krepiny, zszytych w zeszytych kartek kolorowego papieru powleczonych od spodu warstwą kleju. I coś zupełnie fascynującego – arkusze plastycznie wypukłych kolorowych główek i skrzydeł aniołków. W zależności od stanu posiadania drobniaków w garści, Pani lub Pan Wróbel delikatnie odrywali jakąś ilość aniołków starając się, aby nie uszkodzić łączy scalających je w arkusz, gdyż łączenia te były potrzebne do umocowania aniołków na robionych z nich świątecznych ozdobach. Wracając się z tymi zdobyczami do domu będąc pełnym okolicznościowych emocji. Jeszcze tylko nożyczki, klej, nie pognieciona słoma, kilka wydmuszek od jajek, trochę fantazji i w cieple kaflowych pieców można było zacząć klejenie choinkowych ozdób. Była radość, satysfakcja i okazja do przypominania sobie i ćwiczenia śpiewu świątecznych kołęd.

Osobnym działem cudów w sklepie Pana Wróbla były zabawki – laleczki, lalki, gry planszowe, piłki i piłeczki. Lalki – „szmacianki” zrobione były z wypchanego trocinami materiału, ubrane były w, najczęściej ludowe, kolorowe stroje. Brunetki, blondynki ale chyba zawsze z długimi włosami, splecionymi w dwa warkocze zawiązane kokardkami. Były bardzo kolorowe. Droższe i wykwintniej ubrane miały porcelanowe lub plastikowe (to sztuczne tworzywo, nazywane celuloidem, było już wtedy produkowane) twarze. Wszystkie takie lalki otrzymywało się przy szczególnych okazjach, zazwyczaj jako prezenty „pod choinkę”. Nie przypominam sobie takiego zakupu, ot tak sobie, bez specjalnego powodu. Dostępne i bardzo upragnione były natomiast małe celuloidowe laleczki – tzw. „naguski”, gdyż kupowało się je bez odzieży, tak, jak je producent wytworzył. Był maleńkie, chyba nie większe niż 10–15 cm. ale „otwierały” przestrzeń wielkich możliwości – szycia im ubranek. Ze skrawków, ścinków materiałów można było bawić się w projektanta i producenta lalkowych ubrań. Bardzo pomocna była znajomość pań krawcowych, które bez trudu można było o takie kolorowe ścinki poprosić. Przecież chodziło o skraweczki, bo ile materiału „szło” na bluzkę, czy spódniczkę dla takiego maleństwa? Kilka centymetrów materiału, trochę cierpliwości i pokłutych palców i już można było z koleżankami urządzać pokazy lalkowej mody. Laleczkom tym można było kupić (też w tym sklepie) drewniane szafy, stoły, krzeselka, łóżka, a nawet wózek. Po uszyciu pościeli można było z taką panną iść na spacer. Może współczesna Barbie daje więcej estetycznej przyjemności, ale czy daje satysfakcję całkowitego emocjonalnego przywiązania?

Wieczory zimowe, szczególnie te spędzane w gronie rówieśników, wypełnione były grami w różne gry planszowe – oczywiście kupione w sklepie pana Wróbla. Gry te, tak jak i lalki „z wyższej półki”, także zwykle były świątecznymi podarunkami, więc w wieczory zimowych ferii na spotkania koleżeńskie przynosiło się swoją grę - gwiazdowy prezent. Bardzo popularne były warcaby, Halama (!?) i „Chińczyk”, jednak zupełnie nie pamiętam czemu „Chińczyk”, gdyż gra ta nie miała żadnych specyficznych chińskich cech. Może jej intelektualny zamysł wymyślono w Chinach, a u nas, aby przydać jej chińskich akcentów, planszę wymalowano w chińskie smoki i znaki. Moją ukochaną grą była gra „Grzybki”. Tekturą planszę, na której wymalowany był las z roślinnością i zwierzętami, należało postawić na kartonie opakowania, gdyż w pola z małymi otworami wstawiało się maleńkie, wytoczone z drewna grzyby, pomalowane na borowiki, kurki, gąski i oczywiście muchomory. Każdy z 4-ki grających miał okrągły, kolorowy koszyczek, do którego wygrane grzyby zbierał. Zasady gry były podane w specjalnej instrukcji, ale i bez niej wiadomo było, że trafienie na pole z muchomorem oznacza samo nieszczęście. Jednak nie tylko takie nieskomplikowane gry można było kupić w sklepie Pana Wróbla. Pamiętam też otrzymaną grę uczącą, służącą zdobywaniu wiedzy także w czasie zabawy. Nazwa jej chyba była: „Co, kto, gdzie, kiedy, dlaczego?” Składała się ona z kilkunastu tematycznych „naukowo” kart (np.: geografia; odkrycia naukowe; gdzie żyją jakie zwierzęta), na których jednej połowie były pytania,

a na drugiej odpowiedzi. Plansza właściwa, na którą kładło się te karty, posiadała otwór z małą żarówką, dwa przewody zakończone wtykami i połączone pod spodem z płaską baterijką. Jeśli po włożeniu wtyków w dwa otwory po obu stronach planszy żaróweczka u jej szczytu zapalała się oznaczało to, że mamy właściwą odpowiedź na pytanie zadane na lewej stronie planszy.

Tak więc sklep Pana Wróbla zaspakajał wiele dziecięcych potrzeb i aspiracji. I to wcale nie gorzej, niż współcześni producenci zabawek, czy twórcy naukowych serwisów. Powyższy tekst dowodzi, że w latach 50-tych XX w. w sklepie Państwa Wróbel w Grodzisku Maz. dostępne były i lalki Barbie i serwisy Wikipedii.



1965 r. – Pocztówka – Grodzisk Maz., ul. Niepodległości

W prawym dolnym rogu „drewniaczek” i sklep Państwa Wróbel

(Zupełny przypadek sprawił, że osoby dochodzące do „sklepu Wróbla” to małżonkowie Maria i Mieczysław Barańscy wspomniani w rozdziale o grodziskiej „Octówce”)

Sklep owocowo-warzywny Pani Świerczewskiej

W niskim domu na rogu Placu Wolności i ulicy Obrońców Getta, tuż za sklepem z pieczywem Pana Oplątka, był sklep warzywno-owocowy Pani Świerczewskiej. Oferta handlowa ograniczała się do podstawowych artykułów rolniczych. Przyczyną takiego stanu nie było to, że właścicielka sklepu nie starała się o poszerzenie tej oferty. To tylko czasy były takie, że zaopatrzenie w podstawowe artykuły musiało klientom wystarczyć. Za dobre zaopatrzenie uznawano stan, gdy do czasu zbioru młodych ziemniaków, czy cebuli kupujący mogli bez trudu kupować te ze zbiorów ubiegłorocznych. Sprzedaż pomidorów była sprzedażą wyłącznie sezonową – koniec ich wegetacji był końcem możliwości zakupu. Jabłka można było kupić chyba tylko do przełomu grudzień/styczeń. Te, jakie zakupiono jesienią na zimowe zapasy, układano w domach na krawędziach szaf, czy kredensów i jadano oszczędnie, tylko jako deser po niedzielnym obiedzie. Jakże więc w połowie czerwca smakowały „papierówki” wiedzą tylko ci, którzy prawie pół roku świeżych jabłek wyczekiwali. Ale jakżóż później był ich wybór – gatunki obecnie prawie już zupełnie nie-

znane: bardzo kruche – szara i złota reneta; twarda i bardzo słodka kosztła; malinowe – jędrne i soczyste z purpurowymi żyłkami w śnieżno – białym mięszu; koks, o której smaku dziadkowie i rodzice mówili, że podobny jest do smaku ananasów. Smakowaliśmy te koksy, aby chociaż mieć wyobrażenie, jak smakują nieznanne, egzotyczne ananasy. Jedyną odmianą jabłek, jaka „uchowała się” do obecnych czasów, jest chyba tylko antonówka. Czy zdarzały się w sprzedaży w sklepie pani Świerczowskiej pomarańcze lub cytryny? Może, ale zupełnie takiej ekstrawagancji nie pamiętam. W okresie Bożego Narodzenia pomarańcze, jak wówczas mówiono, „pojawiały się” w sklepach, ale chyba tylko państwowych lub spółdzielczych, a nie prywatnych, które raczej nie były ujmowane w rozdzielnikach przydziału do sprzedaży niecodziennych, atrakcyjnych towarów. Świąteczną pomarańczę, rozdzielaną na pojedyncze części, smakowało się przez kilka dni. I wierzyło się starszym, którzy twierdzili, że nie lubią pomarańczy... Za to praktycznie przez cały rok można było kupić w tym sklepie smaczne i zdrowe przetwory – bez sztucznych barwników i konserwantów. Przecier pomidorowy i szczaw w butelkach zakorkowanych prawdziwym korkiem i uszczelnionych czerwonym lakiem – „zalakowanych”. Prawdziwy, w naturalny sposób produkowany biały barszcz. Syropy i naturalne soki, wśród nich przepyszny jabłkowy. I marzenie wszystkich dzieciaków – oranżada z takim, obecnie już prawie archaicznym, sprężynującym drucianym zapięciem butelki na porcelanowy biały korek z czerwoną gumową uszczelką. Przyjemne wrażenia wywoływało już samo otwieranie takiej butelki – „wybuchnie, czy nie wybuchnie?”. Syczenie wywołane uwalnianiem się gazu i „bąbelki” na języku, a bywało i w nosie. Oczywiście, że obecne doznania dzieci z napojami gazowanymi są takie same, jak wówczas. Jednak, czy ich finansowa dostępność i łatwość kupowania pozostawi w nich wspomnienie niezwykłości chwili picia owocowej oranżady kupionej w sklepiku warzywno-owocowym Pani Świerczowskiej?

Sklep „BARWA” Państwa Tonderów

W niewielkim domku, tuż za tragicznym miejscem straceń z 18 listopada 1943 r., był sklep mydlarsko-malarsko-farbiarski. Idąc do tego sklepu potocznie mówiono: „idę do Tondery”, więc nazwisko właścicieli pewnie brzmiało Tondera. Obydwoje Państwo Tonderowie byli sprzedawcami w tym sklepie.

Jakież w tym sklepie były zapachy i towary! Mydła, pasty, terpentyny, rozpuszczalniki, kleje, farby klejowe i olejne i takie w malutkich torebeczkach do domowego farbowania odzieży – farby KAKADU – bo na torebce była wymalowana papuga Kakadu z imponująco rozłożonym czubem. I prawdziwe bogactwo kolorów pozwalające ze starego ciuszka zrobić coś zupełnie innego i świeżego.

W sklepie zwykle był ruch, a szczególnie w okresie wiosenno-letnim, czyli w okresie odnawiania mieszkań. Było to znacznie bardziej skomplikowane niż obecnie – łatwych w użyciu farb emulsyjnych jeszcze nie wynaleziono. Farb olejnych używano do „kładzenia lamperii”, czyli dolnych części ścian w mieszkaniu, bardziej narażonych na zabrudzenia – głównie w kuchniach i łazienkach. Jednak kłopotu z malowaniem łazienek nie było, gdyż skanalizowane domy i mieszkania z łazienkami były rzadkością. Do malowania pokoi i reszty ścian używano farb klejowych, których sporządzenie było prawdziwą sztuką, a poprzedzone musiało być szeregiem niezbędnych czynności wstępnych. Ściany musiały być „umyte” wodą z rozpuszczonym szarym mydłem. Sufit musiał być „zaciągnięty” rozpuszczonym w wodzie tonem – białym, pewnie gipsowym, proszkiem kupowanym w sześciennych bryłach. Służyć to miało wydobyciu głębokiej bieli z białej farby, którą sufit następnie był malowany. Farby, w postaci proszku, należało we właściwych proporcjach (te wielokrotne ich wyliczania!) zmieszać z klejem – też w proszku i dokładnie „zrobić” wodą. Po takim wstępie można było już rozpoczynać malowanie. Dużą atrakcją był wybór zrobionego z kauczuku wałka służącego do udekorowania ścian, czyli pokrycia ich wzorem

o barwie znacznie ciemniejszej niż tło – kolor ściany. Jak ktoś był zamożniejszy to mógł w tym celu kupić prawdziwie opalizującą farbę w kolorze srebrnym lub złotym! Prawdziwie eleganckim wystrojem było, aby na ścianie były dwa, zwykle jednolite wzory – pod spodem ten w ciemnym odcieniu koloru ściany, a na nim wzór srebrny lub złoty. Oczywiście wałki z wzorami też można było wypożyczyć w „sklepie Tondery”. Wypożyczanie odbywało się dwuetapowo. Za pierwszym razem, „na troszeczkę”, brano kilka wałków, aby na rodzinnej naradzie ustalić, jaki wzorek będzie najładniejszy i najciekawszy. A było w czym wybierać! Kwiaty duże i małe, egzotyczne i zwyczajne, był nawet wzorek z palmami. Po dokonaniu wyboru na dzień lub dwa wypożyczano właściwy wałek i „kładziono” wzór na ścianę starając się, aby pomiędzy pociągnięciami nie było odstępów, a wzory „schodziły się”. Wzory – podstawowy i złoty lub srebrny nie mogły na siebie „zachodzić”, pomiędzy ich liniami musiał być niewielki odstęp.

(Tadeusz Tondera – „Mały”, AK, 38 pluton (wg „Gąbka” - „Osa” – j.w.)

Przed świętami Bożego Narodzenia w 2008 r. stacje telewizyjne podawały wyniki sporządzonej ankiety i szeroko komentowały odpowiedź otrzymaną na jedno z ankietowych pytań, które brzmiało: jakiego z zapamiętanych „świątecznych” zapachów najbardziej ci brakuje? Odpowiedź brzmiała: zapachu pastowanych podłóg! Tak, to prawda. Bo jeśli pamięta się zapach podłogi z desek pachnącej kupioną w „sklepie Tondery” pastą koloru mahoniowego, jasnego lub ciemnego orzecha, bądź jakiegokolwiek innego koloru, to tego zapachu nie zapomni się nigdy! Na pewno to samo wrażenie pozostało wszystkim tym, którzy w takie same artykuły zaopatrywali się w sklepie Pana **Pasternaka** przy ul. Niepodległości. Na pewno zapachy były identyczne, sklepu jednak nie pamiętam. Pozostało w pamięci tylko oryginalne nazwisko właściciela i wspomnienie, że taki sklep był.

Sklep pasmanteryjny Pani Patejkowej

Następny za „BARWA” Państwa Tonderów był sklep pasmanteryjny – „Pani Patejkowej”. Nazwisko sprzedającego w nim małżeństwa musiało chyba brzmieć – Patejek.

Po dwóch schodkach prowadzących do sklepu wchodziło się w świat pełen kolorów. Nici, wstążki, wstążeczki, aksamitki, koronki, wielobarwne krajki, kolorowe taśmy i tasiemki, kolorowe sznury i jedwabne sznurki a nawet sznureczki srebrne i złote. Nazwy niektórych towarów – gipiura, aplikacja, walansjenka, kordonek, mulina – brzmiały obco i intrygująco. Do tego były piękne białe i kolorowe, więc zachęcały do próby nauki szycia i haftu, tak jak przybory do haftowania – tamborki, kanwy z wymalowanymi wzorami mającymi pomóc tak w haftowaniu, jak i w wyborze wzoru haftu. Były na nich kwiaty, pejzaże, pewnie także takie z „jeleniem na rykowisku”, które nie wiem czemu, w późniejszych latach były przedmiotem drwin, jako symbol kiczu, czyli złego gustu i smaku. A przecież, „nie to piękne, co piękne, tylko to, co się podoba”. Takie kolorowo wyhaftowane widoczki były sympatyczne swą tradycyjnością, a do tego były bliskie, gdyż w wielu domach, szczególnie w domach dziadków, powieszonych było dużo takich babci-nych a nawet prababci-nych rękodzieł z sentencjami – „Dobra woda – zdrowia doda”, czy „Dobra gospodyni – ozdoba rodziny”.

Bardzo duży był wybór guzików – od praktycznych, najzwyklejszych, po te budzące dziecięcą podziw – kościanych lub robionych z rogów dzikich zwierząt, czy takich z muszli, lub masy perłowej, połyskujących biało-błado-tęczowym opalem. Gdy zaczęły być modne guziki tzw. „grzybki”, robione ze zwykłego kolorowego plastiku, to natychmiast znalazły się one w ofercie sklepu „Pani Patejkowej”. Zastępując nimi stare guziki starego sweterka, można było polepszyć sobie samopoczucie, posiadaniem „nowego sweterka” i nadążaniem za modą. W żaden sposób natomiast nie mógł polepszyć samopoczucia inny grzybek sprzedawany w tym sklepie – wytoczony z drewna grzybek do cerowania skarpet i pończoch. Zrobiła się dziura – trzeba było kupić odpowiedniego ko-

loru „bawełnę” (nici splecione z kilku cienkich, miękkich bawełnianych nitek), naciągnąć skarpetę na grzybek i rozpocząć żmudne, dokładne jej cerowanie. Jednak nawet takie wspomnienie nie jest w stanie zmać kolorowego wspomnienia nici, wstążek i guzików w sklepie „Pani Patejkowej”.



*Sklep „BARWA” następny - z markizą - Sklep pasmanteryjny
(Zdjęcie z albumu „Grodzisk Maz. na dawnej fotografii”)*

Torby i torebki – galanteria skórzana w sklepie Państwa Szwedów

W tym samym ciągu sklepów, prawie tuż u wylotu ulicy na przedkościelny plac, był sklep z torebkami, na zapleczu którego znajdowała się chyba również pracownia. Sklep niezbyt przydatny małym dziewczynkom, ale bardzo pobudzający ich wyobraźnię i pragnienie szybkiego dorostania do posiadania tego nieodzownego atrybutu kobiecej dorosłości – damskiej torebki. Oglądając dużą wystawę sklepu – wystawione torby i torebki, duże i małe, czarne, brązowe a nawet czerwone, saszetki, portmonetki, „podkówki” – można było puścić wodze fantazji, co do czekającej nas dorosłości. Wizyty w sklepie nie były częste. Torby były skórzane, solidne i starczały „na lata”, ale każdy zakup przez mamy nowej torebki nie mógł odbyć się bez obecności przy tym córek. Mimo, iż technologia otrzymywania skór nie należy do procesów miło pachnących, zapach w sklepie świeżych, cienkich, delikatnie wygarbowanych skór był bardzo przyjemny. Duży był wybór toreb gotowych, ale była też możliwość wykonania torebki na indywidualne zamówienie z wybranego rodzaju i koloru skóry. Aksamitne płaty skór „przelewały się” w rękach jak jedwab, niezależnie od tego, czy były zamszowe, czy „licowane” – chyba tak je nazywano? Najdroższe były torebki ze skór cielęcych i lakierowanych. Jaszczurów i krokodyli nie przypominam sobie. Może torebki zrobione z ich skór można było kupić, ale na pewno były one bardzo zbyt kosztowne, na pewno bardzo drogie, więc w tych ubogich czasach nie mogło ich być wiele, bo niewiele mogło być nabywczyń. Chyba z końcem lat 50-tych, sprowadzane najpierw z zagranicy „sztuczne skóry” – „dermy” i „skaje”, coraz bardziej zaczęły zastępować skóry prawdziwe. Mimo obecnej przebogatej oferty materiałowej do produkcji torebek, te wykonane z naturalnego surowca, pachnące jak ze sklepu Państwa Szwedów, zachowały do dziś swoją wartość i... ceny.

Sklep drobnej galanterii odzieżowej Państwa Rusteckich

Po lewej stronie wylotu Placu Wolności na ulicę Sienkiewicza, po pokonaniu kilku schodków wchodziło się do sklepu z drobną galanterią odzieżową Państwa Rusteckich. (Chyba było to „przedsięwzięcie rodzinne” – **Rusteccy/Polanecy**, ale dokładnie tego nie pamiętam.) Na pewno jednak, gdyby możliwości finansowe pozwalały, to do sklepu tego chciałoby się chodzić codziennie, no choćby raz w tygodniu, byle tylko celem dokonania jakiegoś zakupu. Bluzki, bluzeczki, spódniczki, jakie można było nabyć w tym sklepie miały krój i lekkość tego, co później, a i obecnie nazywa się piesszczotliwie „ciuszkami”. Gotowa drobna konfekcja możliwa do kupna w sklepach „państwowych” nie miała, niestety, tego szyku i takiej lekkości materiału, jak galanteria w sklepie Państwa Rusteckich. Jednak od czasu, do czasu wchodziło się tam i dokonywało zakupu. Zawsze z radością. Stałą pozycją zakupu przez wiele pań było kupno kapci, zwanych „rannymi pantoflami”. Te ze sklepu Państwa Rusteckich zasługiwały na nazwę pantofli, choć nie było w nich nic nadzwyczajnego. Były jednak dobrze usztywnione i wyprofilowane, zrobione z czarnego aksamitu, na koturnie także obciągniętym czarnym aksamitem. Ich jedyną ozdobą był przymocowany z przodu kawałek króliczego futerka, ufarbowanego na intensywny kolor – żółty, niebieski, karmazynowy, turkusowy. Zbieranie tych futerek było kolekcjonerską pasją dziewczynek. Tak, jak chłopcy kolekcjonowali „zoški” do gry ruchowej, tak dziewczynki zbierały futerka, z których można było zrobić etolę dla swojej małej lalki – „naguska” ze sklepu pana Wróbla, bądź po prostu je mieć, tylko dla radości posiadania. Ja miałam szczęście, bo mojej mamie te futerka zupełnie nie odpowiadały, natychmiast po zakupie pantofli odrywała je i dawała mnie. I to dlatego, przez te futerka, tak dobrze pamiętam sklep Państwa Rusteckich.

Bogactwo kasz – sklep Pani Nowakowej

Przy ulicy Sienkiewicza, dokładnie na przeciw kościoła, był sklep Pani Nowakowej, w którym można było kupić kasze, ziarna, groch, fasolę i wszelkie łuskane roślinne artykuły spożywcze łącznie ze sprowadzanym z zagranicy ryżem. Sklepowy regał był odkrytą szafą z przegrodami, jak gdyby szufladowymi, jednak nie miały one przykryć i nie były – wysuwane/wsuwane. W lnianych workach i woreczkach stały wokół kasze grube i drobne, jaglane, gryczane i pęczak, perłowe, z których gotowano pyszne krupniki. Takie przechowywanie i eksponowanie ziaren zapewniało im stały dostęp powietrza, niezbędnego do pozostawiania ich suchymi i sypkimi. Centralne miejsce na ladzie zajmowała duża, biała waga i stos jasno-brązowych papierowych toreb i torebek. W zależności od potrzeby klienta kasze małą szuflą sypane były do tych papierowych torebek i ważone. Do polecenia pójścia po zakup kaszy gryczanej musiano dodać jeszcze jedną wskazówkę – czy ma być ona nie palona, lekko palona, czy mocno palona? Gryczana kasza z gulaszem mięsnym jest czymś tak pysznym, że i z tego powodu jedzenie jej zawsze przypomina sklep z kaszami Pani Nowakowej.

Grodziski nasz chleb powszedni

W opisywanym okresie było trzech znanych grodzkich piekarzy: Pan **Oplatek**, Pan **Dudziec** i Pan **Sodoma**. Chyba jednak tylko bezpośrednio przy piekarni Pana Oplatka był sklep z pieczywem. Sąsadował ze sklepem owocowo-warzywnym Pani Świerczewskiej, zaś piekarnia była w oficynach wspomnianego już domu. Gdy chleb wyjmowano z pieca, narożnik Placu Wolności przy Obronców Getta pachniał świeżym chlebem. Nie kupowało się go pakowanego w ozdobne firmowe torby, czy torebki, a jeśli nie miało się własnej torby, czy siatki, kupno takiego chleba „prosto z pieca” trzeba było „okupić” niemałym cierpieniem. Był tak gorący, że nie sposób było nawet krótko utrzymać go w rękach. Żonglowało się nim jak piłką i podziwiała jego gładką bursztynową skórę, ciesząc się, że do spodu mocno przylgnęły drobne otręby, przez co

był on nieco chłodniejszy niż góra. Często bywało i tak, że doniesiony do domu chlebek był „po przejściach”, bo doprawdy nadludzkiej trzeba było woli, aby po drodze nie zacząć konsumpcji wyrывая paluchami smaczne chrupiące kęsy. Do dziś nie mogę zdecydować się, co w nim było przyjemniejsze - chrupkość, smak, czy zapach? Leniwy poranek bez wczesnego wstawania i pośpiechu, kubek mleka, ciepła, słodka „maślana” bułka z piekarni Pana Oplątka oznaczały jedno – początek wakacji!

Duży sklep z pieczywem Pana Dudzieca był przy ulicy Sienkiewicza, obok sklepu z kaszami Pani Nowakowej. Mam wrażenie, że różnorodność wypieków z tej piekarni była większa niż z piekarni Pana Oplątka. Więcej było piekarniczej „galanterii” – drożdżowych ciastek, pszennych bułeczek, spleatanych w warkocze chałek dużych i małych. Chleby miały różne kształty, nie tylko tradycyjnie okrągłe. Bułki okrągłe małe, „małgoški”, „parki”, ciemne razowe. Były wrocławskie i paryskie. „Kajzerki” pojawiły się chyba dopiero pod koniec lat 60-tych.

Wyroby z piekarni Pana Sodomy, zlokalizowanej w domku – pawilonie dawnego majątku Jordanowice przy ulicy Parkowej, sprzedawano raczej w sklepach tamtej części miasta. Z tego względu bardziej pamiętam Pana Sodomę niż Jego chleb. W ramach dzierżawy od mojego dziadka pomieszczeń na piekarnię, w każdy 1-wszy dzień Nowego Roku dziadek obdarowywany był koszem wspaniałych kwitnących azalii, co sprawiało niezwykle wrażenie – zima i takie piękne, świeże kwiaty.

Dostępne obecnie, bez przesady internacjonalistyczne rodzaje pieczywa, z pewnością urozmaicieniem smaków i bogactwem wyboru przewyższają tamtą, skromną ofertę. Trochę jednak pojeździłam, trochę pojadłam i całą stanowczością twierdzę, że jakiegokolwiek, gdziekolwiek jedzone pieczywo smakiem i zapachem równać się nie może z tym z grodziskich piekarni.

W czasach niemieckiej okupacji Panowie Dudziec i Oplątek służyli w ZWZ/AK. Podporucznik Antoni Dudziec – „Dąb”, „Adam” odznaczony Krzyżem Walecznych – był szefem służby kwatermistrzowskiej Ośrodka „Gąbka” - „Osa”. Żołnierzem tej służby był także Kazimierz Oplątek. (Wg źródła: „Gąbka” - „Osa” – j.w.)

Z dużym prawdopodobieństwem możemy sobie wyobrazić sytuację, że chleb dowożony do kampinoskich wsi Truskaw, Pociecha, w których prowadzono wojskowe szkolenia i ćwiczenia grodziskiej młodzieży, nie tylko smakował, ale przypominał także miasto i rodzinne domy. I na pewno noszono go w chlebakach pomimo dowcipkowania: „Chlebak, jak sama nazwa wskazuje, służy do noszenia granatów”.

Woda gazowana Pana Sierocińskiego

W niewielkiej odległości za Starym Cmentarzem przy ulicy Montwiłła była Wytwórnia Wód Gazowanych – zakład należący do Pana Sierocińskiego.

Czesław Sierociński – „Filip” – AK, 45 pluton - wg „Gąbka” - „Osa” – j.w.

Wspaniałe oranżady kupowane w sklepiu Pani Świerczowskiej także dlatego pysznie smakowały, że były miejscowe, czyli zawsze świeże. Także zawsze świeża była krystalicznie czysta woda sodowa w syfonach, syczących i pryskających tak samo jak obecnie. Syfony były zrobione z bardzo grubego szkła - białego lub zielonkawatego. Ciemno szary przycisk był z ołowiu. Chyba na początku lat 60-tych przyciski te zaczęto wymieniać na plastikowe, tak z powodu szybkiego rozwoju technologii sztucznych tworzyw, jak i ze względu na szkodliwość ołowiu dla zdrowia. Mimo jednak zamiany przycisku, z ciężkiego ołowiu na lekki plastik, ciężar syfonu z wodą wiele się nie obniżył. Nie było to jednak ważne. Chociaż wodę w syfonach można było kupić w samym mieście, w sklepie Pani Świerczowskiej także, to dużą przyjemnością był spacer po nią bezpośrednio do samej Wytwórni. Wysiłek przydzwigania syfonu do domu całkowicie rekompensowała przyjemność picia chłodnej wody z bąbelkami „od Pana Sierocińskiego”.

Targowisko miejskie – targi i jarmarki

W latach 50-tych miejskie targowisko znajdowało się w miejscu, gdzie obecnie stoją spółdzielcze bloki – przy ulicy Spółdzielczej. Targi odbywały się raz w tygodniu – we środy. Plac targowy pełen był konnych wozów i furmanek, a gospodarze z okolicznych wsi oferowali swoje towary. Ich podstawowy asortyment był inny niż obecnie. Przeważały rolne i mleczarskie artykuły nieprzetworzone, lub przetworzone naturalnymi gospodarskimi metodami. Odmierzane „na kwaterki” (kubki o poj. 0,25 l.) mleko sprzedawano bezpośrednio z dużych metalowych konwi wlewając je do małych, najczęściej aluminiowych baniek, które kupujący musiał mieć ze sobą. Oczywiście do tego celu służyły również szklane butelki, kupujący też musieli je posiadać. Białe sery formowane w „rożki” przywożono zawinięte w lńiane ściereczki, te same za pomocą których odbywał się proces ich produkcji, czyli otrzymania sera ze zsiadłego mleka poprzez odsączenie serwatki. Latem masło sprzedawano w zawiniętych w liście chrzanu „oselkach”. Śmietanę, tak jak mleko, sprzedawano „na kwaterki” i też należało na nią mieć własne opakowanie. Proponowana cena jajek – 30gr/szt. – była przyczyną narzekań na drożyznę i poszukiwania ich u tańszych dostawców. Kury, kaczkę, gęsi można było kupić żywe lub „ubite”. Jednak ptactwo to, ze względu na wysokie ceny, nie było często kupowane. Zwykła kura była towarem luksusowym a masowej, przemysłowej produkcji tanich brojlerów jeszcze wtedy nie było. Straszne było w domach oburzenie, gdy kupiony na wielką okazję indyk „posiadał” niespodziewany bonus – pełno insektów w upierzeniu. Bo i tak zdarzało się. Chodzenie „na rynek” było bardzo ciekawe, także ze względu na efekty „dźwiękowe” – gdakanie i kwakanie ptactwa, parskanie koni, krzyki i nawoływania sprzedawców, głośnie targi kupujących ze sprzedającymi. Jesienią odbywały się targi co cen „hurtowego” zakupu towarów – wozów pomidorów na zimowe przetwory, wozów kapusty celem kiszenia jej na zimę, wozów ziemniaków, czy większych ilości cebuli. Oczywiście kupowano towar dowożony bezpośrednio do domów wozami, a nie wozy. Nie pamiętam jak często, ale w Grodzisku odbywały się też jarmarki, czyli targi powiększone o ofertę hodowlaną (np. różowe prosiaczki, z których jeśli ktoś miał warunki mógł wyhodować świąteczną świnkę) i „przemysłową”. Dębowe beczki – małe i duże, i dębowe balie do prania. Kamienne i kamionkowe naczynia, nawet tak duże, że można w nich było zmieścić w saletrowej zalewie całą szynkę, aby przed świątecznym wędzeniem skruszała i nabrała ładnego, różowego koloru. Kamionkowe dzbany, dzbanki i wazon. Garnki i patelnie, w produkcji i sprzedaży których specjalizowali się Cyganie. Największą atrakcją dla dzieci były stoiska z różnymi drewnianymi zabawkami – zwierzakami (np. koniki na biegunach), ptakami, wózkami. Jednym słowem na jarmarkach było tak, jak w piosence śpiewanej przez Marylę Rodowicz, a nawet jeszcze więcej, bo była bogata oferta okolicznej grodziskiej „Cepelii”.

Zakupy z „dostawą do domu”

Tak samo jak w czasie okupacji mieszkańcy miast wyprawiali się w poszukiwaniu żywności na wieś, tak po styczniu 1945 r. mieszkańcy wsi przyjeżdżali do miast, aby uzyskać za swoje towary trochę pieniędzy. W pamięci wszyscy mieli okupacyjne trudności aprowizacyjne, co tak trafnie zostało to ujęte w słynnej piosence: „Teraz jest wojna, kto handluje ten żyje...”. Wojny już nie było, trudności z zaopatrzeniem w podstawowe artykuły pozostały. Druga część wersu okupacyjnej piosenki jest ponadczasowa – „...kto handluje ten żyje...”. Jednak ówczesna rzeczywistość nie była tak optymistyczna, jak w tych słowach. Jakie mogły być przychody z roznoszenia po domach mleka, szczególnie w porównaniu z wysiłkiem, aby to robić? Wiejskie kobiety wstając o świcie, przynosiły do miasta w metalowych dzbanach mleko z wieczornego i porannego udoju. Najmniejszy z takich dzbanów mógł mieć pojemność około 10 litrów, a dźwigać go trzeba było przez 4–5 kilometrów z Kozar, Kozerek, Kraśniczej Woli, czy innych wsi. A potem chodzenie od domu – do domu i „po kwaterce” – 1–2 litry. O ile jednak gospodarski handel na targowiskach

i roznoszenie po domach mleka, śmietany, czy twarogów było dozwolone bądź tolerowane, to targowiskowy oraz domokrażny handel mięsem i jego wyrobami był całkowicie zabroniony, bo zabroniony był wiejski ubój zwierząt hodowlanych. Państwo zmonopolizowało obrót produkcją rolną i zwierzęcą, tak celem sprawowania nadzoru nad dystrybucją zaopatrzenia, jak i w celu zminimalizowania dochodów wsi, aby biedą zachęcić jej mieszkańców do „wspaniałego”, radzieckiego modelu kolektywizacji – tworzenia kołchozów i sowchozów. Tak więc indywidualny zwierzęcy ubój i przetwórstwo mięsa było nielegalne i surowo karane. Na szczęście nie tak, jak w czasach słynnej piosenki, ale także dotkliwie. Często radio i prasa „robiły dobrą propagandową robotę” nagłaśniając przypadki „kułaków”. Jednak miasta były głodne, a wieś potrzebowała zarobku większego, niż ten otrzymywany za obowiązkowe dostawy i kontyngenty. Pamiętam uczucie ulgi, gdy furmanka „pani cielęcinki” zajeżdżała na przydomowe podwórko. Znaczyło to, że nasi zaprzyjaźnieni dostawcy bez przykrych zdarzeń pokonali niebezpieczną drogę, abyśmy mogli zjeść nieprawdopodobnie luksusowy w tamtych czasach obiad – np. pierogi z cielęcych płuczek, czy nadziewany cielęcy mostek. Po zaspokojeniu popytu naszej kamienicy dostawcy rozpoczynali wędrówkę – od domu do domu – z mniejszymi porcjami „nielegalnego” mięsa i kiełbasy pachnącej czosnkiem i dymem wiejskiej wędzarni.

Co było a nie jest

Odchodzą ludzie, zmienia się miasto, a wraz z nim jego klimat. Tak jak uliczny bruk i „kocie łby” wykładanych kamieniami jezdni, tak z dawnych, swojskich obrazów miasta, jako nieprzydatne i nienowoczesne, bezpowrotnie zniknęły postacie i zawody, które kiedyś nadawały miastu koloryt, a mieszkańcom pomagały w codziennym życiu.

Raczej nie za wielu obecnych Grodziszczan pamięta panów, którzy chodzili po podwórzach oferując ostrzenie noży, czy lutowanie garnków. Ich nazwiska pozostały zapewne tylko w pamięci Ich rodzin. Ale wówczas, na metaliczny, dzwoneczkowy dźwięk uderzenia młotka w żelazną sztabkę, do Pana „**Noooże, ostrzę noże!**” zbiegały się dzieciaki, aby z bezpiecznej odległości podziwiać snop iskier wylatujących spomiędzy kamiennej tarczy ścierniej a ostrza noża, czy nożyczek. Narzędzie do wykonywania tej usługi jej właściciel nosił ze sobą. Był to zbity z drewna niewielki stelarz z kołem napędowym – pasem transmisyjnym i pedałem poruszającym nogą „usługodawcy”.

„**Garnki lutuję, gaaarnki!**” było równie ciekawe. Dziurki w garnkach emaliowanych były czyszczone poprzez „wytrawianie” ich kwasem, a następnie „zaklejane” roztopioną cyną. Aby z posiadanego cynowego trójkątnego „sznura” uzyskać kilka jej kropelek potrzebny był silny ogień spirytusowego palnika, zamocowany na metalowym pręcie mały młoteczek zanurzony w kalafonii. Przy zetknięciu młoteczka z ogniem jego płomień robił się niebiesko-fioletowy. Garnki aluminiowe naprawiano metodą „na klepankę”. Kawałek aluminiowego drutu wkładano w dziurkę aby następnie jego wystające po obu stronach końce rozklepywać tak długo i dokładnie, aż dziurka została zasklepiona. W obu przypadkach należało sprawdzić jakość wykonanej naprawy – wlać do garnków wodę i sprawdzić, czy „nie ciekną”.

Jeszcze bardziej ciekawe było podziwianie **pracy w kuźniach**, w których było palenisko z przegaszanym tylko na noc „wiecznym” ogniem, wielkie miechy, ogromne kowadła, duże i małe młoty, duże i długie cęgi oraz kowale w obszernych skórzanych fartuchach. Powszechnie wiadomo nawet teraz, co to są podkowy, ale hacele ...? Chyba były w mieście dwie kuźnie – jedna na ul. Konspiracji (przy ul. 1-go Maja), druga (chyba?) na ulicy Królewskiej w okolicy stacji EKD Nadarzyńska. Dziś w miastach nie kuje się już koni, bo jeśli konie w miastach są to w specjalnych pensjonatach. Panowie kowale jeżdżą do nich, a nie konie przyjeżdżają do kuźni. Jednak posia-

danie podkowy także obecnie podobno ma przynosić szczęście. Tylko – gdzie obecnie w miastach kupić lub dostać podkowę? Znaleźć ją, co ma gwarantować jeszcze większe szczęście, jest już zupełnym nieprawdopodobieństwem. Hacele zaś, to specjalne gwoździe, którymi mocowano podkowy do końskich nóg po uprzednim zrobieniu dokładnego pedicure.

Kuźni nie ma, bo zniknęła potrzeba konnego transportu. Mimo jednak rozwoju i postępu, dzięki którym nasze życie jest lżejsze i wygodniejsze, to nie można trochę nie żałować, że z pejzażu miasta zniknęli **Pan Woziwoda, czy Grodziscy Dorożkarze**. Niewielki beczkowóz z zaprzęgniętym małutkim konikiem – huculem, czy tarpanem oraz panem, który tym zaprzęgiem powoził ale, aby konikowi ulżyć siedł zawsze tylko obok, rozwozili na zamówienie po domach wodę, czerpaną z pewnie im tylko znanych okolicznych źródełek. Zniknęły furmanki jeżdżące na ulicę Harcerską do młyna Państwa **Kwapisiewiczów** z workami pełnymi zboża i odjeżdżające z workami kasz i mąki ciepłej i pachnącej. Konne dorożki zastąpiły taksówki, a przecież jeszcze w końcu lat 50-tych większe grodziskie odległości można było pokonać konną dorożką, tak dla wygody, jak i dla „zadania zryku”. Grodziskie dorożki, tak samo jak te jeżdżące obecnie na Warszawskiej Starówce w ramach turystycznej atrakcji, miały swoisty urok – duże, czarne landa z podnoszonym dachem i oczywiście „na gumach”, czyli kołach z gumowymi oponami a nie żelaznymi obręczami, jakie posiadała większość furmanek. „Gumy” zamiast obręczy były wyznacznikiem nowoczesności i względnej zamożności posiadaczy dorożek, czy konnych wozów. Największa w mieście baza dorożkarska – stajnie i powozownie - była w podwórzach domów na początku ul. Bałtyckiej, choć nie jestem pewna, czy ulica ta nie miała wówczas jeszcze przedwojennej nazwy – Kraśnica. Postój „Dorożka-Taxi” był pod stacją PKP. Dorożki, wozy konne były w tamtych latach stałym widokiem na ulicach. Konnymi wozami okoliczni rolnicy przywozili do miasta swoje towary, przez cały rok jeździły po mieście furmanki z węglem. Szczegółne natężenie tego ruchu było jesienią. Powszechność gromadzenia na zimę zapasów, robienia przetworów – to jeżdżące po ulicach konne furmanki pełne ziemniaków, kapusty, pomidorów, ogórków, cebuli, w mniejszych ilościach także jabłek. Dorodne, pachnące pomidory i kapustę przywoził gospodarz z Kozier Pan **Łyszkowski**. Najważniejszą jednak sprawą w przygotowaniach do zimy był zakup węgla. Domy były opalane wyłącznie węglem, tak dla ciepła, jak i celem przygotowywania jedzenia. Wśród tematów rozmów we wczesne jesienne wieczory bardzo ważny był taki – uzyskanie przydziału na węgiel, który był towarem bardzo ściśle reglamentowanym przez państwo. „Kwit na przydział węgla” był przez kilka dni rodzinną relikwią. Należało powierzyć go „panu węglarzowi”, który po kilku dniach z mieszczącego się przy stacji PKP „Składu opałowego” przywoził węgiel pod dom. Duża była radość, gdy przywieziony węgiel stanowiły jego kawałki. Narzekania i smutek był, gdy zamiast kawałków był „sam miar”. Jednym ze znamienitych grodziskich furmanów był mieszkający w Łąkach Pan **Jan (?) Goszczyński**. Zapas węgla na zimę w komórcę, beczka ukiszzonej kapusty na strychu, butelki i słoje z owocowymi i warzywnymi przetworami, kamionkowe naczynia pełne śliwkowych powideł, grzyby nazbierane w Osowieckich Lasach i ususzone na wigilijną zupe, wszystko to dawało spokój i poczucie bezpieczeństwa. Jeszcze tylko w okna mieszkania należało wstawić od wewnątrz zniesione ze strychów drugie okna („dubeltowe”), przestrzeń pomiędzy nimi wypełnić gazetami, rozścielić na nich watę imitującą śnieg i już dzieci mogły zająć się kolorowymi wycinankami, aby na tej wacie „nasadzić” np. kwiatów, czy muchomorów, choć „ludzkie oko nie widziało”, aby w przyrodzie rosły one na śniegu.

(Los sprawił, że we wrześniu 1939 r. w 2-giej kompanii 21-go Pułku Piechoty „Dzieci Warszawy” dowodzonego przez Pułkownika Stanisława Sosabowskiego /w Armii „Modlin” Generała Emila Przedzimirskiego-Krukowicza/ spotkali się dwaj żołnierze – Grodziszczanie – Jan Goszczyński i kapral podchorąży Mieczysław Barański. Z Lasów Opinogórskich przez Twierdzę Modlin i Zielonkę dotarli z Pułkiem na przedmieścia Warszawy – na Grochów. Po kapitulacji

Warszawy, jak tysiące polskich żołnierzy, zostali jeńcami wojennymi. Jan Goszczyński postanowił, przy najbliższej okazji, zbiec z niewoli i przedrzeć się do Grodziska. Ranny w obronie Grochowa podchorąży Barański oddał mu posiadane prywatne drobiazgi i złoty zegarek „Cyma” otrzymany od rodziców z okazji zdanej w 1938 r. matury. Nie wiedział, co z nim się zdarzy i prosił, aby rzeczy te zostały przekazane jego rodzinie wraz z wiadomościami o ich wojennym szlaku. Jan Goszczyński zbiegł z niewoli jeszcze w Warszawie, ale nie wiem, jakie były jego przeżycia w czasie tego niebezpiecznego marszu. Podchorąży Barański podjął próbę ucieczki kilka dni później, gdy kolumna gnanych na zachód jeńców przechodziła przez Grodzisk. Było to pewnie w dniu 2-go października, gdyż pod tą datą Ada Krechowicka zapisuje swoje smutne wrażenia. Następnego dnia Jan Goszczyński przyniósł powierzone mu rzeczy. Okoliczności były takie, że w tajemnicy, ale dowiedział się, że podchorążemu także udało się próba ucieczki.)

W końcu lat 50-tych „pojawiły się” długopisy. Oznaczały nie tylko wygodę ale też koniec kleksów w zeszytach, ubrudzonych atramentem palców i atramentowych plam na odzieży. Niestety, przez kilka lat takich przywożonych z zagranicy długopisów nie było dużo i nie były one tanie. Wypisany tusz musiał być zastąpiony nowym, czemu służyła usługa – „**Napełnianie długopisów**”. Taki punkt był w mieście chyba tylko jeden – w podcieniu wejścia na podwórze nowego bloku przy ulicy Niepodległości – przed sklepem Pana Wróbla.

Tak jak zniknęła potrzeba, a wraz z nią usługa, napełniania długopisów, tak i pewnie zniknęła usługa „podciągania oczek”, czyli fachowo – **Repasacji pończoch**. Najbogatszy stan posiadania pończoch to przeciętnie były dwie pary – jedna cieńszych, jedna grubszych. Posiadanie rajstop w latach 60-tych nie było luksusem, a to z tego względu, że takiego „luksusu” wtedy jeszcze wcale nie było. Ileż razy dosłownie błagało się Panią trudniącą się taką pracą (a zawsze miała jej bardzo dużo, a każda naprawa była pilnie „terminowa”), aby w ekspresowym tempie naprawiła „spuszczone” oczko. Na pewno cena pończoch nie należała do „astronomicznych”, ale nie były one tanie i w przypadku rozdarcia bardziej opłacała się naprawa, niż kupno nowej pary. Nie zawsze jednak istniała potrzeba gwałtownej naprawy. Wtedy bardzo przyjemnie było wdrapać się po skrzypiących drewnianych schodkach z tyłu domu (naprzeciwko kościoła) przy ulicy Sienkiewicza i spokojnie porozmawiać (kto chciał mógł to nazwać „popłotkować”) z bardzo miłą Panią, dzięki której nie trzeba było wstydzić się za „lejące oczka”.

Czy istnieje jeszcze usługa „**Naciąganie firan**”? Firanki zrobione są z nie odkształcających się w praniu sztucznych włókien, praktyczne i wygodne – uprać i powiesić. Te dawne niciane, pracowicie plecione zimowymi wieczorami przez prababcie i babcie szydełkiem bądź na klockach, po praniu zmieniały kształt, miejscami wyciągały się w długie „jęzory”. Aby przywrócić firanie właściwy prostokątny kształt należało naciągnąć ją na specjalnie w tym celu przygotowaną drewnianą ramę i zwilżyć wodą. Po takim zabiegu pozbawioną „jęzorów” firanę można było ozdobić okno.

Magle. Ponieważ w tamtych czasach pościel, serwety, obrusy były płócienne – lńiane lub bawełniane, po każdym praniu musiały być wymaglowane. Pościel – prześcieradła, poszewki, podpinka – mogły (musiały!) być wyłącznie białe. Brak czystej pościeli i konieczność spania „pod czerwonym” uważano za finansowo-socjalną degradację i upadek obyczajów. Przygotowanie do świątecznych porządków w każdym domu poprzedzone było wielkim praniem. Balie, tary, wyżymaczki, kotły, rozpuszczone szare mydło, farbka, krochmal – konieczność użycia tych pralniczych atrybutów oznaczała zakłócenie domowego rytmu, obiady ograniczające się do chleba i zupy z mięsą lub kielbasianą „wkładką”. Nowoczesność w „ceremonii” prania zawitała w końcu lat 50-tych. Spółdzielcza kooperatywa zakupiła wirnikowe pralki i za niewielką opłatą można było je wypożyczyć do domu, aby rodzinne prania stały się lżejsze i łatwiejsze. Nowość miała jednak jeszcze inną cenę – konieczność rozstrzygnięcia obaw, czy pralka przez skręca-

nie i wirowanie nie zniszczy białizny. Odbywały się sąsiedzkie narady, rozważanie opinii, podejrzeń, nieufności także co do wygody zastosowania nowości. Z powodu powszechnego braku w domach bieżącej wody i kanalizacji, pralkę należało napełniać wodą przyniesioną z okolicznych studzien, a brudną wodę w wiadrach wynosić. Za to potem, po tym całym rozgardiaszu, czystą, suchą, w fachowy sposób złożoną białiznę wkładano w koszyk, bądź zawijano w długi płat płótna nazywany „maglownikiem” i „chodzono do magła”. Po nawiniętych na wałki i ściśniętych maglownikiem pościelach przetaczała się wielka, ciężka, napełniona kamieniami skrzynia, z równie wielkim kołem zamachowym, poruszany siłą mięśni maglującego. Po takim zabiegu pościel z wykrochmalonej – szorstkiej i sztywnej, stawała się miękka i śliska. No i ten nastrój, ta specyficzna maglowa atmosfera! Wielką niesprawiedliwością było sprowadzenie jej do negatywnych pojęć i powiedzeń: „atmosfera jak w maglu ; plotkują (a nawet gorzej – kłóć się), jak baby w maglu”, czego często używa się i w obecnych czasach. Protestuję! Magle, gdzie spotykały się osoby różnych zawodów, o różnym poziomie wykształcenia, były ważnym miejscem wymiany wszelkich poglądów, spotkań towarzysko-kulturalno-oświatowych! Bo w maglach rozmawiano o wszystkim, a nie tylko plotkowano i złośliwie obmawiano sąsiadów i znajomych!

Zgodnie z ówczesną modą każda pani musiała mieć przynajmniej jeden kostium – spódnicę z żakietem. Guziki żakietów powinny być „obciągnięte” tym samym materiałem. Spódniczki mogły być w fałdy, kontrafałdy lub plisy ale spódnice młodych panien, na pewno uczennic, powinny być plisowane. Zakład „**Plisowanie i obciąganie guzików**” znajdował się w jednym z domów przy obecnym Placu Wolności. Plisowanie polegało na solidnym utrwaleniu na kawałku materiału (mówiono o nim: „kupon”) zakładek, „idących” w tę samą stronę. Szerokość plis wybierana była przez klientkę. Powszechna była zasada, że „biednych ludzi nie stać na marne ubranie”, więc kupowano materiały solidne – najczęściej „bielskie wełny” (z Fabryki Wełny w Bielsku Białej.) Z tych materiałów szyto później u krawców ubrania „na obstalunek”, czyli na indywidualne zamówienie. Odzież taką noszono „latami” i zawsze wyglądała „przyzwoicie”, gdyż w przypadku oznak niszczenia odbywało się jej „przenicowanie”, czyli przeszycie ze strony lewej na prawą. Na kilkuletnie noszenie tych samych spódnic przez szybko rosnące dziewczynki też miano metodę – nowo szyta spódniczka miała duży zakład, który w miarę potrzeby „odpuszczano”. Wraz z ostatnim „odpuszczeniem” spódnicę „nicowano”. Takim sposobem w takiej spódnicy można było chodzić kilka lat i zawsze wyglądała ona „przyzwoicie”. Z pewnością takie używanie odzieży było oszczędne i praktyczne, wymuszone przez ekonomiczne warunki powojennych lat, ale tak jakoś do dziś pozostał mi uraz do określenia ubrań pojęciem – „przyzwoite”.

Kolejka - „ekadka”, „wukadka”. Wspomnienia nie „pasujące” do tego rozdziału, bo kolejka jest! Jednak bardzo odmieniona, nowoczesna i nie przypominająca tej, która jeszcze w latach 60-tych co godzina przejeżdżała przez miasto, a gdy przez nie jechała była miejskim tramwajem. Różne były jej oficjalne nazwy – Elektryczna, Warszawska, ale zawsze była to Kolej Dojazdowa. Bo dojeżdżała od Śródmieścia Warszawy do stacji PKP w Grodzisku. Na ostatnim przystanku pod stacją pan motorniczy z pierwszego wagonu przechodził do ostatniego, czyli ostatni wagon stawał się pierwszym i kolejka znów mogła dojeżdżać hałasując i głośno stukocząc. Niebiesko-żółte wagoniki, chybotałe i rozkołysane, były niezawodnym środkiem lokomocji nawet w najtrudniejszych czasach. Po wysokich żelaznych stopniach wchodziło się do małego korytarzyka, a potem do przedziału długości całego wagonu. Po obu stronach były rzędy ławek – twardych, zrobionych z wąskich drewnianych listewek, polakierowanych na żółty kolor. Zimą i jesienią kolejka spełniała zwykłe, przyziemne funkcje środka komunikacji, by wiosną i latem stać się tym, czym dla Warszawy był „Statek do Młocin”. Turystyczną i wypoczynkową atrakcją! Młocinami dla mieszkańców Grodziska była Leśna Podkowa. Całe rodziny, bliższe i dalsze, sąsiedzi i znajomi umawiali się w niedzielę rano na określoną godzinę, aby pojechać razem „na Leśną Podkową”

– tylko tak mówiono. Jechano z pledami (czyli kocami), koszami z prowiantem – kanapkami, nieodzownymi jajami na twardo i kompotem z rabarbaru w butelkach po oranżadzie. Już za stacją Nadarzyńska rozpoczynał się kontakt z przyrodą, gdyż Piaskowa, Okrężna to były malutkie osady pełne drzew i krzewów. Leśna Podkowa to był (i jest) starodrzew sosnowy, suchy i żywiczny. Wyśiadano na stacji Podkowa Leśna Główna, by wokół stawu rozsiać się na wypoczynek – zabawy, żarty, śmiechy. Jedynym zmartwieniem było upilnowanie dzieci przed wpadnięciem do stawu, czy zagubieniem się w lesie, choć zupełnie nie był on borem, a tylko niewielkim sosnowym pasem w kształcie podkowy. Z żalem witano kończącą się niedzielę myśląc jednak z przyjemnością, że za tydzień znów będzie można kolejną pojechać „na Leśną Podkowę”.

Mieszkańcy, którzy w niedzielę nie wyjechali „na Leśną Podkowę” mogli korzystać ze spacerów w mieście i nad stawami – zwanymi od nazwisk właścicieli – „**Stawami Goliana**” i „**Stawami Walczewskiego**”. Najwięcej jednak atrakcji było na „**Stawach Lipnera**”. Rozległy teren, na którym obecnie znajduje się Szpital Zachodni, należał do **Małżeństwa Państwa Lipnerów**. Rozciągały się tam pola uprawne, zadrzewiony starymi drzewami park i chyba stosunkowo duży staw. Można tam było odpoczywać na trawie, popływać wynajętymi łódkami, ale największą przyjemnością były tańce „na dechach”. „Dechy”, czyli taneczny „parkiet”, umiejscowione były na niewielkiej wysepce. Po drewnianym mostku zabezpieczonym drewnianym płotkiem można było wejść na pokryty deskami krąg, także zabezpieczony drewnianym płotkiem. Tańczącym przygrywały zespoły muzyczne siedzące na, także drewnianym, podwyższeniu. Nie pamiętam, czy muzykami byli członkowie Kapeli Dzierżanowskiego, czy innych zespołów. Pamiętam, że „dechy” były miejscem prawdziwej „demokracji”. Tańczyli na nich dorośli, młodzież, a także umiejące już podrygiwać i podskakiwać dzieciaki.

Alicja Szafrńska

Czasy odległe - wspomnienia opowiadań, wspomnienia wspomnień

1. Bardzo dawno temu

Na podstawie wspomnień opowiadań **Marianny z Brzezińskich Barańskiej** (1887–1976).

Najbardziej odległe w czasie wydarzenia z życia miasta, jakie pamiętam z „babcinych” opowiadań, to choroba – cholera, jaka panowała w mieście w końcu lat 80-tych lub na początku lat 90-tych XIX wieku. Wielkość zachorowań i zgonów była tak wielka, że ogłoszono stan epidemii. Po mieście jeździły konnymi wozami ekipy sanitarne, które bez żadnych względów zabierały z mieszkań i domów chorych lub podejrzanych o chorobę ludzi, aby izolować je od zdrowych i leczyć w warunkach szpitalnych, bądź przygotowanych do takiego leczenia. Wielki był strach ludzi przed chorobą, ale jeszcze większy przed szpitalną izolacją. Rozumiejąc zagrożenie i konieczność odizolowania chorych od zdrowych na wszelkie jednak sposoby starano się uniknąć zabrania bliskich do szpitala. Były przypadki, że chorzy wstawali z łóżek, ubierali się i stawali przy płotach domów trzymając się ich ze wszystkich sił, gdyż tylko w ten sposób mogli pokonać osłabienie – czyli stworzyć służbom sanitarnym wrażenie, że są w pełni sił, zdrowi, a przy płotach stoją jedynie z ciekawości. Wątpię, czy we wszystkich przypadkach choroby taki sposób i metody domowego leczenia pomogły.

Tak jak obecnie lubimy wróżby i przepowiednie tak i w tamtych latach z pokolenia na pokolenie przekazywano sobie przypuszczenia i prorocтва – co będzie za lat 100, czy nawet 200? Wyrocznię w tamtych czasach była Księga Sybilli.

(SYBILLA – mit. gr. wieszczka, przepowiadająca w ekstazie przyszłość; pierwotnie znano jedną, w I w. p.n.e. wymieniano ich 10 wśród nich Sybillę osiadłą w Kume (Italia) ... – pochodzące od niej księgi sybilińskie były przechowywane w świątyni na Kapitolu w Rzymie; w chwilach ciężkich dla państwa sięgano do nich po radę... Wg Encyklopedia Powszechna PWN, Warszawa, 1976 r.)

Nierozwikłana pozostanie tajemnica drogi, jaką przepowiednie Sybilli dotarły do Polski i do Grodziska? Ani w jakim czasie, kiedy? Przekaz, którego echa ja umiejscawiam 150–200 lat temu (a słuchałam go ponad 50 lat temu), musiał pochodzić z okresu o wiele starszego. Zdziwiający jest to, że wiadomości o przepowiedniach Sybilli krążyły po Europie (może świecie) w czasach bez mediów – bez telefonów, radia, telewizji, Internetu, który tak zrewolucjonizował przepływ po świecie informacji. Prorocтва Sybilli musiały być przekazywane wśród mieszkańców miast i wsi przez wieki i pokolenia, gdyż moja Babcia powtarzała mi to, co usłyszała od swojej Matki – **Marcjanny z Krzysiaków Brzezińskiej** (1858–1944). Na pewno wieści te przekazywano z ust do ust (raczej z ust do uszu), ale zupełnie na pewno odbywał się to w atmosferze grozy i zgrozienia bo i mnie tak o tym mówiono, acz już z lekko ironicznym uśmiechem pobłażliwości dla tych dawnych strachów i emocji. Otóż wieszczka Sybilla przepowiedziała „latające potwory – żelazne ptaki”, jeżdżące po ziemi „żelazne potwory”, a nawet coś takiego (o zgrozo!), że kobiety będą miały krótkie włosy - jak mężczyźni, a nawet (o jeszcze większa zgrozo!), że będą chodziły w spodniach

– też tak, jak mężczyźni! Pozostawiła także Sybilla przepowiednie „polityczne” – „Żółta Rasa opanuje świat, ale będzie szła tylko tak długo, aż usłyszysz polską mowę.” Tak sobie opowiadano i to chyba nie tylko wśród grodzkiego ludu. Sprawdzenie się części tych przepowiedni mamy stwierdzone, ale nie wszystkie one okazały się straszne. W naszych, pokojowych na szczęście, czasach pracowitej „Żółtej Rasy” obawiać się nie musimy i to nie tylko dlatego, że według Sybilli zatrzyma się ona na naszych granicach.

Publiczna szkoła była w tym czasie w Grodzisku jedna ale nie wiem, czy był obowiązek powszechnego nauczania. Pewnie do szkoły chodziły dzieci tych rodziców, którzy chcieli, aby dzieci umiały czytać, pisać i rachować. Nauczania się w takiej szkole czegoś więcej nie było możliwości, gdyż szkoła była zaledwie dwuklasowa. Uczono języka polskiego, ale w zasadzie językiem nauczania był język rosyjski, a już na pewno dzieci musiały nauczyć się ówczesnego państwowego (tj. zaborowego-rosyjskiego) hymnu – „Borie carja chрани... – Boże chroń cara”. Duża pewno liczba dzieci nie uczęszczała do szkoły w ogóle, gdyż Grodzisk i okolice były terenami rolniczymi, a w gospodarstwach do pracy przydatne były nawet maluchy.

Jednocześnie XIX-wieczny Grodzisk był miastem prężnie rozwijającego się przemysłu i znacząca liczba dorosłych mieszkańców miała możliwości znalezienia zatrudnienia poza rolnictwem. Dużym awansem społecznym było otrzymanie zatrudnienia przy otwartej w 1845 r. linii Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Najniższe nawet stanowisko oznaczało stabilizację – stałe i pewne dochody, mundur, deputaty, prestiż środowiskowy. Także coś bardzo cenionego – od czasu do czasu bezpłatne bilety na przejazdy (również dla rodziny) umożliwiające poznanie dalszego świata, nawet jeśli początkowo był on Pruszkowem, czy Warszawą, a po uruchamianiu dalszych odcinków kolei świat ten nie sięgał dalej niż do Skierniewic. Czyż można się dziwić, że praca ta była szanowana i traktowana jak służba, przy czym pojęciu temu nadawano wyraz wyższości i dumy – „służę na kolei” – oznaczało także to, że jestem ważnym dla Państwa pracownikiem, czyli jestem sumiennym i odpowiedzialnym człowiekiem.

Ci, dla których „na kolei” zabrakło miejsca lub chcieli pracować w innych zawodach mogli znaleźć zatrudnienie w kilku grodzkich fabrykach – np. we wspomnianych „Tasiemkowej” i „Octówce”, Fabryce Kartonów, czy Zakładach WYROBÓW SZMERGLOWYCH należących do **Jana Haeberle**. Różne w tamtych czasach w tych zakładach były prawa pracownicze i różne traktowanie robotników, do tego powszechna wśród nich była świadomość konieczności prowadzenia walki o narodową niepodległość. Często dochodziło do strajków kończących się nieraz masowymi demonstracjami na ulicach miasta, w konsekwencji więzieniem, a nawet zsyłkami na Syberię. We wspomnianej książce „*Grodzisk Maz., Archangielsk, Tobolsk...*” opisano takie zdarzenia z życia mieszkańców miasta. Także to, jak fabrykant Pan Haeberle pomagał żonom zesłańców. Z jego osobą kojarzy mi się także opowiadanie o wydarzeniu, jakie pokoleniu dziadków osób piszących te wspomnienia zwiastowało nadchodzącą rewolucję techniczną tak intensywną i wielokierunkową, że chyba żadne z wcześniejszych pokoleń ludzkości nie przeżyło takiej ilości zmian i tak wielkiego postępu technicznego w tak krótkim czasie. Wynalazków tak nowatorskich, że wiele naszych obecnych technicznych osiągnięć jest tylko ich kolejnymi mutacjami. (Może poza komputerami.)

Opowiadane mi wydarzenie było z gatunku rozrywki: na plac przed domem Pana Haeberle zbiegają się zaintrygowani fabryczni robotnicy – dzieje się coś ciekawego, gdyż słyszą donośnie graną melodię wojskowego marsza. Orkiestra gra dziarsko, ale... orkiestry nie ma! To tylko Pan Haeberle zademonstrował zdumionym ludziom najświeższą nowinkę techniczną – gramofon! Ileż było zdziwienia, gadaniny: „co to?, jak to? – orkiestra gra, a nie ma orkiestry”! Pokolenie urodzone w końcu XIX w. od „dziada pradziada” żyjące przy łuczycach, świecach i naftowych lampach, w latach 20-tych XX w. otrzymało prąd elektryczny, telefon, radio (domowymi sposobami kon-

struowano odbiorniki „na kryształki” – ?), a w końcu lat 50-tych telewizję umożliwiającą kilka lat później oglądanie bezpośredniej transmisji z lądowania człowieka na księżycu!

Nie wszystkie jednak techniczne nowości tego pokolenia były tak samo radosne. Przepowiedziane przez wieszczkę Sybillę „latające żelazne potwory” w postaci aeroplanów stały się rzeczywistością. Już w czasie I-wszej Wojny Światowej – 1914–1918 – siały grozę i zniszczenie. Miasto było bombardowane przez Rosjan i przez Niemców, ponieważ Grodzisk znalazł się w obszarze wojennego frontu i przechodził „z rąk do rąk”. Już w październiku 1914 r. do miasta wkroczyły wojska niemieckie, które po kilku dniach zostały wyparte przez wojska rosyjskie. Na długie miesiące front zatrzymał się na linii rzek Rawki i Bzury, czyli Grodzisk stał się zapleczem frontowym. Dla ludności oznaczało to ponoszenie ciężarów aprowizacyjnych na rzecz wojsk, przymusowe ich zakwaterowywanie, kopanie rowów, znoszenie grabieży i przemocy. Część mieszkańców Grodziska, szczególnie rodzin kolejarskich i urzędniczych, przymusowo przesiedlono w głąb Rosji. (Wśród nich była kolejarska rodzina **Józefa i Wiktorii Barańskich**, którą z córkami Józefą, Stefanią, Heleną, Reginą i synem Kazimierzem przesiedlono do Petersburga, do domu przy ul. Sadowej. Wrócili oni do Grodziska, do niepodległej już Polski, niestety bez syna Kazimierza, który zaginął w rewolucyjnej zawierusze. O tej wojennej migracji pisał Jerzy Kochanowski – historyk, dr hab., profesor Uniwersytetu Warszawskiego: „...Kiedy zaś latem 1915 r. armia rosyjska stanęła przed koniecznością wycofania się daleko na wschód, zarządzono w Kongresówce powszechną (i przymusową) ewakuację. Ostatecznie ruszono tutaj z domów „tylko” dwa miliony ludzi, z których około miliona znalazło się w głębi Rosji, reszta wróciła po przejściu frontu” – *Tygodnik POLITYKA, Wydanie specjalne 2/2008, Polityka-Niepodległość 1918.*)

W lipcu 1915 r. do miasta znów weszli Niemcy, znów grabiąc i bezwzględnie rekrutując żywność. Zaczęły wybuchać epidemie tyfusu, cholery, dyzenterii, ospy. Panikę wywołały podjęte przez Niemców ataki gazowe na niedalekich od miasta terenach. Bezpośrednie wiadomości z linii frontu przynosili sami walczący, wśród których było wielu mieszkańców miasta i okolicznych wiosek, a którzy pod osłoną nocy podejmowali ryzyko przedostania się do domów, choć na kilka godzin. Tak tragiczną jak i sprzyjającą okolicznością był fakt, że po obu stronach frontu – w wojsku rosyjskim i w wojsku niemieckim – żołnierzami byli Polacy zmuszeni do walki przeciw sobie. Całkiem prawdopodobne wydają się opowiadane mi sytuacje o zawieraniu swoistych frontowych układów – „Popukamy do siebie w uzgodnionym czasie, a potem spokój. Nie będziemy się wzajemnie zabijać.” Potworność i hitlerowskie zwyrodnienia w czasie II-giej Wojny Światowej „przewartościowały” doznane przez ludność miasta cierpienia wojny lat 1914–1918. Pewnie dlatego, oprócz pozostałej w pamięci do września 1939 r. psychozy posiadania masek przeciwgazowych, za najgorsze wojenne cierpienia ludności cywilnej poprzedniej wojny uważano epidemie chorób i głód. Dokuczliwy długotrwały głód, jakiego nie były w stanie zaspokoić skąpe racje zapleśniałego czarnego przydziałowego chleba, z którego przed zjedzeniem trzeba było zeskrobać i wydłubać robactwo.

Na tych wspomnieniach kończy się moja pamięć „babcinych” opowiadań o czasach bardzo odległych. Pamięć jak zerwane i rozsypane koraliki, z których trudno poskładać całość, nawet gdy większość z nich zostanie odnaleziona. Jednak trzeba szukać, bo przechowanie i przekazywanie pamięci następnym ma wielką wartość. To dzięki takim emocjom w dniu 1 Listopada i w dni narodowych świąt na Grodziskim Starym Cmentarzu, na grobie – symbolu ofiar I Światowej Wojny i Walk o Niepodległość, mieszkańcy miasta zapalają setki zniczy. Choć niedługo od tych wydarzeń upłynie 100 lat, to znicze wciąż zapala już 4-te i 5-te pokolenie Tamtych.

Alicja Szafrńska

2. Dawno, ale jeszcze trochę w pamięci

W listopadzie 1918 roku Polska odzyskała utraconą przed 123 laty Niepodległość. Wielka była radość w całym kraju i ogromna wśród zawsze bardzo patriotycznej społeczności Grodziska. Nie było chyba domu i rodziny, w których nie czczono by Dowódcy Legionów – Komendanta Józefa Piłsudskiego uosabiającego wolę, niezłomność i konsekwentnie prowadzoną przez lata walkę o narodową niepodległość i społeczną sprawiedliwość. Jego osoba i głoszone przez Niego idee od lat znajdowały uznanie i cieszyły się czynnym poparciem wielu mieszkańców Grodziska. Już na początku stulecia w Grodzisku istniały struktury formacji kierowanych przez Józefa Piłsudskiego – Polskiej Partii Socjalistycznej, jej Frakcji Rewolucyjnej i Organizacji Bojowej. Robotnicy grodzkich fabryk czytali gazetkę „ROBOTNIK” redagowaną przez Józefa Piłsudskiego. Czasom tym i wydarzeniom, jakie miały miejsce w 1908 r. oraz represjom, jakie spotkały grodzkich członków tych organizacji, poświęcono wspomnianą już książkę „*Grodzisk Maz., Archangielsk, Tobolsk...*”, napisaną na podstawie oryginalnych dokumentów z 1908 r. odnalezionych w warszawskim Archiwum Głównym Akt Dawnych i Archiwum Miasta St. Warszawy i za ich zgodą opublikowanych.

Piłsudczykowski idee musiały być przez następne lata wciąż żywe skoro w 1917 roku (tak samo jak wcześniej i później na terenach Królestwa Polskiego i Galicji), w ramach Koła Błotńskiego, utworzono w Grodzisku **Powszechną Organizację Wojskową**. POW – uznana za Tajną Organizację Militarną – powstała w sierpniu 1914 roku z inicjatywy Józefa Piłsudskiego. Jej celem było prowadzenie działalności dywersyjno-wywiadowczej przeciwko Rosji i przygotowywanie cywilnych obywateli do oczekiwanej batalii o narodowe wyzwolenie. W wydanej w 1989 r. (Wydawnictwa Geologiczne Warszawa) monografii „*Dzieje Grodziska Mazowieckiego*” na str. 174 możemy przeczytać: „... Pod koniec wojny światowej nasilił się ruch niepodległościowy. W 1917 r. powstała w Grodzisku Polska Organizacja Wojskowa (POW), którą zorganizowali piłsudczycy”. Niestety, chyba po raz kolejny w tej książce wspomnień należy smutno skonstatować, jak wielkie szkody dla lokalnej pamięci wyrządziła wymuszona przez polityczne uwarunkowania po 1945 r. „konieczność milczenia”. Marszałek po ustrojowym przełomie 1989 r. zajął należne Mu w historii miejsce, uznani po latach zostali przywódcy Legionowi i Peowiacy, ale ilu mieszkańców naszego miasta potrafi dziś rozpoznać i nadać nazwiska Panom z poniższej fotografii? Przecież nie pozwali do tego zdjęcia z okazji Świąt Bożego Narodzenia i z pewnością nie tylko „z fantazji” mają na głowach piłsudczykowski czapki – „maciejówki”. To na pewno Oni, w miarę potrzeb i możliwości, tworzyli grodziską historię tego polskiego niepodległościowego „pospolitego ruszenia” XX w. Janusz Sobieraj – wielokrotnie wymieniany współautor wydanych opracowań o Grodzisku, na odwrocie posiadanej kopii tego zdjęcia, ma opis sporządzony przez Ryszarda Jerzego Chmielewskiego w latach może 70-tych, może 80-tych XX w. Według tego opisu zdjęcie zrobiono po r. 1930 przez pracownię fotograficzną „Foto Żak-Art.” Grodziskie Koło POW liczyło 103 członków i miało siedzibę w domu przy ul. Kościuszki 4 – (pewnie w mieszkaniu jednego z Nich – przyp.). Komendantem Oddziału był **Mieczysław Piasecki**, który (najprawdopodobniej) stoi na fotografii pierwszy z lewej. Skarbnikiem Oddziału był **Antoni Wojciechowski** – stojący (chyba) pierwszy z prawej. Siedzący drugi z lewej i trzymający drzewiec sztandaru to Chorąży Oddziału – **Kisman Franciszek** (na opisie zdjęcia Jego imię stanowią tylko litery Fr.), który w czasie niemieckiej okupacji zginął w obozie koncentracyjnym. Następny za Nim to **Wiktor Golian**. Pierwszy z prawej siedzi **Franciszek Rutkowski**, który w wielokrotnie przywoływanych wspomnieniach z 1970 r. napisał także: „Od 1917 r. byłem członkiem POW – brałem udział w rozbrajaniu Niemców, a później jako członek zarządu w pracach społecznych i samorządowych”. Eugenia Deminet odnajduje w pamięci tylko dwa nazwiska kolegów ojca – Peowiaków:

Piasecki i Łobaszewski. Na zdjęciu rozpoznaje tylko panów Piaseckiego i Wojciechowskiego. Jednak, choć w 1935 r. miała zaledwie 4 lata, dobrze pamięta domowy nastrój wielkiej żałoby w maju tego roku, a także to, że Ojciec i Inni pojechali do Krakowa na pogrzeb Marszałka. Pamięta także, że Peowiacy byli inicjatorami działalności społecznej i samorządowej, gdyż aktywność Ojca i Jego Kolegów mierzona liczbą narad i spotkań była ogromna. Może idea budowy szkoły w Łąkach była także inicjatywą byłych Peowiaków i na zdjęciu Komitetu Budowy Szkoły Nr 4 w Łąkach jest wielu spośród Nich? Niewiele osób i zdarzeń z tamtych czasów mogło pozostać w pamięci małej „Dzidzi” Rutkowskiej, poza słodyczami sprzedawanymi przez panią Łobaszewską w sklepie „Kooperatywa” w grodziskich Łąkach.



Rok - po 1930 - Niektórzy spośród członków grodziskiej P. O. W.

W książce „*Ośrodek Armii Krajowej „Gąbka” - „Osa”*” patriotycznym postawom byłych grodziskich Peowiaków w czasie hitlerowskiej okupacji (z *racji podeszłego wieku nazywanych „dziadkami”*) poświęcono duży akapit, w którym zapisano Ich udział w akcjach dywersyjnych i pełnioną przez Nich służbę pomocniczą dla AK-owskich oddziałów. Odnajdujemy w tej książce nazwiska panów z fotografii, a także nazwisko Rożnowski – Dr **Edward Rożnowski**, o którym w swoim pamiętniku pisze Ada Krechowicka. Nie ma nazwiska Łobaszewski, jak i nie ma nazwisk wielu innych z Oddziału, który przecież liczył 103 członków. W latach gromadzenia materiałów do książki „*Gąbka” - „Osa”* niewielu już żyło Tych, którzy mogli pamiętać i świadczyć.

Tym większe uznanie należy mieć dla **Ryszarda Jerzego Chmielewskiego, Jerzego Kowalczyka, Janusza Sobieraja** – Autorów tej wielokrotnie przywoływanej książki – I-go wydania z 1991 r. i II-go poszerzonego z 1994 r. Bo także z tej książki możemy dowiedzieć się, że wymieniane tylko z nazwisk nauczycielki Ady Krechowickiej – Gierłowska, Duryśówna – to: **Wanda**

Gierłowska - „Agata”, AK, służba sanitarna; **Janina Durysówna** – nauczycielka TON; a „osoba o nazwisku Gralak” – to **Józef Gralak** – także nauczyciel TON. Witek Zalewski – uczeń pracujący przy urządzaniu gimnazjum (późniejszej Szkoły Podstawowej Nr 2) to **Witold Zalewski** – „Jan III”, ZWZ/AK, referaty: organizacyjny i szkolenia Ośrodka „Gąbka” - „Osa”; organizator i kierownik produkcji „Stenów” w Fabryce „Sztancmet” w Grodzisku. **Mieczysław Barański** na zdjęciach z „Octówki” to: ppor. „Jakub”, ZWZ/AK, dywersja, dowódca 33 plutonu; zaś Jego brat **Kazimierz Barański** pełnił w tym plutonie służbę liniową.

Gdyby nie praca Autorów tej wiele razy przywoływanej książki „Gąbka” - „Osa”, historia miasta na zawsze pozostałaby uboższa o nazwiska mieszkańców – lokalnych bohaterów, o wiedzę o Ich brawurowych akcjach w walce z hitlerowskim okupantem. Z czasem, z upływem lat i dziesiątek lat stałoby się to, co wymyśliły po 1945 roku umysły zarażone chorą ideologią - piękne karty narodowej i lokalnej historii pochłonęłaby czarna dziura wymuszonej „konieczności milczenia”. Także wielokrotnie przewijająca się przez te wspomnienia. A wraz z upływem czasu zupełnie nie byłoby wiadomo kim są i kim były, co robiły i czego dokonały osoby patrzące na nas ze starych fotografii.

Ryszard Jerzy Chmielewski – (1922 – 2002) – „Pietrek”, St. szer. , Sz.Sz./ZWZ/AK, służba liniowa w 33 plutonie, 8 kompania zgrupowania z Skułów.

Jerzy Kowalczyk – wspomnienie o Nim zawarto w części wspomnień o ZHP.



Janusz Sobieraj nadal konsekwentnie poświęca swój czas Miastu, będąc także wiernym „kustoszem” Jego pamięci.

Nie wiem jednak, czy kiedykolwiek uda się zebrać jakiekolwiek wspomnienia z innych jeszcze ważnych polskich dziejów, w których także bez wątpienia uczestniczyli mieszkańcy naszego miasta. Rok 1920 – Wojna Polsko-Bolszewicka. Wśród rodzinnych fotografii przechowało się zdjęcie **Stefana Rutkowskiego** – wielokrotnie wspomnianego w części „Octówka”.

Lwów, dnia 3/VII.1920 r.

Na pamiątkę kochanemu Frankowi i Zosi
- Stefan

W książce Zenona Janusza Michalskiego „Siwy strzelca strój – rzecz o Józefie Piłsudskim” KAW, Łódź, 1989, odnalazłam informację, że w 1920 r. polskimi wojskami na ukraińskim froncie dowodził Edward Rydz-Śmigły, a na przełomie lipca i sierpnia „... Budionny, miast wesprzeć wojska atakujące Warszawę, próbował zdobyć Lwów.” Może

w innych grodziskich domach zachowały się fotografie z tego okresu i może kiedyś powstanie choćby małe opracowanie z podaniem nazwisk Grodziszczan – żołnierzy wielkiego marszu ze Lwowa do Warszawy, uczestniczących w walkach zakończonych zwycięskim „cudem nad Wisłą”.

Na pewno w wojnie tej zginął, czyli najprawdopodobniej gdzieś bezimiennie poległ, Grodziszczanin **Antoni Sekiel**. Zachowane po nim wojskowe pamiątki z tego okresu (jakieś świadectwo-dyplom, jakiś bagnet – jakby wojskowy kordzik) „mam przed oczami”, bo dawno temu pokazywała mi je jego żona. Niestety, po jej śmierci przepadły one, chyba już bezpowrotnie. W wojnie tej brał też udział **Stefan Chechłacz**, syn zesłańca-sybiraka Antoniego Chechłacza, jednego z bohaterów wspomnianej już książki „*Grodzisk Maz., Archangielsk, Tobolsk...*”.

Alicja Szafrńska

Kończą się wspomnienia, pamięć niech trwa

Część poprzednia – „Wspomnienia opowiadań, wspomnienia wspomnień” – wydłużyły horyzont czasowy wspomnień zaplanowanych pierwotnie do opisanego. Cofnęły je o dziesiątki lat bowiem nie wiadomo, kiedy przekazywano sobie przepowiednie wieszczki Sybilli.

„Udokumentowana” w tej książce historia miasta zaczyna się od Pamiętników Ady Krechowickiej, czyli od 1935 roku, a kończy w 2-giej połowie lat 60-tych. To tylko niewiele ponad 30 lat. Nieco ponad 30 lat to rzeczywiście bardzo niewiele, jak na historię miasta sięgającą XI-XII wieku i praw miejskich nadanych przez Króla Zygmunta Starego w 1522 r. Przesadą jest także użyte skojarzenie – „historia miasta”, gdy mamy tylko (a może – aż?) „garść” wspomnień, w wielu miejscach pewnie subiektywnych, bo tak zwykle bywa, gdy wspomina się lata dzieciństwa i młodości. Na pewno tak bywa, gdy wspomina się lata spędzone w mieście, które mimo upływu lat darzy się dużym sentymentem. Gdy wspomnienia przywołują nie tylko miasto ale i liczne postacie, które przez lata żyją w pamięci i tylko z tym miastem się kojarzą.

Bo przecież historie miast to nie tylko ciąg ich dziejów, ulice, parki i place, pomniki, budowle i domy. To także historie życia i przeżyć jego mieszkańców. W monografii *Dzieje Grodziska Mazowieckiego* wymienionych jest wiele i wielu tych, którzy miasto tworzyli, zarządzali nim i w nim gospodarowali. Wymienionych jest także wiele i wielu, którzy na przestrzeni dziejów, w chwilach największej próby zdawali egzamin również z własnego życia, nie tylko dla dobra miasta, ale i dla dobra kraju. Niektórzy z nich są patronami grodzkich ulic. Wiele nazwisk odnajdujemy w książkach o Grodzisku, których tytuły zostały przywołane w tej książce. We wszystkich tych opracowaniach występują osoby zasłużone dla miasta, dbające o jego gospodarczy rozwój, nadające miastu kulturowy styl i koloryt. Są osoby o nazwiskach znanych w kraju, a także w świecie.

Wraz z kolejnymi pokoleniami odchodzą w bezimienną przeszłość Ci, którzy zwyczajną pracą także zasłużyli na dobre wspomnienie, na naszą pamięć i na przekazanie jej następnym po nas. To pokolenia nauczycieli kształcących dzieci i młodzież, lekarzy dbających o zdrowie mieszkańców. To sklepikarze, rzemieślnicy, rolnicy, kolejarze, robotnicy, urzędnicy i wielu innych, którzy codzienną krzątaniem wypełniali życie swoje i życie miasta. To z myślą o Nich ta książka powstała. Bo przecież:

„... Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią im się płaci...”

Wisława Szymborska – „Rehabilitacja” – fragment.

Za zgodą wyrażoną w 2008 r. przez naszą wielką poetkę – laureatkę literackiej Nagrody Nobla z 1996 r. – wers ten stał się mottem wielokrotnie przywoływanej książki „*Grodzisk Maz., Archan-gielsk, Tobolsk...*”, której wydaniu w 2009 r. patronował Urząd naszego miasta.

Mądrość zawarta w tych słowach może być jedynym właściwym zakończeniem wspomnień spisanych w tej książce.

Autorki

0 I
e
e
n
n
y
n
e
a
e
a
í
i

ISBN 978-83-62103-12-6



9 788362 103126